



Autor scenariusza *Twin Peaks*



SCOTT FROST

STRACH

W powieści *Ryzyko* porucznik Alex Delillo musiała wybierać pomiędzy życiem córki a wypuszczeniem z rąk psychopatycznego mordercy. Teraz ma rozwikłać zagadkę śmierci brata.

Nie wiedziała o jego istnieniu, aż do chwili kiedy znaleziono jego ciało nad rzeką. W tym samym miejscu, gdzie przed siedemnastu laty zostały zamordowane trzy kobiety.

Jej brat prowadził dochodzenie w sprawie tamtych zabójstw. Wtedy podejrzewano... ojca Alex. Dawno temu zniknął z jej życia; był brutalny, skłonny do przemocy, ale czy potrafiłby zabić? I czy to on jest cieniem, który teraz śledzi każdy jej krok? I znów zabija.

SCOTT FROST

Twórca scenariuszy hitów telewizyjnych *Twin Peaks* i *Z Archiwum X*. Nominowany do najwyższej nagrody dla powieści kryminalnej Edgar Award amerykański autor, mistrz filmowego tempa akcji, zaskoczenia, misternej intrygi z niezwykle w tym gatunku dylematami moralnymi i rozterkami wewnętrznymi bohaterki – bolesnymi, bo dotykającymi najbliższej rodziny. Jego thrillery *Ryzyko* i *Strach* weszły do czołówki nowoczesnych powieści kryminalnych.

Szybki, ostry thriller z hitchcockowską intrygą. „Kirkus Reviews”

Przerażająca kryminalna układanka, psychologiczna zagadka i szaleńcze tempo akcji. „Publishers Weekly”

Thriller najwyższej próby. „Booklist”

Cena det. zł 29,80



www.wydawnictwoamber.pl



STRACH

STRACH

SCOTT FROST

Przekład JAN
HENSEL

&
AMBER

Redakcja stylistyczna Joanna
Egert-Romanowska

Redakcja techniczna
Andrzej Witkowski

Korekta
Magdalena Kwiatkowska
Monika Turek

Projekt graficzny okładki
Małgorzata Foniok

Ilustracja na okładce
Getty Images/Flash Press Media

Opracowanie graficzne okładki Studio
Graficzne Wydawnictwa Amber

Skład Wydawnictwo
Amber

Druk
Drukarnia Naukowo-Techniczna
Oddział Polskiej Agencji Prasowej SA, Warszawa, ul. Mińska 65

Tytuł oryginału
Never Fear

Copyright © 2006 by Scott Frost.
All rights reserved.

For the Polish edition
Copyright © 2007 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-2883-9

Warszawa 2007. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.
00-060 Warszawa, ul. Królewska 27
tel. 620 40 13, 620 81 62

www.wydawnictwoamber.pl

Dla Yalerie, Ginsy 'ego i Warrena

Wszyscy mamy jakieś tajemnice. W dzieciństwie są niewinne, skrywane w wyobraźni jak ulubiona zabawka schowana przed rodzeństwem pod łóżkiem. Jeśli ma się szczęście, sekrety pozostają nieujawnione. Ale nie spotkałam w życiu zbyt wielu szczęściarzy.

Moja matka rozwiodła się z ojcem, kiedy miałam pięć lat. To, co o nim wiem, pochodzi głównie z powtórek starych seriali i filmów, które nadają późnym wieczorem w kanale Nickelodeon - one zastępują mi rzeczywiste wspomnienia. W odcinku *Gunsmoke* był pechowym komiwojazerem, który został umazany smołą i obsypany pierzem przez pijanych kowbojów, bo próbował im sprzedać rowery w zamian za konie. W odcinku *Bonanzy* grał Indianina, którego zastrzelono, bo zakochał się w białej kobiecie. Wystąpił też w filmie *Wojna kolosalnej bestii*, niskobudżetowym horrorze o cyklopie gigancie, który terroryzuje Los Angeles. Potwór zdeptał tatę podczas ataku na obserwatorium w Griffith Park. Oto, co mam zamiast domowych filmów kręconych amatorską kamerą.

Miał pod trzydziestkę, kiedy grał te role. Był aktorem wyrobnikiem o urodzie Richarda Widmarka i intensywnym spojrzeniu, które nawet dzisiaj zdaje się przesywać mnie na wylot z ekranu telewizora. Wkrótce po rozwodzie zniknął z naszego życia. Nie przysłał ani jednego listu. Ani razu nie zadzwonił. Ani na urodziny, ani na święta, nigdy. Dwa odcinki w serialach, film o cyklopie i moja obecność na tym świecie są jedynymi świadectwami jego istnienia.

Nie wiem, jakie miał tajemnice. Nie pamiętam dotyku jego dłoni ani zapachu jego wody kolońskiej. Wyobrażam sobie, że przez krótki moment marzył, że zostanie gwiazdorem, ale zamiast tego zagrał

pechowego komiwojażera, Indianina i ofiarę cyklopa. Znam go właściwie tylko z ekranu, znam jego idealny uśmiech, ciemne włosy i głos o barwie nieco zbyt wysokiej jak na amanta. I wiem, że dopóki nie znajdę dowodu na to, że było inaczej, będę uważać, że ojciec nie miał w życiu szczęścia.

1

Była szósta trzydzieści rano, kiedy obudził mnie ten sen. Śni mi się, odkąd pamiętam. A przynajmniej tak długo, jak długo jestem gliną. W szafie w mojej sypialni jest trup, który przetrząsa wszystkie moje rzeczy. Czuję odór gnijącego ciała. Słyszę zgrzyt przesuwanych na drążku wieszaków i cichy szelest tkanin, gdy jedno ubranie po drugim ląduje na podłodze. Koszmar w stylu Maurice'a Sendaka dla detektywa wydziału zabójstw z wiecznymi problemami w doborze garderoby. Jeśli chodzi w nim o coś więcej, wołałabym raczej o tym nie wiedzieć.

Podciągnęłam kołdrę pod brodę i wtuliłam głowę w poduszkę. Z doświadczenia wiedziałam, że już nie zasnę, ale przy odrobinie szczęścia mogłam jeszcze przez godzinę nie myśleć o nadchodzącym dniu.

Na dworze zaczynało się już robić gorąco i przez otwarte okno do pokoju wpadało ciepłe powietrze. Świt ma swój własny dźwięk czy raczej wyjątkowy rodzaj ciszy, która zdaje się tętnić zapowiedzią zmian.

Trzepot gazety lądującej na podjeździe przerwał ciszę. Urok przysł. Żalobna pieśń gołębia i cichy łopot skrzydeł za oknem znaczyły, że nad górami San Gabriel zaświeciły pierwsze promienie słońca. Wzięłam długi, głęboki oddech i schowałam głowę pod kołdrę.

Upłynęło pięć minut, potem następne pięć. Zaczęłam nasłuchiwać, czy z sypialni córki nie dobiega jakiś dźwięk. Robiłam to każdego ranka od czasu, gdy seryjny morderca Gabriel urządził w naszym domu prywatny gabinet strachu. Cztery tygodnie po tym, jak wróciliśmy do domu, Lacy witała każdy świt okrzykiem przerażenia, gdy wspomnienie tego, co zrobił Gabriel, wdzierało się w jej sny. Z upływem miesięcy krzyki zmieniły się stopniowo w ściszone jęki i stęknienia, a pościel nie

była już wilgotna od potu. Po roku każdy dzień zaczynał się jeśli nie obietnicą, to przynajmniej ciszą.

Wstałam z łóżka i ruszyłam przez korytarz, żeby otworzyć drzwi do pokoju córki. Robiłam to codziennie, nawet gdy przestała krzyzczeć. I teraz, trzy dni po tym, jak przeniosła się do college'u, wciąż to robię. Patrzę na jej puste łóżko. Psychoterapeuta nazywał to małymi krokami. Każdy krok miał nas przybliżać do poprzedniego życia, jakby normalność była czymś, co po prostu wymknęło się nam z rąk i jakby można ją było odzyskać tak, jak odzyskuje się zgubione kluczyki od samochodu.

Nienawidzę psychoterapeutów.

Ale to Lacy zakończyła nasze sesje z psychologiem, kiedy mu oświadczyła: „Nie ma pan o tym zielonego pojęcia, bo inaczej wstydziłby się pan tego, co mówi. To nie pańska wina, po prostu nigdy nie miał pan tykającej bomby przymocowanej do szyi”.

Kiedy to powiedziała, popatrzyła na mnie i uśmiechnęła się. Wtedy zrozumiałam, że z tego wyjdzie. „Tak trzymaj, dziewczyno. Moja mała dziewczynko”.

Teraz mieszka na drugim końcu miasta, na kampusie UCLA, ale równie dobrze mogłaby mieszkać na drugim końcu kraju - i tak nie mogę jej obronić. Choć muszę przyznać, że kiedy była tuż obok i tak nie zdołałam jej uchronić przed niebezpieczeństwem. Na studia zarejestrowała się pod moim panieńskim nazwiskiem, Manning. Chciałam, żeby wybrała zupełnie fikcyjny pseudonim, ale zaprotestowała. Gabriel zabrał jej dość życia i nie zamierzała oddawać mu już ani odrobiny więcej. Używanie mojego panieńskiego nazwiska było jedynym ustępstwem, na jakie się godziła.

Nauczyła się strzelać i przeszła kurs samoobrony, choć obie wiedziałyśmy, że ani jedno, ani drugie na niewiele by się zdało, gdyby Gabriel znów zjawił się w naszym życiu. Stałam w drzwiach przez dłuższą chwilę, a potem zadzwonił telefon. Zegar na nocnej szafeczce u Lacy pokazywał 6.40. „Ktoś w Pasadenie stracił życie”.

Usiadłam na łóżku córki i podniosłam słuchawkę.

- Delillo.

- Zaglądałaś właśnie do pokoju Lacy, mam rację? - powiedział mój dawny policyjny partner, Dave Traver. - Stałaś właśnie w drzwiach i zaglądałaś do jej sypialni. Dlatego odebrałaś dopiero po czwartym dzwonku.

- Nie, po prostu spałam.

- Założę się, że siedzisz na jej łóżku.

Zacząłam wstawać, lecz uświadomiłam sobie, że to głupie, i znowu usiadłam. Mogłabym się założyć, że Dave się uśmiecha.

- Nie możesz na to nic poradzić, jesteś matką.
- Porucznik matką, jak dla ciebie.

- Chcesz do nas wpaść i zobaczyć bliźniaczki? Nigdy jeszcze nie widziałaś tak idealnych dzieci. Wciąż nie mogę wyjść z podziwu, że spłodziłem coś tak pięknego.

- Wiesz, że kiedy pójdą na pierwszą randkę, będą cię musieli hospitalizować.

- Nigdy nie pójdą na żadną randkę.

Gdyby robota detektywa przychodziła Traverowi równie naturalnie jak obowiązki rodzicielskie, żaden przestępca nie uniknąłby kary.

- Gdzie jest ciało? - spytałam.

- W mieszkaniu przy Caltech. Lekarz sądowy uważa, że to naturalny zgon.

- Chcesz, żebym tam wpadła i rzuciła okiem?

- Nie, myślę, że ma rację.

- Więc dzwonisz dlatego, że...

- Po raz pierwszy od lat jesteś sama i siedzisz w pokoju Lacy.

- Nie jestem sama, mam ciebie. - Cisza po drugiej stronie trwała chwilę dłużej niż zwykle. - Co? - spytałam.

- To prawdopodobnie nic takiego, ale wczoraj w nocy do twojego biura przyszedł faks... właściwie część faksu, pierwsza strona. Leży na twoim biurku.

- Od kogo?

- Właśnie w tym problem. Widnieje na nim to samo nazwisko, na jakie Lacy zapisała się do college'u.

- Manning?

- Tak, imię John. Miała przyjść jeszcze jedna strona, ale nie dotarła.

- Skąd nadano ten faks?

- Numer zaczyna się na dwa, jeden, trzy.

- Z centrum miasta?

- Znasz jakiegoś Johna Manninga? - zapytał Traver.

- Nie.

- Chcesz, żebym się tym zainteresował?

- Nie, sama to zrobię.

- Myślisz, że to coś ważnego?

Chodziło mu o to, czy myślę, że to może być Gabriel.

- Nie wiem.

Tak naprawdę, nawet po roku od naszego spotkania, myślałam, że prawie wszystko może być robotą Gabriela. Widziałam jego twarz w oknach samochodów mijanych na autostradzie. Słyszałam jego głos, gdy odbierałam telefony od telemarketerów.

Szybko odłożyłam słuchawkę i zadzwoniłam na komórkę do Lacy, jak w wielu poprzednich sytuacjach, gdy myślałam, że może jej coś grozić. Odebrała po trzecim sygnale.

- Obudziłam cię?

- Nie, miałam właśnie moment panicznego lęku.

Zamarłam.

- Czy...

- Żartowałam. Leżę w łóżku i słucham radia. O dziewiątej mam pierwsze zajęcia. Dzwonisz jako policjantka czy chodzi o syndrom pustego gniazda?

- Dostałam faks od kogoś, kto twierdzi, że nazywa się John Manning. To prawdopodobnie nic takiego, ale póki się nie upewnię, chcę, żebyś miała się na baczności.

Lacy nie odzywała się przez chwilę.

- Skąd Gabriel mógłby wiedzieć, że zmieniłam nazwisko?

- To raczej niemożliwe.

- To dlaczego dzwonisz?

- Domyśl się dlaczego. Rozgryzę to, a na razie wiesz, co masz robić?

- Nie ruszać się nigdzie bez towarzystwa, przebywać w miejscach publicznych.

Przez chwilę żadna z nas się nie odzywała. Na pewnym poziomie słowa zdawały się bezużyteczne.

- Jak mówię, to prawdopodobnie nic takiego.

- Więc kto to jest John Manning? - zainteresowała się Lacy.

Dochodziła dziewiąta, kiedy zaparkowałam przed komendą na Garfield. Wiatr Santa Ana zaczynał się przedzierać przez barierę gór w kierunku Pacyfiku - gorące pustynne powietrze, którego podmuchy dochodziły do osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Jeśli będzie tak wiało przez dwadzieścia cztery godziny, można się założyć o samochód, że w Pasadenie wzrośnie przestępczość. Jeśli będzie wiało przez czterdzieści osiem godzin, można się założyć o dom, że jakiś piroman z pudełkiem zapalek rozpęta piekło.

Detektyw Dylan Harrison czekał na mnie przy wejściu do budynku z kubkiem kawy w dłoni. Blizna w kształcie półksiężyca tuż przy kąciku jego oka, pamiątka po wybuchu bomby Gabriela w mojej kuchni, tworzyła na skórze cienką różową wypukłość. Podał mi kubek i spojrzał na mnie świdrującymi zielonymi oczyma. Chociaż jako szefowa wydziału zabójstw oficjalnie nie miałam partnera, gdybym podjęła się prowadzenia dochodzenia, wzięłabym do pomocy właśnie jego. To był prawdopodobnie jedyny powód, dla którego jeszcze się przy nim nie wygłupiałam. Zbyt wielu ludzi zawsze czyha na moje potknięcia. Gdybym się zakochała w podkomendnym, moja kariera zawisłaby na włosku. Fakt, że byłam pięć lat starsza, też nie działał na moją korzyść, przynajmniej w moich oczach.

- Traver do ciebie dzwonił? - zapytał Harrison. Potwierdziłam i weszliśmy do budynku.

- Namierzyłeś numer?

- Faks wysłano z oddziału Western Union w centrum Los Angeles.

Przystanąłam.

- Pewnie mają zainstalowane kamery.

Harrison przytaknął. Ulżyło mi. Z tego, co wiedzieliśmy, nie istniało żadne zdjęcie Gabriela, więc ten nie wszedłby do urzędu, gdzie znalazłby się w zasięgu kamery.

- To nie Gabriel - powiedziałam.

Harrison pokiwał głową.

- Nie sądzę, żeby Lacy cokolwiek groziło.

- Więc kim jest John Manning?

Harrison patrzył na mnie przez chwilę, a potem odwrócił wzrok.

- On nie żyje.

Podmuch gorącego wiatru otworzył drzwi do holu i zasypał posadzkę wirującymi liśćmi i kawałkami papieru.

- To nie wszystko - domyśliłam się.

Harrison skinął głową.

- Dzwonili z biura koronera. Proszę, żebyś zidentyfikowała zwłoki.

- Dlaczego ja? Nie znam żadnego Johna Manninga.

- Mówią, że to twój przyrodni brat.

2

Siedziba koronera okręgowego mieści się w białym anonimowym budynku kilka kilometrów na wschód od centrum Los Angeles. W całym hrabstwie mieszka mniej więcej dwanaście milionów osób i spory procent z nich w końcu trafi właśnie tutaj. Jako detektyw wydziału zabójstw byłam w siedzibie koronera dziesiątki razy, ale jeszcze nigdy jako najbliższa krewna zmarłego.

Aż do tego przedpołudnia fakt, że budynek znajduje się przy ulicy o nazwie Mission Road, nigdy nie wydawał mi się ironiczny. Dawno temu, gdy terytorium należało do króla Hiszpanii, tutejsi wieśniacy przywozili swoich zmarłych do misji, aby zakonnicy pobłogosławili ciała i pochowali. Ceremonie dokonywane w tym gmachu były nieco mniej uduchowione. Jeśli nie liczyć miasta Nowy Jork, przez ten budynek przewijało się więcej zwłok niż przez jakikolwiek gmach w kraju. Wielu gliniarzy mówiło o nim jako o fabryce umarlaków.

- Chcesz, żebym z tobą wszedł? - spytał Harrison.

Pokiwałam głową i wysiadłam z samochodu.

- Byłam jedynaczką - powiedziałam, patrząc na wejście. - Nie wiem, kogo tam mają, ale chcę się dowiedzieć, dlaczego próbował wysłać mi w nocy wiadomość.

Pokazałam odznakę recepcjonistce, która skierowała nas do podzielonej na boksy sali, gdzie pracowali dochodzeniowcy. W powietrzu unosił się trochę zbyt intensywny zapach środków odkażających, lecz oprócz niego nic nie zdradzało tego, co działo się w prosektoriach i laboratoriach toksykologicznych w głębi budynku.

Śledcza odpowiedzialna za ustalenie przyczyn zgonu czekała na nas na korytarzu.

- Dzień dobry, pani porucznik, jestem Margaret Chow.

Była drobną trzydziestokilkuletnią kobietą o smoliście czarnych włosach sięgających do ramion, ubraną w czarne spodnie i białą bluzkę. Miała obrączkę na palcu. Wyglądała raczej na nauczycielkę w podstawówce niż na osobę, która przetrząsa dokumenty pozostawione przez zmarłych.

- Przykro mi, że... - zaczęła.

- Ja nie mam brata, pani Chow.

Popatrzyła na mnie z powątpiewaniem. Pewnie codziennie spotykała się z różnymi mechanizmami wyparcia. Fakt, że byłam policjantką, najwyraźniej nie przedarł się w pełni do jej świadomości.

- Wiem, że te sprawy są trudne.
- To wcale nie jest trudne. Jestem jedynaczką.

Pokręciła z zażenowaniem głową i zerknęła na Harrisona, jakby po jego reakcji próbowała ustalić, czy nie zwariowałam.

- Przepraszam, to detektyw Harrison. Rozmawialiście przez telefon.

- Nie wiem, co powiedzieć, pani porucznik - powiedziała pani Chow. - Dokumenty, które znalazłam w jego mieszkaniu, nie pozostawiają wątpliwości, że jest pani jedyną żyjącą krewną przynajmniej w jego mniemaniu.

- Co było przyczyną zgonu? - spytałam.

- Pojedynczy strzał w głowę. Dopóki nie dostaniemy wyników autopsji, badań balistycznych i śladów prochu na rękach, traktujemy tę śmierć jako możliwe samobójstwo. Dochodzenie prowadzi detektyw Williams z Północno-Wschodniej Dzielnicy.

- Chciałabym zobaczyć zwłoki.
- Czy przenieść je do osobnego pokoju?

Uznawszy, że nie będę potrzebować prywatności, zaprzeczyłam.

Pani Chow skierowała się ku drzwiom na końcu korytarza. Kostnica była dużą chłodzoną salą, zmarli leżeli na szpitalnych wózkach. Większość była okryta białymi prześcieradłami, tylko kilka ciał w bardziej zaawansowanym stadium rozkładu zapakowano w folię. Zdawało się, że na ostatnią podróż czekają tu szczątki co najmniej czterdziestu osób, a w budynku były jeszcze dwie takie sale. Nawet chłodzone powietrze w pomieszczeniu wypełniał odór śmierci.

Pani Chow ruszyła w głąb sali, zerkając na numerki przyklejone do prześcieradeł. Kiedy znalazła zwłoki, których szukała, upewniła się, że nie doszło do pomyłki, spoglądając szybko na metkę przywiązaną do palca u nogi denata. W śmierci nie ma niczego prywatnego. Zwłoki bada się aż do uzyskania wszystkich niezbędnych informacji. Najczęściej ludzie nie zabierają do grobu swoich tajemnic, bo te stają się jawne po ich zgonie.

- To on - oznajmiła pani Chow. - Rana znajduje się w prawej...
- Może go pani odsłonić - przerwałam jej. Jeśli miałam się czegoś dowiedzieć o zwłokach, wołałam polegać na własnych spostrzeżeniach.

Pani Chow włożyła gumowe rękawiczki, po czym podeszła do drugiego końca stołu i zsunęła prześcieradło z głowy i ramion. Skóra Johna Manninga miała wygląd starej żółtej porcelany. Zbliżyłam się i spjrzałam na małą ranę w skroni, tuż przed uchem - ciemną dziurkę, w której ledwie zmieściłby się ołówek. Na obrzeżach rany widać było cienką warstwę tkanki tłuszczowej. Czarne włosy powyżej posklejały się od ciemnej krwi, która nie zdążyła do końca zaschnąć.

- Nie ma rany wylotowej?

- Nie - odparła Chow. - Kaliber 32. Nie wyjęliśmy kuli, ale przypuszczam, że utknęła w mózgu.

Przyglądałam się ranie jeszcze przez chwilę, a potem po raz pierwszy spjrzałam na twarz. Śmierć sprawiła, że mięśnie zwiotczały. Na skórze nie widać było żadnej zmarszczki. Zabrakło mi tchu. Znałam tego mężczyznę, chociaż nigdy wcześniej go nie widziałam.

Przypomniała mi się twarz, którą od czasu do czasu widywałam na ekranie telewizora o drugiej w nocy. Ofiara cyklopa, nieszczęsny komiwojazer i Indianin, który pocałował białą kobietę w *Bonanzie*. Moje domowe filmy. Patrzyłam na wspomnienie.

- Może go pani zidentyfikować? - spytała Chow, chociaż jej nie słyszałam.

Jako policjantka wiedziałam, że pamięć bywa zawodna. To, co ludzie zapamiętują, odzwierciedla często raczej ich życzenia czy oczekiwania niż rzeczywistość. Czy rozpoznawałam w nim swojego ojca, bo tego właśnie pragnęłam - związku z człowiekiem, który zniknął z mojego życia, kiedy byłam dzieckiem? Poczułam na plecach dłoń Harrisona i nieświadomie przytuliłam się do niego.

- Co może mi pani o nim powiedzieć? - zapytałam.

- Miał trzydzieści jeden lat. Mieszkał samotnie w dwupokojowym mieszkaniu w Los Feliz. Pracował jako prywatny detektyw dla adwokata o nazwisku Gavin. Wczoraj po południu obaj mieli wypadek samochodowy, Gavin został ciężko ranny. Niedługo po północy John Manning wziął z biura pistolet zarejestrowany na Gavina, a później oddał z niego jeden strzał.

- Gdzie go znaleziono? - spytałam.

- Nad rzeką, nieco na południe od Griffith Park. Strażnik natknął się na niego przypadkowo około wpół do czwartej.

Staralam się myśleć jak glina, lecz prowadzenie dochodzenia w tej sprawie jakby chodziło o zwyczajne śledztwo, zdawało się zupełnie nie na miejscu.

- Jak się tam znalazł?
- Najwyraźniej poszedł na piechotę. Nie miał butów i znaleźliśmy mnóstwo drobnych ran na stopach.

Podeszłam do drugiego końca stołu i uniosłam prześcieradło, odkrywając stopy. W skórze tkwiły ziarna piasku i żwiru. Ponad tuzin głębokich nacięć, wypełnionych teraz zaschniętą krwią, znaczyło podeszwy niczym linie na mapie.

Harrison stanął obok mnie i obejrzał je szybko.

- Musiał biec po tłuczonym szkłe - powiedziałam.

Pokiwał głową.

- Czemu miałby to robić?

Usiłowałam wyobrazić sobie powód, dla którego ktoś mógłby biec dalej w takim stanie.

- Był w samobójczym amoku, może nie czuł bólu.

Nie wypowiedziałam na głos innego wyjaśnienia, ale widziałam w oczach Harrisona, że myśli to samo, co ja. Istnieją dwa rodzaje motywów, które sprawiają, że ból traci znaczenie: miłość i strach.

- Znasz go? - spytał Harrison.

Nabrałam powietrza w płuca.

- Nigdy wcześniej go nie widziałam, ale nie można wykluczyć, że był moim bratem. Przyrodnim bratem.

- Czy chciałaby pani zostać na chwilę sama? - zapytała pani Chow.

Pokręciłam głową.

- Jak powiedziałam, nigdy wcześniej go nie widziałam.

- Skąd przypuszczenie, że mógłby być pani bratem?

Spojrzałam na jego twarz - twarz mojego ojca.

- Z filmów - odrzekłam.

- Ale nic pani o nim nie wie? - dopytywała się Chow.

- Wiem, że wczoraj w nocy po raz pierwszy w życiu usiłował się ze mną skontaktować.

Chow patrzyła na mnie przez chwilę.

- Jak? - zapytała.

- Wysłał mi stronę tytułową faksu, reszta nie doszła.

- To nie pasuje raczej do kogoś, kto myśli o samobójstwie - powiedziała. - Może chciał wysłać list pożegnalny, ale zmienił zdanie.

- Może - przyznałam. - Wyda mi pani jego rzeczy osobiste?

- Wszystko z wyjątkiem ubrania, które może nam być potrzebne, jeśli okaże się, że to jednak nie było samobójstwo. - Zaczęła coś mówić,

zawahała się, a potem dokończyła urwaną myśl. - Czy zajmie się pani pogrzebem?

Pokiwałam głową.

- Jeśli to mój brat.

Jeszcze raz spojrzałam na jego twarz i odwróciłam się, gdy Chow przykryła go z powrotem prześcieradłem.

Po wyjściu z budynku zadzwoniłam do Lacy i zostawiłam wiadomość, że wszystko jest w porządku - że Gabriel nie wrócił do naszego życia. Nie powiedziałam nic więcej. Zawartość dużej szarej koperty, którą trzymałam w dłoniach, i tajemnice, dotyczące przeszłości mojego ojca, mogły poczekać. Spojrzałam na śródmiejskie wieżowce za rzeką.

- Od czego chcesz zacząć? - zapytał Harrison.

- Jak nazywał się ten adwokat, dla którego pracował?

- Gavin.

- Chow powiedziała, że włamał się do jego biura i ukradł pistolet. Zaczniemy tam, a potem prześledzimy przebieg dalszych wypadków. Chow nie wiedziała o faksie, więc przypuszczam, że detektyw prowadzący sprawę też o nim nie wie.

- Dobrze się czujesz? - spytał Harrison.

Wiatr Santa Ana przybierał na sile, zwiewając spaliny w kierunku wybrzeża, gdzie na horyzoncie rozciągała się już brązowa warstwa smogu.

- Dobrze? - Pokręciłam głową. - Jeśli to mój brat, chciałabym się dowiedzieć, kim była jego matka. Jak się o mnie dowiedział? Czy ojciec opiekował się nim, czy też uciekł od niego tak jak ode mnie? - Popatrzyłam na Harrisona. - Chciałabym wiedzieć, czy ojciec kiedykolwiek powiedział mu o mnie. - Spojrzałam na kopertę w dłoniach. - Masz wprawę w walce z wiatrakami?

- Sporo się już nawalczyłem.

Pomyślałam o jego młodej żonie, której morderców nigdy nie znaleziono, i natychmiast pożałowałam swojego pytania.

- Masz brata? - spytałam.

- Tak, starszego.

- Jaki jest?

Harrison uśmiechnął się pod nosem.

- Jest moim bratem... co chyba oznacza, że w pewnym sensie za wsze będzie dla mnie zagadką.

Spojrzałam znowu w stronę rzeki.

- Jak daleko jest twoim zdaniem od brzegu rzeki w centrum miasta do Griffith Park?

- Jakieś dziesięć, piętnaście kilometrów.

Popatrzyłam na północ, gdzie rzeka mijała torowiska i kompleksy przemysłowe, zanim wpływała między pagórki Griffith Park.

- Chcę się dowiedzieć, dlaczego John Manning przeszedł albo przebiegł całą tę drogę bez butów, a potem wpakował sobie kulkę w głowę.

3

Mecenas Gavin miał biuro w gmachu Ensor u zbiegu Siódmej i Grand w centrum Los Angeles. Był to kamienny budynek z przełomu wieków, którego ominęło uszlachetnienie, jakiego dostąpiły domy w sąsiedztwie. Wysiedliśmy z windy i znaleźliśmy biuro w połowie korytarza. Na drzwiach widniało ostrzeżenie zabraniające wstępu wydane przez Departament Policji Los Angeles. Ciemne drewno framugi było pęknięte przy zamku.

- Czemu miałby się włamywać do biura, gdzie pracował? - zauważył Harrison. - Nie miał klucza?

Otworzyłam kopertę zawierającą rzeczy znalezione przy Manningu i wyjęłam breloczek z półtuzinem kluczy. Klucz z wytłoczonym numerem biura wszedł do zamka i z łatwością się obrócił.

- Miał - powiedziałam.

Rozejrzałam się po korytarzu. Co najmniej połowa sąsiednich biur była pusta. Prawdopodobieństwo, że ktokolwiek znajdował się w pobliżu i usłyszał trzask pękających drzwi, wydawało się znikome.

- Po co włamywać się do biura, skoro ma się klucz? - zapytałam.

- Żeby wydawało się, że włamał się ktoś inny - odparł Harrison.

Pchnęłam drzwi i zajrzałam do środka. W pierwszym pokoju mieścił się sekretariat, choć z warstwy kurzu na biurku można było wnosić, że ostatnio nie wykonywano tu zbyt dużo pracy. Na blacie stała para butów o czarnych twardych podeszwach. Drzwi do gabinetu Gavina zostały sforsowane podobnie jak te do biura. Wypróbowałam ten sam klucz i dobrze naoliwiony zamek ustąpił bez najmniejszego oporu.

Sądząc po zapachu, ściany gabinetu musiały przez dziesięciolecia nasiąkać dymem z cygar. Włączyłam światło i weszliśmy do środka. Na podłodze wały się papiery, rozsunięte szuflady biurka zostały przetrząsnięte przez intruza. Twardy dysk od komputera poniewierał się rozbity w kącie. Tuż za skrzydłem drzwi leżało na boku ciężkie drewniane krzesło.

- A jeśli to nie John się tu włamał? - wyraziłam swe wątpliwości.

Harrison przyglądał się pomieszczeniu przez chwilę.

- To chciałbym wiedzieć, czy ten, kto to zrobił, był tu przed Manningiem czy po nim i czego tu szukał.

Podeszłam do okna i wyjrzałam na zewnątrz. Schody przeciwpożarowe sięgały aż do poziomu ulicy.

- A jeśli byli tu w tym samym czasie? - zauważyłam.

Harrison podszedł do okna i zerknął na schody, a potem wyszedł do sekretariatu.

- Zdjął buty, żeby nikt nie usłyszał jego kroków na marmurowej posadzce.

- Ale bezskutecznie.

Zastanawiałam się nad tym przez moment, wyobrażając sobie, jak gorączkowo przeszukuje pokój.

- Co byś zrobił, gdybyś usłyszał trzask wyłamywanych drzwi do biura?

Harrison podszedł do przewróconego krzesła i je postawił.

- Górna belka oparcia jest lekko uszkodzona. Możliwe, że próbował się zabarykadować.

Rozejrzałam się po gabinecie. Ściany były ozdobione zdjęciami, z których większość wyglądała, jakby miała ponad dwadzieścia lat. Zdawało się, że krótki okres sukcesów Gavin miał już dawno za sobą. Na ścianach wisiało też pół tuzina kalendarzy reklamowych domów pogrzebowych i kręgarzy. Dokumenty walające się po podłodze nie pozostawiały wątpliwości, że Gavin uganiał się głównie za ofiarami wypadków i ich rodzinami. Spojrzałam na drzwi i spróbowałam wyobrazić sobie Johna Manninga w momencie, gdy usłyszał trzask pękającej framugi, jednak wciąż coś mi nie pasowało. Co takiego mogło się znajdować w tym pokoju, że ktoś zapłacił za to życiem?

- Najprostsze rozwiązania są zawsze najlepsze - stwierdziłam. - John Manning w stanie emocjonalnego wzburzenia sforsował dwoje drzwi, do których miał klucz, a potem przetrząsnął biuro w poszukiwaniu pistoletu, którego użył następnie do odebrania sobie życia.

- To co było w faksie? - zapytał Harrison.

Urząd Western Union, skąd wysłano faks, mieścił się trzy przecznice na południe od ratusza, na Broadway między Drugą a Trzecią ulicą. Wieżowce z siedzibami wielkich firm znajdowały się półtora kilometra na zachód. Tutaj rozciągało się dawne centrum miasta, które było równie obce większości mieszkańców przedmieści Los Angeles, jak Lower East Side Nowego Jorku mieszkańcom Scarsdale. Na chodniku przy wejściu widać kolejkę mizernie wyglądających ludzi, w większości mężczyzn w średnim wieku. Harrison zatrzymał wóz po przeciwnej stronie jezdni.

- Musiały spłynąć czeki z rentami inwalidzkimi - zauważył.

Spojrzałam na ludzi w kolejce, większość z nich zauważyła, że na przeciwko zaparkowała para gliniarzy. Kilku, którzy mieli zapewne niezapłacone mandaty, opuściło kolejkę i oddaliło się szybkim krokiem.

- Jak stąd daleko od biura Gavina? Harrison zerknął na licznik przebiegu.

- Prawie trzy kilometry.

- To dlaczego wybrał właśnie to miejsce? Dlaczego nie wysłał faksu z biura albo z domu?

- Jeśli chciał się zabić, rozsądek nie miał z tym prawdopodobnie nic wspólnego.

- A jeśli nie chciał się zabić?

- Miał sprawę niecierpiącą zwłoki.

- Albo nie miał czasu.

Przeszliśmy przez ulicę i przestąpiliśmy próg urzędu. Woń whisky i potu bijąca z kolejki podążyła za nami do środka. Zbliżyłam się do kuloodpornej szyby i pokazałam odznakę. Urzędnik przy kasie pochodził z Bliskiego Wschodu, prawdopodobnie z Iranu. Wyczuwało się w nim wyniosłość człowieka, który ma władzę nad każdym, kto stanie przed okienkiem.

- Chciałabym porozmawiać z kierownikiem.

Pochylił się do przodu, popatrzył na odznakę, potem na moją twarz i wreszcie skinął głową na drzwi po lewej.

- Kamera - powiedział Harrison, wskazując na sufit za kasjerem.

Zamek ciężkich zbrojonych drzwi zabzyczał i weszliśmy do środka. Kierownik zmiany miał trzydzieści parę lat, był biały i wyglądał, jakby nigdy nie jadł i nie spał. Przedstawiłam siebie i Harrisona.

- Chciałabym obejrzeć nagranie z ostatniej nocy.

Popatrzył na mnie, jakby prośba go zaskoczyła.

- Już je macie.

- My, czyli kto?
- Policja. Wzięliście taśmę już wczoraj w nocy.
- Jaka policja... LAPD?
- Nie wiem. Kiedy zjawiłem się rano w robocie, kolega z nocnej zmiany powiedział mi tylko tyle.
- O której godzinie zabrano taśmę?
- Powiedział tylko, że w środku nocy.
- Czy przekazał panu nazwisko funkcjonariusza?
- Nie.
- Policjant był w mundurze czy w cywilu?

Wyciągnął z szuflady biurka papierosa i wetknął go do ust, ale nie zapalił.

- Nie wiem nic więcej.
- Czy pański kolega pracował tu wczoraj sam?
- Nie płaci się dwóm osobom za zarywanie nocki i robotę, do której wystarczy jeden człowiek.
- Proszę do niego zadzwonić - rzekłam.
- Teraz?
- Tak, teraz.

Sięgnął za siebie, zdjął ze ściany tabliczkę, przejrzał przyczepioną klipssem kartkę z listą aż wreszcie znalazł to, czego szukał, i wykręcił numer.

- Pewnie śpi albo wyszedł na śniadanie. Po kilkunastu sygnałach odłożył słuchawkę.

- Dać wam jego numer?

Podaliśmy mu wizytówkę.

- I adres.

Zapisał dane, o które poprosiłam, i zwrócił mi wizytówkę.

- Wczoraj w nocy wysłano stąd faks. Trzymacie może kopie faktów?

Pokręcił głową i skinął na faks stojący na pulpicie.

- Tylko paragon fiskalny, pięćdziesiąt centów za połączenia miejscowe i dolar za międzymiastowe.

Wyszłam z Harrisonem na zewnątrz i przystanęłam na chodniku. Zerknęłam na zegarek. Dochodziło południe. Fale gorąca drgały nad brukiem. Żadne z nas nie ruszyło z miejsca, jakbyśmy oboje wiedzieli, że jeśli zdecydujemy się na następny krok, wejdziemy na drogę, z której nie będzie odwrotu.

- Strażnik parku znalazł go około wpół do czwartej - powiedział Harrison. - Musiało upłynąć co najmniej pół godziny, zanim detektywi z wydziału zabójstw przybyli na miejsce, czyli było po czwartej.

Poczułam, jak w brzuchu zaciska mi się supeł.

- Dlaczego gliniarz miałby konfiskować kasetę z nagraniem, zanim w ogóle wszczęto dochodzenie? - dodał.

Oboje znaleźliśmy odpowiedź.

- Więc kto ją zabrał? Inna agencja: ATF? FBI?

- A skąd mieliby o niej wiedzieć? - zdziwiłam się.

- Śledzili go.

- Istnieje inna możliwość.

Harrison przytaknął.

- To wcale nie był gliniarz.

Weszliśmy na jezdnię i ruszyliśmy do samochodu. Zaczęłam otwierać drzwiczki, lecz zatrzymałam się i spojrzałam do tyłu, na żółty napis na budynku po drugiej stronie ulicy: „Tu można wysłać faks”.

- Prawdopodobnie zobaczył wczoraj ten napis i dlatego tu wszedł. Przebył pieszo albo wręcz przebiegł trzy kilometry w samych skarpetkach, miał poranione stopy, zobaczył napis i pomyślał o mnie. Dlaczego? Dlaczego potrzebował akurat mojej pomocy? Raczej nie dlatego, że byłam siostrą, której nigdy nie poznał, nie o tak późnej porze.

Harrison patrzył przez chwilę na żółty napis, a potem odwrócił się do mnie.

- Jesteś gliną.

- Dlaczego ktoś zabrał nagranie? - zapytałam.

- Obawiał się, że widać na nim jego twarz.

- A kto ma takie obawy?

Poczułam, że z tej drogi nie ma już odwrotu.

- Ktoś, kto zamierza popełnić przestępstwo - powiedział Harrison.

4

Kawałek żółtej policyjnej taśmy powiewał na wietrze, przymocowany do zamykanej na łańcuch furtki, przez którą przeszedł John Manning tuż przed śmiercią. Ogrodzenie znajdowało się przy bocznej dróżce, która

przebiegała za niedużym zakładem przemysłowym. Nie było żadnych latarni, żadnych domów. Na przeciwległym brzegu rzeki stała tylko stacja transformatorowa. Ruch uliczny zaczynał się dopiero przecznice dalej na południe, gdzie przerzucony był most. Hałas na autostradzie numer 5 po drugiej stronie fabryczki zagłuszyłby huk wystrzału.

Pchnęłam furtkę na oścież i weszłam do parku. Wiatr niósł ciężką woń jaskrawozielonych alg, które wykwitły na rzece. Zatrzymałam się kilka metrów za ogrodzeniem, gdzie na ścieżce rowerowej wzdłuż brzegu ciemniała plama przebarwionej ziemi.

- Mogłoby się tutaj wydarzyć niemal wszystko, a nikt by tego nie zauważył - stwierdził Harrison.

Patrzyłam na plamę i przez moment pozwoliłam sobie na myśl, że człowiekiem, który wykrwawił się w tym miejscu na śmierć, był naprawdę mój przyrodni brat. Wzięłam głęboki wdech, żeby się uspokoić, lecz cuchnące od rzeki powietrze w płucach nie było tym, czego potrzebowałam.

- Dobrze się czujesz? - spytał Harrison.

Pokiwałam głową, zawróciłam i wyszłam za furtkę, żeby uciec od smrodu. Odetchnęłam raz, potem drugi, aż wszystko zaczęło wracać do normy. Harrison stanął za moimi plecami, ale nie odezwał się ani słowem.

- Latami zastanawiałam się nad tajemniczym życiem, jakie prowadził mój ojciec. Ale tego akurat się nie spodziewałam - przyznałam.

Beżowa crown victoria wjechała w uliczkę i zatrzymała się za naszym wozem. Wsiadł z niej detektyw Williams z Północno-Wschodniej Dzielnicy. Miał na sobie świeżą białą koszulę, krawat i spodnie z zaprasowanymi zaszewkami - standardowy uniform detektywów LAPD. Zawsze trzeba było wyglądać dobrze na wypadek, gdyby trafił się występ w telewizyjnych wiadomościach albo na miejscu zbrodni znalazł się akurat producent filmowy, który zechciałby przeczytać scenariusz pisany w weekendy.

Zadzwoiłam do Williama w drodze do parku i, mimo niechęci, zgodził się z nami spotkać. Uprzejmość wobec mniejszych agencji porządkowych w hrabstwie była dawkowana przez funkcjonariuszy LAPD bardzo oszczędnie. Departament Policji Los Angeles był największą rybą w stawie i jego ludzie lubili przypominać o tym możliwie jak najczęściej. Z doświadczenia wiedziałam, że jeśli Williams uważa, że śmierć Johna Manninga była samobójstwem, nie spodoba mu się sugestia, że mogło być inaczej.

- Pani porucznik - powitał mnie, wyciągając rękę.

Uścisnęłam ją i przedstawiłam mu Harrisona.

- Możliwe, że zmarły był moim przyrodnim bratem, ale nigdy go nie poznałam. Byłabym wdzięczna za wszelkie informacje, jakich ze chce mi pan udzielić.

Williams łypnął na Harrisona.

- Czy to sprawa osobista? - spytał, jakby oddawał strzał ostrzegawczy w naszym kierunku.

- Tak.

Skinął w stronę furtki.

- Widzieliście miejsce zdarzenia?

Pokiwałam głową.

- Wygląda na to, że czuł się odpowiedzialny za wczorajszy wypadek samochodowy, w którym został uszkodzony niejaki mecenas Gavin.

- Czy zwierzył się z tego komuś? - spytałam.

Williams popatrzył na mnie podejrzliwie.

- Zastrzelił się. Myślę, że to całkiem czytelny znak, jak kiepsko się czuł.

- Czy rozmawiał pan z Gavinem? - zapytałam.

- Gavin zmarł dziś rano.

Zdawał się zadowolony, że o tym nie wiedziałam.

- Co może mi pan powiedzieć o ostatnich godzinach życia Manninga? - spytałam.

- Po wyjściu ze szpitala pojechał do kancelarii Gavina, włamał się, zabrał należący do mecenasa pistolet kaliber 32, przyszedł tutaj i odebrał sobie życie.

- Nie uważa pan za dziwne, że nie użył klucza do kancelarii, który miał przy sobie?

Williams wpatrywał się przez chwilę w horyzont.

- Sam pomysł wpakowania sobie kulki w głowę wydaje mi się dziwny, pani porucznik. Jeśli ktoś podjął już taką decyzję, to znaczy, że przestał logicznie myśleć.

- Wie pan, gdzie byli obaj przed wypadkiem samochodowym? Nad jaką sprawą pracowali?

Williams zerknął na zegarek.

- Nie.

- Wczoraj w nocy Manning wysłał mi faks z urzędu Western Union w centrum miasta, ale wiadomość nie dotarła w całości. Chciałabym wiedzieć dlaczego.

Fakt, że wiedziałam coś, czego on nie wiedział, wyraźnie go zirytował.

- Z którego urzędu?
- Na Broadway między Drugą i Trzecią ulicą.
- Wygląda na to, że chciał pani coś wysłać, ale zmienił zdanie.
- Urzędnik z Western Union powiedział, że wkrótce po tym, jak John wysłał mi faks, ktoś przedstawił się jako policjant i skonfiskował nagranie z kamery telewizyjnej z tamtej nocy.

- To nie byłem ja - odparł.
- Wcale nie sugeruję, że to pan. Ale chciałabym wiedzieć, co było na taśmie.

- Czy przyszło pani do głowy, pani porucznik, że pracownicy Western Union mogli kłamać?

- W jakim celu? - spytałam.
- Może nie chcieli, żeby coś pani zobaczyła. Może podbierają pieniądze. Może sprzedają prochy. Może ktoś zapomniał włączyć kamerę i chciał uniknąć kłopotów. Byłaby pani zdumiona, jakie rzeczy dzieją się w wielkim mieście.

Harrison popatrzył na mnie, jakby mówił: „Bądź grzeczna”.

- Nie zamierzam wchodzić panu w paradę - zapewniłam.

Williams zerknął znów na zegarek.

- I dobrze.
- Czy jest jeszcze coś, co może mi pan powiedzieć?
- Ubolewam nad pani stratą. Ruszył z powrotem do samochodu.
- Jak, do cholery, został pan detektywem?

Odwrócił się i popatrzył na mnie.

- W każdym razie nie musiałem się z nikim przespać.
- Wiesz, z kim rozmawiasz? - oburzył się Harrison. Williams spojrzał na niego i uśmiechnął się złośliwie.

- Z chłoptasiem pani porucznik.

Harrison jednym szybkim ruchem złapał go za kark i rzucił na maskę crown victorii.

- Przeprós - warknął. Williams znów się uśmiechnął.
- Pierdol się.

Podeszłam do nich, położyłam Harrisonowi rękę na ramieniu i popatrzyłam na Williamsa.

- Dziękuję za informacje.
- Trzymajcie się z dala od mojego dochodzenia - odparł Williams.
- Z tego, co widzę, detektywie Williams, żadnego dochodzenia nie ma.

Harrison go puścił.

- Jeśli Manning był pani bratem, to pracował jako podrzędny detektyw dla adwokata uganiającego się za karetkami - rzekł Williams.
- Przystawił sobie pistolet do głowy i pociągnął za spust. To wszystko. Proszę nie marnować ani swojego, ani tym bardziej mojego czasu.

Otworzył drzwiczki i wsiadł.

Wróciliśmy do naszego wozu i nie odzywaliśmy się do siebie, póki Williams nie odjechał.

- Przepraszam. Nie powinienem był tego robić - powiedział Harrison.

Odwrociłam się i odprowadziłam wzrokiem odjeżdżającego Williamsa.

- Takie słowa to dla mnie nie pierwszozna.
- Ale dla mnie owszem - odparł.

Spojrzałam na furtkę, przez którą John Manning przeszedł tuż przed śmiercią.

- Możliwe, że Williams ma rację - przyznałam.
- Nie sądzę - odrzekł Harrison. - Gdybym był twoim chłopakiem, musiałbym to zauważyć.

Patrzyliśmy na siebie o sekundę dłużej, niż pozwalały na to stosunki służbowe, po czym przeszłam przez furtkę i znowu zbliżyłam się do ciemnej plamy na ziemi.

- Może ścigam ducha - podsunęłam.
- Duch nie wysłał ci tego faksu - stwierdził Harrison.
- Myślę, że sama rozejrzę się po jego mieszkaniu. Podwożę cię z powrotem do Pasadeny.
- Okej - odparł. - Sprawdzę, czy jakaś inna agencja nie śledziła Manninga albo Gavina.

W oddali góry San Gabriel wznosiły się ku wyblakłemu niebu nad Pasadeną. Podmuch gorącego wichru wzburzył fale na rzece i o mało mnie nie przewrócił. Miałam wrażenie, że powietrze jest tak rozgrzane i suche, że gdyby ktoś skrzesał zapałkę, całe Los Angeles stanęłoby w płomieniach.

Zaczynało już zmierzchać, gdy dotarłam do mieszkania Johna Manninga w Los Feliz. Była to stara dzielnica z eleganckimi hiszpańskimi domami, położona na obrzeżach Hollywood i Griffith Park. Na ulicy wały się przyniesione z wiatrem suche liście palmowe. Budynek w stylu mauretańskim pochodził z lat trzydziestych i miał musztardowożółtą elewację. Przypuszczam, że pierwotny właściciel uznał, że film *Casablanca* przyciągnie do czynszówki tłumy chętnych znęconych nadzieją, że Ingrid albo Humphrey będą tu regularnie wpadać na drinka.

Zaparkowałam po drugiej stronie ulicy, ale nie wysiadłam z wozu. Od momentu, gdy dowiedziałam się, że prawdopodobnie miałam brata, chciałam wykonać pewien telefon. Wyjęłam komórkę i położyłam ją na kolanach, próbując wyobrazić sobie przebieg rozmowy. Żaden ze scenariuszy, jakie przychodziły mi do głowy, nie wydawał się dobry.

Wzięłam telefon i wybrałam numer.

- Halo?
- To ja, mamó.

Usłyszałam, że nabiera powietrza, jakby przygotowywała się do ciężkiej przeprawy.

- Właśnie zastanawiałam się, czy do ciebie nie zadzwonić - oznajmiła.

Wszystkie nasze rozmowy zaczynała w ten sposób, chociaż to ja zawsze dzwoniłam. Kojot, który przybłąkał się ze wzgórz Griffith Park, przebiegł środkiem jezdni, tuż obok mojego samochodu.

- Muszę cię o coś zapytać - powiedziałam.
- Ach, tak, rozumiem. To jeden z tych telefonów.
- Jakich telefonów... - Powstrzymałam się, żeby nie dać się sprowokować do kłótni.
- Myślę, że wiesz jakich... - urwała.
- Czy to możliwe, żebym miała przyrodniego brata? - zapytałam.

Po drugiej stronie zaległa cisza. Potem matka odchrząknęła.

- Jak możesz mnie pytać o coś takiego? - obruszyła się.
- To proste pytanie. Czy istnieje taka możliwość?
- Przypuszczalnie ktoś twierdzi, że jest twoim bratem, a ja o wszystkim wiem - powiedziała.
- On nie żyje - odrzekłam.

Usłyszałam, jak wzięła głęboki oddech.

- To sprawa policji?
- Owszem.
- Oczywiście, broń Boże, nie możesz choć raz porozmawiać o żywych ludziach - zaatakowała.

Przemilczałam ten komentarz, ignorując zaczepkę. Następny palmowy liść oderwał się od drzewa i z głośnym szelestem opadł na chodnik obok mojego samochodu.

- Jak miał na imię? - spytała matka.
- John.

Zdawało mi się, że powtórzyła imię pod nosem.

- Wiele lat temu koleżanka powiedziała mi, że widziała twojego ojca z kobietą... Udałam, że jej się coś przywidziało.

- I dobrze zrobiłaś.
- A co z... Czy widziałaś... - urwała.

Aż do tej chwili nie byłam pewna, czy matka, po tych wszystkich latach, wciąż kocha mojego ojca.

- Nic o nim nie wiem - odparłam.

Udało mi się z nią pożegnać, unikając następnych wzajemnych oskarżeń, a potem przeszłam przez ulicę i zbliżyłam się do budynku.

John Manning zajmował mieszkanie numer 8 na pierwszym piętrze. Otworzyłam drzwi i weszłam po schodach na górę. Wykładzina dywanowa miała barwę ciemnego fioleto, kinkiety w kształcie mauretańskich łuków oświetlały korytarz. Manning mieszkał w pierwszym mieszkaniu na piętrze, z oknami wychodzącymi na ulicę. Z mieszkania na końcu korytarza dobiegały ciche dźwięki opery.

Wsunęłam klucz do zamka, pchnęłam drzwi i weszłam do środka. Musiała upłynąć chwila, zanim oczy przyzwyczyły się do półmroku. Salon był dosyć duży, z bufiastą kanapą i parą foteli. Przestrzeń jadalna znajdowała się na lewo, a za nią mieściła się kuchnia. Drzwi po prawej musiały prowadzić do sypialni. Ścianę w głębi zdobił mały kafelkowy kominek.

Wzięłam głęboki oddech i poczułam trwający jeszcze zapach życia. Podeszłam do kuchennych drzwi i stanęłam w progu. W powietrzu unosiła się woń czosnku i innych przypraw, których nie umiałam zidentyfikować. John Manning lubił gotować. Na haczykach na ścianie wisiały patelnie, które nosiły ślady częstego używania. W misce na małym kuchennym stoliku leżały owoce, których nikt już zapewne nie zje. Banany, jabłka, kiwi. Mój ojciec lubił kiwi. Zawsze były w domu aż do dnia, gdy nas opuścił, a potem matka przestała je w ogóle kupować.

Podeszłam do półki nad kominkiem, gdzie stało kilka oprawionych w ramki fotografii. Było wśród nich zdjęcie Manninga jako małego chłopca w mundurku skautów i niedawno zrobiona fotografia, na której stał na plaży z kobietą. Spojrzałam na następne zdjęcie i poczułam ukłucie w piersi. Widziałam je już wcześniej. Stare portretowe zdjęcie ojca z czasów, gdy wciąż mieszkał z moją matką i mną: przystojny, młody aktor, który niedługo zostanie zdeptany przez cyklopa. To samo zdjęcie stało na toalecie w sypialni moich rodziców do momentu, gdy matka pozbyła się go po zniknięciu męża.

Usiłowałam zacerpnąć tchu, ale miałam wrażenie, jakby całe powietrze w pokoju opadło na podłogę. Pośpiesznie podeszłam do okna i otworzyłam je. Suchy gorący wiatr był prawie jak woda obmywająca mi twarz i wciągnęłam je w płuca, oddech po oddechu.

John Manning był moim przyrodnim bratem, jeśli do tej pory mogłam mieć co do tego wątpliwości, to teraz zniknęły. Został splodzony i wychowany przez tego samego ojca, który mnie porzucił. Mieszkał o dwadzieścia minut drogi od Pasadeny, niczym sekret ukryty na widoku. A w dniu śmierci, tuż przed tym, jak stracił życie, usiłował się ze mną skontaktować.

Zamknęłam oczy i zobaczyłam jego twarz w kostnicy, mięśnie zwiotczałe od śmierci, szczękę lekko wykrzywioną od siły uderzenia pocisku.

Przeszłam przez salon i zbliżyłam się znowu do kominka. Ostatnie zdjęcie na półce przedstawiało ładną, młodą kobietę o długich blond włosach. Jej strój i guzik z pacyfką na golfie wskazywały, że zrobiono je we wczesnych latach siedemdziesiątych. Wyglądała, jakby była aktorką. Przypuszczałam, że to matka Johna.

Już miałam sięgnąć do kontaktu, lecz powstrzymałam się, gdy ujrzałam biurko w przeciwległym kącie pokoju. Wszystkie szuflady były wyciągnięte, a ich zawartość leżała na podłodze. Na blacie stał monitor komputera, ale brakowało twardego dysku. Zrobiłam krok w tamtą stronę, a potem usłyszałam za plecami skrzypnięcie podłogowej deski.

- Mam pistolet. Nie ruszaj się.

Głos należał do kobiety.

- Nie ruszam się - powiedziałam.

- Coś za jedna?

- Jestem policjantką.

- Nie wierzę. Policja już tu była - odparła.

- Mogę to udowodnić.
- Mam pierdolony pistolet - ostrzegła.
- Wiem. Pozwól, że pokażę odznakę. Jest przy pasie, wystarczy, że się odwrócę.

- Rób to powoli i nie ruszaj rękami.

Odwróciłam się powoli. Kobieta zbliżała się do trzydziestki albo niedawno ją przekroczyła, miała krótko ostrzyżone czarne włosy. Zgadywałam, że była kobietą z fotografii nad kominkiem. Małokalibrowy nikielowy rewolwer był wycelowany prosto w moją twarz.

- Spójrz na moją odznakę - poprosiłam.

Zerknęła na nią szybko, lecz nie opuściła pistoletu. Ręka, w której trzymała broń, zaczęła drżeć.

- Po co tu pani przyszła? - zapytała.

- Możesz opuścić broń?

- Najpierw proszę odpowiedzieć na pytanie.

- Jestem przyrodnią siostrą Johna - wyjaśniłam. Słowa zabrzmiały tak, jakby wymówił je ktoś inny.

Patrzyła na mnie przez chwilę, a potem opuściła pistolet.

- Mówił mi raz, że ma przyrodnią siostrę.

- Jesteś dziewczyną Johna? - spytałam.

Pokiwała głową.

- Jak się nazywasz?

- Dana Courson - odparła.

- Po co ci ten pistolet, Dano?

- Nie chcę, żeby ktoś mnie zabił.

Przestąpiła próg, wynurzając się z cienia, i zobaczyłam, że płakała. Pochyliła się i włożyła pistolet do papierowej torebki u swoich stóp, po czym wyprostowała się i skrzyżowała ramiona na piersi.

- Kto? - spytałam.

- Ten, kto zabił Johna.

- Detektyw prowadzący dochodzenie uważa, że to było samobójstwo.

Courson pokręciła głową.

- On nie popełnił samobójstwa - rzuciła gniewnie.

- Skąd wiesz?

Zaczęła coś mówić, lecz po chwili jej oczy zasnuły się mgłą.

- Bo się kochaliśmy - odparła.

- Zamierzałaś powiedzieć coś innego.

Skinęła głową.

- Co? - spytałam.
- On się bał broni. Próbowałam wyciągnąć go na strzelnicę, ale nie chciał nawet dotknąć mojego pistoletu. Niemożliwe, żeby... - Zabrakło jej słów.

Obeszłam kanapę i usiadłam na oparciu.

- Jak dowiedziałas się o jego śmierci? - zapytałam.
- Zadzwoił do mnie wieczorem ze szpitala, powiedział, że miał wypadek i że Gavin jest ranny.
- Znałaś Gavina?

Popatrzyła na mnie z zaskoczeniem.

- On też nie żyje, prawda?
- Tak.

Wzięła głęboki oddech i otarła łzę, która zakręciła się w kąciuku oka.

- Czy John mówił coś, co wydało ci się niezwykle?

Patrzyła na mnie przez moment, a potem potaknęła.

- Powiedział, że coś znalazł.
- Nie mówił co?
- Nie.
- Wiesz, nad jaką sprawą wspólnie pracowali?
- Nad tym co zwykle, nad sprawami uszkodzenia ciała i utraty zdrowia.
- Jakim tonem mówił?
- Myślałam, że był po prostu wstrząśnięty z powodu wypadku, ale chodziło o coś innego.
- O co?
- Bał się. Powiedział, że bym nie przychodziła, póki się do mnie znowu nie odezwie. Ale potem w ogóle nie zadzwonił, więc przyjechałam tu dziś rano. I zastałam kobietę z biura koronera i detektywa - powiedziała Courson.
- Detektywa Williamsa? - zapytałam. Potaknęła.
- Czy to oni zabrali komputer i zostawili biurko w takim stanie?

Pokręciła głową.

- To zrobił ktoś inny.
- Kto?

Odetchnęła.

- Był tu parę godzin temu. Wróciłam, żeby zabrać część swoich rzeczy, a on wychodził akurat z mieszkania z komputerem. Spojrzał na mnie i zapytał, jak się nazywam. Powiedziałam, że mam na imię Janice i mieszkam obok.

- Dlaczego tak postąpiłaś?
- Budził we mnie strach - odrzekła.
- Uważasz, że wcale nie był gliniarzem? - spytałam.
- Mój ojciec był policjantem. Wychowałam się wśród gliniarzy, a tamten facet był inny.
- Co go od nich odróżniało?
- To, jak na mnie patrzył.
- Jak?

Wzięła głęboki oddech, jakby sama myśl o tamtym człowieku budziła w niej niepokój.

- Jakbym była nikim - odparła.
- Mogłabyś go rozpoznać?

Pokręciła głową.

- Zerknęłam na niego tylko przez sekundę. Był starszym mężczyzną, tylko tyle mogę powiedzieć. Nie chciałam, żeby zobaczył moją twarz.

Podniosła papierową torebkę, podeszła do kominka, wzięła zdjęcie mojego brata i swoje, a potem schowała je do torebki.

- Możesz mi powiedzieć cokolwiek o jego rodzicach? - spytałam.
- Jego matka zmarła na raka piersi, kiedy uczył się w college'u. O ojcu nic nie wiem. John miał wiele tajemnic, jeśli chodziło o rodzinę.
- Spojrzała na mnie. - Ale to już chyba pani wie?

Courson patrzyła na mnie przez chwilę, jakby usiłowała znaleźć we mnie coś z Johna.

- W ogóle go nie znałam - potwierdziłam.
- A szkoda. Był... - Reszta słów gdzieś jej uleciała. - Muszę iść - oznajmiła.
- Jak mogę się z tobą skontaktować?
- Myślę, że wyjadę na jakiś czas. Może zostawić mi pani wiadomość w biurze obrońcy publicznego w centrum.
- Jesteś adwokatem?
- Asystentką.

Wyjęłam wizytówkę, zapisałam na odwrocie numer swojej komórki i podałam jej.

- Gdybyś potrzebowała mojej pomocy, zadzwoń.
Popatrzyła na wizytówkę.

- Pani nie jest z LAPD.
- Nie, z Pasadeny.
- Więc to nie pani śledztwo. Jest pani w innej jurysdykcji - zauważyła. - Jeśli gliniarze z LAPD uważają, że to samobójstwo, to na tym sprawa się kończy. Nie może pani nic na to poradzić. - Ruszyła do drzwi.

- Dano - powiedziałam.
Zatrzymała się.

- John próbował wysłać mi wczoraj w nocy faks, ale nie doszedł w całości. Sądzę, że dotyczył tego, co znalazł.
- I dlatego został zamordowany? - domyśliła się.
Pokiwałam głową.

- To możliwe.
Zerknęła nerwowo na drzwi.

- Nie chcę zginąć, pani porucznik - powiedziała, a potem odwróciła się i spojrzała na mnie. -A pani?
- Chcę z tobą jeszcze porozmawiać. Chcę się dowiedzieć, kim był John.

Przez chwilę patrzyła na mnie w milczeniu.

- Był pani bratem. Czego jeszcze pani potrzeba?
Dana ponownie spojrzała w głąb mieszkania, jakby szukała ostatniego wspomnienia, które mogłaby ze sobą zabrać, a potem wyszła pośpiesznie na korytarz.

Słuchałam jej kroków, gdy zbiegała po schodach, a potem zamknęłam drzwi i rozejrzałam się po pokoju. Jeśli miałam się czegokolwiek dowiedzieć o swoim bracie, odpowiedzi należało szukać tak, jak zrobiłby to archeolog na wykopaliskach. Mogłam się dowiedzieć, co lubił jeść na śniadanie, jakiej muzyki słuchał, jak się ubierał, jakie lekarstwa trzymał w łazience, jakie czytał książki. I żadna z tych rzeczy nie miała by znaczenia, bo nigdy nie poznam dźwięku jego głosu ani nie dowiem się, jaki wyraz przybierały jego oczy, gdy się uśmiechał.

Podeszłam do drzwi sypialni, otworzyłam je i zapaliłam światło. Tuż przy drzwiach na regaliku z książkami stał telefon z automatyczną sekretarką. Migająca czerwona cyferka wskazywała, że nagrały się trzy wiadomości. Wcisnęłam guzik, żeby ich odsłuchać.

- Johnny, to ja. Zadzwoń do mnie... John, gdzie się podziewasz?
Zadzwoń.

Głos był zniekształcony przez kiepskie połączenie komórkowe, ale odgadłam, że należał do Dany. Ktokolwiek nagrał się w ostatniej wiadomości, rozłączył się, nie odezwawszy się słowem.

Wcisnęłam guzik, żeby odsłuchać wiadomości nagranej przez brata.

- Nie ma mnie w domu. Wiecie, co zrobić po usłyszeniu sygnału.

Odtwarzałam ją raz za razem, choć znałam już ten głos. Jakby przemawiało do mnie wspomnienie. Głos był o oktawę wyższy, niż można by się spodziewać. Takim samym głosem ojciec życzył mi dobrej nocy ostatni raz przed zniknięciem z mojego życia, a nieszczęsny komiwojażer usiłował przekonać kowbojów, żeby przehandlowali swoje konie na rowery.

Przeszukałam biurko, licząc, że znajdę nić, która połączyłaby wydarzenia ostatnich dwudziestu czterech godzin - spotkania w terminarzu albo numer telefonu na żółtej samoprzylepnej karteczce - ale niczego takiego nie znalazłam.

Podeszłam do okna, żeby odetchnąć świeżym powietrzem. Mogłam całymi godzinami przeszukiwać mieszkanie, ale już wiedziałam wszystko, czego potrzebowałam. Jedyna osoba, która go kochała, nie wierzyła, że mógł odebrać sobie życie.

Wróciłam do salonu, wzięłam z półki nad kominkiem fotografię ojca, wsunęłam ją do wewnętrznej kieszeni żakietu i wyszłam. Gdzieś w oddali wyła syrena. Wiatr niósł ledwo wyczuwalną woń dymu. Ktoś skrzesał pierwszą zapałkę i Los Angeles zaczęło się palić.

6

Urzędnik z Western Union mieszkał w dużym dziesięciopiętrowym wieżowcu o przecnicę dalej od Vermont na skraju Koreatown. Było to w pobliżu Los Feliz, więc postanowiłam nie czekać do jutra i pojechać tam od razu.

Przedwojenny gmach w swoim czasie musiał być elegancki, ale teraz, podobnie jak większość jego mieszkańców, ledwo się trzymał. Słońce zaszło przed godziną, lecz na ulicy roiło się od ludzi, młodych i starych, którzy usiłowali uciec przed gorącym panującym w mieszkaniach. Zaparkowałam na chodniku po przeciwnej stronie i wysiadłam.

Z jednego z okien budynku dobiegała muzyka *marichis*. Z samochodu w głębi ulicy dudnił rap. Sprzedawca uliczny o mocno pomarszczonej twarzy meksykańskiego wieśniaka robił świetny interes, sprzedając na rogu lody na patyku. Kiedy przechodziłam przez jezdnię, w zasięgu wzroku nie było ani jednej osoby, która nie zauważyłaby, że zjawił się glina.

Jeśli miałam szczęście, pracownik Western Union będzie umiał zidentyfikować mężczyznę, który skonfiskował nagranie. Jeśli miałam rację, mężczyzna okaże się tą samą osobą, która zabrała komputer z mieszkania mojego brata.

Stara winda Otis z mosiężnymi drzwiami, które wyblakły od brudu i zaśniedziały, przytłaczała wystrój klatki schodowej. Posadzka była ułożona z czarnych i białych marmurowych płyt w kształcie rombów. Dwie młode kobiety z dziećmi na kolanach siedziały na ławkach naprzeciw windy i rozmawiały po hiszpańsku. Kiedy szłam w kierunku windy, jedna z kobiet powiedziała: *Peligro* i pokazała na schody.

Podziękowałam jej i ruszyłam po schodach na siódme piętro, gdzie mieszkał urzędnik. Powietrze zdawało się od lat pozbawione cyrkulacji i niesło woń tysięcy ludzi, którzy przewinęli się przez budynek. Na siódmym piętrze duże okno wychodziło na wschód, gdzie cienka pomarańczowa linia pożogi lśniła w ciemnościach, wijąc się poprzez wzgórze Verdugo nad Burbank.

Gdzieś w pobliżu płakało dziecko i przez korytarz dolatywał cichy głos śpiewającej po hiszpańsku matki. Urzędnik, Hector Lopez, mieszkał pod numerem 715 na końcu korytarza. Kiedy podeszłam do drzwi, usłyszałam z wewnątrz dźwięki włączonego telewizora. Zapukałam, lecz nikt nie zareagował. Zapukałam jeszcze raz.

- Panie Lopez, policja.

W sąsiednim mieszkaniu rozszczezał się pies. Drzwi w głębi korytarza uchylły się, a potem szybko zamknęły.

- Panie Lopez, mam do pana parę pytań.

Zaczęłam znowu pukać, lecz zobaczyłam cienką strużkę krwi wypływającą spod drzwi. Wyciągnęłam glocka i chwyciłam za klamkę. Drzwi nie były zamknięte i otworzyłam je na oścież, unosząc broń.

Jedynym źródłem światła w pokoju był kineskop telewizora, ale to wystarczyło, żebym dostrzegła ludzką postać leżącą na wznak na podłodze. Sięgnęłam przez framugę i wcisnęłam kontakt, ale nic się nie zapaliło. Przystąpiłam próg i poczekałam, aż oczy przyzwyczają się do mroku. Kuchnia znajdowała się w głębi, za salonem, a z prawej i z lewej

strony były drzwi, obie pary zamknięte. Zrobiłam krok w kierunku ciała i stwierdziłam, że to nie Lopez.

Na przodzie świeżej białej koszuli detektywa Williamsa ciemniała plama krwi. Wywinięty krawat zakrywał część twarzy. Gardło przecinała szeroka otwarta rana.

Kabura przy jego pasie była pusta. Sprawdziłam jego ręce i podłogę wokół ciała, ale pistoletu nie było. Kiedy uniosłam wzrok, kątem oka dostrzegłam, że drzwi po lewej stronie są uchylone. Zaczęłam się odwracać i unosić broń, ale wiedziałam, że jest za późno. Coś mignęło w mroku, a potem uderzyło mnie w żebra lewego boku. Ból był jak porażenie prądem. Kolana ugięły się pode mną i padłam na podłogę. Spróbowałam zaczerpnąć tchu, lecz powietrze rozpałiło mi płuca niczym rozprzestrzeniający się ogień. Usiłowałam podnieść broń, ale ktoś wykopał mi ją z ręki, zanim zdążyłam zareagować.

- Nie zrobiłem tego - powiedział głos z latynoskim akcentem.

Próbowałam spojrzeć do góry, lecz nawet prosty ruch uniesienia głowy wywołał ból, który przeszył całe ciało. Popatrzyłam w dół, spodziewając się, że zobaczę plamę krwi rozkwitającą na koszuli, ale nie było ani kropelki.

- Nie zrobiłem tego - powtórzył Latynos, tym razem głośniej.

Ściany pokoju zaczęły wirować, gdy traciłam przytomność. Poczulałam rękę, która sięgnęła do mojej wewnętrznej kieszeni i wyjęła legitymację.

- Delillo - powiedział napastnik. - Rozumie pani, nie zrobiłem tego.

Na moment przed oczami mignęła mi jego twarz, gdy rzucił mi legitymację na pierś. Powiedział coś jeszcze, ale niczego nie usłyszałam, a potem świat usunął się spode mnie.

Dźwięk telewizora sprowadził mnie z powrotem. Był nastawiony na kanał hiszpańskojęzyczny, na ekranie klaun ganiał po scenie dwie dziewczyny w bikini. Uplynęła minuta? Parę sekund? Nie wiedziałam. Leżałam na plecach tak jak wtedy, gdy straciłam przytomność. Zaczerpnęłam powietrza. Błyskawica bólu przeszła mi pierś i o mało nie zmiotowałam. Poczulałam, że znowu osuwam się w niebyt, ale zwalczyłam to, powtarzając sobie w głowie: „Nie, nie, nie”.

Wzięłam płytszy oddech i zdołałam zaczerpnąć łyk powietrza, nim w głowie zakręciło mi się od bólu. „Gdzie jestem? Poskładaj to do kupy”. Nie zostałam postrzelona ani dźgnięta nożem. Coś mnie uderzyło.

- Williams - wyszeptalam.

Leżał jakiś metr ode mnie, rana w gardle lśniła w świetle telewizora. Powoli podźwignęłam się na kolana i stwierdziłam, że siedzę w potoku krwi. Czułam wilgoć przesiąkającą materiał spodni. Serce zakolało mi w piersi. Próbowałam się ruszyć, wytrzeć krew z nóg, lecz z każdym wysiłkiem kręciło mi się w głowie, byłam coraz bliżej omdlenia.

Odgłos otwieranych drzwi i światło rozlewające się z korytarza przywołały mnie do rzeczywistości. Ciemny cień postaci w drzwiach wpełzł do pokoju i zdawał się mnie okrywać. Sięgnęłam po broń, a potem przypominałam sobie, że napastnik wykopał mi ją z ręki. Byłam bezbronna. Wpatrywałam się w cień, czekając, aż się zbliży, czekając na następny cios, lecz nie nastąpił.

Gdy zaczęłam się odwracać, poczułam, jak drętwieją mi ramiona i nogi. Wzięłam płytki oddech, potem następny i jeszcze jeden, a wreszcie przekrzywiłam głowę i spojrzałam na drzwi. Przypatrywało mi się dziecko, pięcioletni chłopczyk.

- Policja - zdołałam wykrztusić.

Dziecko patrzyło na mnie w zdumieniu i poczułam, że znowu odpływam w ciemność.

- Policja - wyszeptalam. - Pol...

7

Była prawie druga w nocy, gdy detektywi kryminalni z LAPD zwolnili mnie z miejsca przestępstwa. Pierwsi mundurowi, którzy zjawili się w mieszkaniu, przez kilka minut przetrzymywali mnie zakutą w kajdanki, sądząc, że jestem zabójczynią Williamsa. Nawet po tym, jak detektywi wyjaśnili sytuację, podejrzliwość i przekonanie, że odpowiadam jakoś za śmierć Williamsa, towarzyszyły każdemu rzucanemu na mnie spojrzeniu. Dla policjantów LAPD byłam amatorką, kobietą, która spowodowała śmierć jednego z nich.

Komendant policji w Pasadenie Ed Chavez i Harrison czekali na mnie, gdy wysiadłam z karetki. Sanitariusze zrobili, co mogli, żeby roztworem soli fizjologicznej zmyć ze mnie krew detektywa Williamsa, lecz ta wciąż oblepiała mi spodnie i skórę na nogach. Bandaż wokół

zeber, gdzie Hector Lopez uderzył mnie kijem bejsbolowym, złagodził kłujący ból, który stał się teraz tępy, lecz nieustępliwy.

Wielki latynoski ojciec chrzestny Lacy, twarżel i były żołnierz piechoty morskiej, tylko na mnie spojrział i zaczął się pieklić.

- Cholerni gliniarze z LAPD - warknął.

Spojrzałam w jego duże orzechowe oczy i pokręciłam głową. Zbyt długo usiłował mnie chronić, nawet gdy tego nie potrzebowałam. Myśl, że policjanci z LAPD mogli mnie przetrzymywać w kajdankach choćby przez sekundę, wystarczyła, żeby wyprowadzić go z równowagi.

- Muszę się jak najszybciej wykapać - powiedziałam.

Słyszając to, trochę złagodniał.

- Nie pozwolili mi nawet spojrzeć na miejsce przestępstwa - po skarżył się.

Widok ciemnej lśniącej rany i przeciętej perłowobiałej tchawicy Williama błysnął mi przed oczami.

- Ja chętnie bym go nie oglądała - odparłam.

Wzięli mnie obaj pod ręce i zaprowadzili do samochodu. Wokół budynku stał teraz ponad tuzin radiowozów, parkowały furgonetki oddziału antyterrorystycznego, ekipy technicznej i wypełniony elektroniką samochód kryzysowego centrum dowodzenia. Strefę bezpieczeństwa wyznaczono w promieniu dwóch najbliższych przecznic. Większość mieszkańców wieżowca wciąż przebywała na dworze, czekając na przesłuchanie albo po prostu dlatego, że nie chcieli wrócić do środka, bojąc się niebezpiecznego szaleńca grasującego w budynku.

Przeszliśmy przez jezdnię i zatrzymaliśmy się przy moim samochodzie. Śwąd dymu był teraz mocniejszy. Drobne płatki popiołu niesione wiatrem okryły przednią szybę niczym śnieg.

- Czy muszę wiedzieć coś, co nie może poczekać do jutra? - spytał Chavez.

Wzięłam ostrożny wdech, uważając na poobijane zebra.

- On tego nie zrobił - powiedziałam.

Chavez spojrział na mnie zdezorientowany.

- Myślę, że na celowniku policji znalazł się niewłaściwy człowiek - wytłumaczyłam.

- Lopez?

- Przytaknęłam.

- Powiedział mi, że tego nie zrobił.

- Tuż po tym, jak walnął cię kijem bejsbolowym po żebrach - zauważył Chavez. - Niewinni ludzie nie atakują policjantów kijami bejsbolowymi.

Zerknęłam na Harrisona i dostrzegłam zrozumienie w jego oczach.

- Gdyby zabił Williamsa, nie miałby powodu, żeby zachować cię przy życiu - powiedział. - Nie miałby nic do zyskania.

Chavez zastanawiał się nad tym przez chwilę, a potem łypnął w stronę funkcjonariuszy SWAT, którzy przechodzili obok ubrani w czarne mundury i uzbrojeni w karabiny maszynowe Mac-10.

- LAPD ma na ten temat inne zdanie - rzekł. - Postępowalibyśmy tak samo, gdyby zginął jeden z naszych.

- Ale to nie zmienia faktu, że Lopez nie jest zabójcą - odparłam.

- To kim jest?

- Jedyną osobą, która może zidentyfikować człowieka, który zabrał nagranie z Western Union - odpowiedział mu Harrison.

Zaczęłam kiwać głową, lecz zdałam sobie sprawę, że to niekoniecznie prawda.

- Możliwe, że jest ktoś jeszcze. Dana Courson, dziewczyna mego... Johna Manninga, chyba też go widziała.

- Jeśli tak, to może być w niebezpieczeństwie - zauważył Harrison.

- Mówiła, że wyczuła w nim coś nie tak, i powiedziała mu, że mieszka w sąsiednim mieszkaniu.

- Ale zabójca znalazł Lopeza - powiedział Harrison.

- I przez pomyłkę zamordował Williamsa.

Chavez patrzył na mnie przez chwilę.

- Według ciebie morderca sądził, że zabija Lopeza?

Pokiwałam głową.

- Przynajmniej do momentu, gdy było po wszystkim. Możliwe, że po fakcie zrozumiał swą pomyłkę.

- A Lopez wszedł do mieszkania i znalazł na podłodze zwłoki - dośpiewał sobie Chavez.

- Będę potrzebowała adresu Dany Courson, pracuje w biurze obrońcy z urzędu - powiedziałam.

- Zdobędę go - zapewnił Chavez. Wciągnął powietrze i podniósł wzrok na popiół spadający z nieba. - Mógłbym zapytać, co się tu, u licha, dzieje, ale nie lubię czuć się głupio w obecności swoich podwładnych. - Skierował na mnie swoje duże brązowe oczy. - Czy to prawda, że Manning był twoim bratem?

Przytaknęłam.

- Przyrodnim.

- I jesteś pewna, że to nie było samobójstwo? - zapytał.

Skierowałam spojrzenie na plamy krwi na spodniach.

- Teraz jestem.

Chavez zastanawiał się nad tym przez moment.

- I w tym wszystkim chodzi o faks? - spytał.

- To jest punkt wyjścia - odrzekłam. - Nie wiem, jaką zawierał wiadomość.

Komendant popatrzył na drugą stronę ulicy i małą armię funkcjonariuszy LAPD, która okupowała większą część przecznicy.

- Musimy sprawiać wrażenie, że chodzi nam wyłącznie o twoje go brata - powiedział Chavez. - Jakakolwiek sugestia, że ingerujemy w śledztwo dotyczące zabicia Williamsa, a w LAPD się wściekną.

Skinęłam głową.

- Chciałabym się dowiedzieć, co Williams do tej pory odkrył - oznajmiłam.

- Zobaczę, co da się zrobić - odparł Chavez. - Znajdę też Dane Courson i przydzielę jej ochronę. Chciałbym, żeby lekarz obejrzał te twoje zębra, a potem Harrison zabierze cię do domu. - Otworzył drzwiczki od strony pasażera, ostrożnie pomógł mi wsiąść i zapiał pas bezpieczeństwa. - Martwienie się o ciebie zmienia mnie w starego zgrelda - powiedział z półśmiechem.

- Byłeś starym zgredem, nawet kiedy byłeś młody - odrzekłam.

Popatrzył na mnie swoimi dużymi oczami, które zdawały się coraz bardziej smutnieć z każdym dniem służby.

- Przykro mi z powodu twojego brata - wygłosił.

Patrzyliśmy na siebie jeszcze przez chwilę.

- Przykro mi, że go nie znałam - odparłam.

Pogładził się po policzku, zamknął drzwiczki i ruszył z powrotem w stronę miejsca zbrodni. Przez chwilę wpatrywałam się w furgonetkę koronera.

- Najwyraźniej Williams był jednak lepszym gliniarzem, niż sądzi liśmy - zauważyłam. - Równie dobrze mogłabym teraz leżeć na jego miejscu.

Harrison milczał przez jakiś czas, aż cisza pochłonęła rzuconą przeze mnie myśl. Potem spojrzął na drugą stronę ulicy.

- Ale stało się inaczej.

Rentgen wykazał pęknięcia czwartego i piątego żebra, ale oba pozostały w jednym kawałku i nie przekłuły płuca. Lekarz obandażował je, poradził, żebym przez kilka dni jak najmniej się ruszała, i dał środki przeciwbólowe, abym przetrwała następne dwadzieścia cztery godziny. zaproponował mi szpitalną piżamę, żebym mogła zdjąć pokrwawione spodnie, ale odmówiłam. Nie chciałam, by nabranie dystansu do tego, co się stało, przyszło zbyt łatwo. Williams zasługiwał przynajmniej na tyle, poza tym chciałam pamiętać, że żyję tylko dlatego, iż Lopez nie jest mordercą.

Na wzgórzach nad Pasadena, gdzie mieszkałam, wiało teraz mocno. Skręciliśmy w Mariposę i podjechaliśmy do końca uliczki, przy której na skraju gór San Gabriel stał mój dom. Dym pożarów na wzgórzach Verdugo wzbijał się w niebo na zachodzie, lecz tutaj powietrze zdawało się czyste. Łuna nad szczytami była ledwo widoczna.

Harrison dojechał do końca podjazdu i zatrzymał samochód. Sięgnęłam po sprzączkę pasa bezpieczeństwa i przez klatkę piersiową przebiegł skurcz bólu.

Harrison wyciągnął rękę i odpiął mi pas, potem wysiadł, obszedł wóz i otworzył drzwiczki. Wziął mnie za ramię i ostrożnie pomógł wstać z fotela. Przez chwilę patrzyłam mu w oczy i poczułam, jak zaczyna brakować mi tchu, lecz nie z powodu bólu, w każdym razie nie takiego, na który pomogłaby tabletką.

- Myślę, że będę potrzebować pomocy w domu - oświadczyłam.
- Chyba nie uda mi się wejść do wanny.

Podniósł rękę, łagodnie odgarnął mi z twarzy parę kosmyków włosów i uśmiechnął się.

- Chcesz, żebym wezwał Travera? - spytał.

Zaprzeczyłam.

- Nie przejmuj się - powiedział.

Objął mnie ramieniem, wprowadził do domu i posadził na stołku w kuchni, podczas gdy sam poszedł do łazienki i napuścił wody do wanny. Parę minut później pojawił się z powrotem.

- Znalazłem olejek kąpielowy. Wlałem ci go trochę.

Wziął mnie za rękę i pomógł wstać, a potem powoli poprowadził przez korytarz. W łazience unosił się zapach olejku eukaliptusowego,

Harrison zamknął za nami drzwi. W nogach wanny płonęła świeczka, łagodnie oświetlając pomieszczenie.

- Pomyślałem, że może będziesz miała ochotę na długą kąpiel - wyjaśnił.

Przez moment patrzyłam na wodę, potem sięgnęłam do pierwszego guzika bluzki. Nawet prosty ruch ręką sprawił, że przeszył mnie ból.

- Pozwól, że ja to zrobię - rzucił Harrison, podchodząc. - Już to kiedyś robiłem, wiesz.

Spojrzałam mu w oczy.

- Nie ze mną - zauważyłam.

Delikatnie wyciągnął koszulę ze spodni, a potem porozpinał guziki, aż rozchyliły się poły. Zsunął mi bluzkę z ramion, złożył ją starannie i położył na toalecie.

- Po kąpieli znowu założę bandaż - oświadczył i zaczął go odwijać. - Boli? - zapytał, zdejmując ostatni zwój.

Próbowałam coś powiedzieć, ale zdołałam tylko pokręcić głową. Harrison delikatnie położył dłoń między moimi łopatkami.

- Oddychaj - polecił.

Wzięłam płytki oddech, potem następny. Harrison odpiął sprzączki stanika, który zsunął się z moich barków prosto w jego dłonie. Położył go obok bluzki, a ja zaczęłam się nerwowo szamotać z guzikiem od spodni, ale palce odmawiały mi posłuszeństwa.

Harrison wyszedł z za moich pleców, zakręcił kran i sprawdził dłońmi temperaturę wody. Udało mi się odpiąć guzik, ale nie mogłam się schylić na tyle, żeby zdjąć spodnie.

- Nie mogę się schylić - powiedziałam. Harrison odwrócił się i przykucnął przede mną.

- Oprzyj się o mój bark, żebyś nie straciła równowagi.

Wyciągnęłam ramię i zdałam sobie sprawę, że trzęsie mi się ręka.

Chwycałam go mocno za bark, żeby zamaskować drżenie, a on rozpiął mi suwak. Serce waliło mi tak mocno, że każde uderzenie powodowało ból. Wzięłam głęboki oddech i zamknęłam oczy, kiedy Harrison delikatnie zsunął spodnie i bieliznę w dół po moich biodrach i nogach.

- Boże - szepnęłam, nie zdając sobie z tego sprawy.

Zrobiłam krok w bok, wyplątując się z ubrań. Potem Harrison uniosł mi po kolei stopy i zdjął skarpetki. Próbowałam oddychać, ale nie mogłam. Zaczynałam drżeć.

- Oddychaj - powtórzył.

- Nie mogę.

Harrison wyciągnął rękę i dotknął mojej nogi tuż za kolanem. Spuściłam wzrok i zobaczyłam, że przygląda się plamom krwi na moich łydkach. Ścisnęło mnie w żołądku i poczułam, że zbiera mi się na wymioty.

- Zmyję krew, zanim wejdiesz do wanny - oznajmił.

Podniósł wzrok i spojrzał mi w oczy, a ja pokiwałam głową.

- Dziękuję - szepnęłam.

Wszelkie skrępowanie, jakie mnie ogarniało, gdy stałam przed nim nago, zniknęło. Nie czułam się tak bezpiecznie z mężczyzną od niepaamiętnych czasów. Harrison uratował mi kiedyś życie, samemu narażając się na znaczne niebezpieczeństwo. Nie sądziłam, że ktokolwiek mógłby dać z siebie więcej, ale byłam w błędzie. Dawał to teraz. Choć w pełni ubrany, był równie nagi jak ja. Połączyło nas zaufanie, które wcześniej zdawało mi się niemożliwe między dwojgiem ludzi. Utraciłam je jako pięcioletnia dziewczynka, gdy ojciec odszedł z mojego życia. Harrison został go pozbawiony w dniu, gdy zamordowano mu żonę.

Wziął ręczniczek i zwilżył go ciepłą wodą. Uniósł mi stopę, oparł ją na swoim udzie, a potem zaczął delikatnie wycierać krew długimi, ostrożnymi ruchami.

Kiedy pierwsza noga została umyta, postawił moją stopę z powrotem na posadzce, wypłukał ręczniczek w umywalce, a potem powtórzył cały proces, ruch za ruchem zmywając z mojej skóry dowody zbrodni.

Potem odłożył ręcznik do umywalki i stanął za moimi plecami.

- Przytrzymaj się moich ramion, a ja opuszczę cię do wody.

Weszłam do wanny i oparłam się o niego, gdy umieszczał mnie w ciepłej kąpieli. Ułożyłam się na plecach, pozwalając, aby woda mnie pochłonęła. Odetchnęłam tak głęboko, jak pozwalały mi na to pęknięte żebra, wciągając mocny aromat eukaliptusa.

- Poczekam na zewnątrz - powiedział Harrison.

Podniosłam na niego wzrok. W świetle świecy blizna na jego twarzy stała się prawie niewidoczna i sprawiał wrażenie, jakby zmienił się w blondwłosego opalonego chłopaka z lat młodości.

- Zostań, proszę - powiedziałam.

Przez chwilę patrzył mi w oczy, a potem kiwnął głową i usiadł na podłodze, opierając się plecami o drzwi.

- Będę tuż obok.

Odetchnęłam i zamknęłam oczy, zanurzając się w ciepłej wodzie.

- Chcesz porozmawiać? - zapytał.

- O Williamsie? - Pokręciłam głową.
- Myślałem raczej o twoim bracie.

Otworzyłam oczy i spojrzałam na blask świeczki migoczący na kafelkach ściany.

- Ktoś go kochał - oznajmiłam cicho, ledwo świadoma własnego głosu.

Patrzyliśmy na siebie przez parę sekund, a potem ułożyłam się wygodnie i zamknęłam oczy.

Czterdzieści minut później dotknął mojego ramienia i uniosłam powieki.

- Zasnęłaś - rzucił Harrison. - Powinniśmy wyciągnąć cię z wanny i obandażować żebra. - Złapał mnie za ręce, pomógł wstać i otulił ręcznikiem. Równie ostrożnie, jak zmył krew z moich nóg, delikatnie mnie wytarł i owinał bandażem tuż pod piersiami.

- Jeśli będzie za mocno, daj mi znać - polecił.

Próbowałam powiedzieć, że jest w porządku, bo nie obchodził mnie już ból albo po prostu go nie zauważałam. Chciałam zadać Harrisonowi tysiące pytań, przeanalizować to, co się między nami działo jak dowody w śledztwie, ale nie byłam w stanie tego zrobić. Po prostu słuchałam dźwięku, którego nie słyszałam od bardzo dawna - bicia własnego serca.

Harrison skończył opatrywać mi żebra i otulił mnie szlafrokiem.

- Powinnaś się wyspać - stwierdził. - Pomógł mi wyjść z łazienki i poprowadził korytarzem do sypialni. - Zdołasz sama położyć się do łóżka?

Przez chwilę wpatrywałam się w puste łóżko.

- Mam w tym niezłą wprawę - oznajmiłam.

Harrison spojrzał na mnie i odwrócił wzrok.

- Wiem, jak to jest - zauważył.

Uniosłam rękę i dotknęłam blizny w kształcie półksiężyca przy kąciku jego oka. Zakrył moją dłoń swoją, przyciskając ją do policzka.

- Gdyby to było... - zaczęłam mówić, zanim mnie powstrzymał.
- Tak - odparł. - Odpowiedź brzmi „tak”.

Zamknął oczy, pocałował moją dłoń i zdawało się, że na mgnienie zatracił się w nastroju chwili. Potem jego palce zsunęły się z moich, odwrócił się i wyszedł.

Stałam zupełnie bez ruchu, słuchając, jak zamyka za sobą frontowe drzwi, zapuszcza silnik i wycofuje samochód z podjazdu. Razem z ciszą

powrócił tępy ból żeber pod bandażem. Ostrożnie usiadłam na łóżku, zgasiałam światło i położyłam się spać w pustym domu.

9

Budzą mnie głosy z głębi holu. Sięgam po pistolet w nocnej szafeczce, ale szuflada jest pusta. Wykradam się z łóżka, podchodzę do drzwi i przywieram do nich, nasłuchując. Mężczyzna i kobieta krzyczą na siebie. Nie mogę rozróżnić słów, bo są miotane zbyt szybko, ale słyszę strach w jej głosie - tę mieszaninę adrenaliny i przerażenia.

Potem kłótnia ustaje, milczenie gęstnieje i nabiera znamion krzyku. Otwieram drzwi i wychodzę do ciemnego holu. Słabe światło tli się na końcu korytarza. Wydaje mi się, że coś słyszę, ale to tylko cisza. Na końcu korytarza przystaję, a potem wchodzę w światło.

Matka i ojciec są w salonie. On chwytą ją za gardło, jej stopy wiszą kilka centymetrów nad podłogą. Ojciec odwraca się i patrzy na mnie, potem puszcza matkę, a ona pada na podłogę niczym szlafrok, który zsunął się z wieszaka.

Brzęczenie budzika wyrwało mnie ze snu. Przez chwilę leżałam nieruchomo, wyrównując oddech. Nie pamiętałam, żeby wcześniej śniło mi się coś takiego. Dlaczego teraz? Dotknęłam ręką bandaża na żebrach. Sny i przemoc pochodzą z miejsc, które są poza naszą kontrolą. Krzyki mojej córki, które powtarzały się co noc miesiące po tym, jak Gabriel wdarł się w nasze życie, świadczyły o tym powiązaniu aż nadto.

Zegar wskazywał prawie wpół do dziewiątej. Spałam przez godzinę pomimo elektronicznego brzęczenia budzika. Usiadłam na łóżku, pęknięte żebra zmuszały mnie do mozolnego wykonywania nawet najdrobniejszych ruchów. Wpatrywałam się w rozproszone światło przenikające przez zasłony do sypialni.

Coś było nie tak. Po chwili wyczułam swąd dymu, który spowijał miasto niczym całun.

Spojrzałam na szlafrok leżący w nogach łóżka i znów stałam naga przed Harrisonem, a jego dłonie delikatnie przesuwały się po moim cie-

le. Spróbowałam odetchnąć, ale ledwo byłam w stanie zaczerpnąć tchu. Przebiegł mnie dreszcz i zamknęłam oczy, usiłując uchwycić się tamtej sceny, lecz zamiast tego zobaczyłam zwłoki przyrodniego brata na stole w kostnicy, z małą raną postrzałową przy skroni.

Na nocnej szafce rozdzwonił się telefon. Zignorowałam go, próbując wrócić do wspomnienia Harrisona, lecz zdawało się umykać zbyt szybko, bym mogła je schwycić. Nie byłam nawet pewna, czy to wszystko wydarzyło się naprawdę. Podniosłam słuchawkę.

- Jak się czujesz? - zapytał komendant Chavez.

- Daj mi chwilę na zastanowienie - odparłam.

W jego głosie usłyszałam sekundowe wahanie.

- Co się dzieje? - spytałam.

- Zostaliśmy postawieni w stan gotowości. Zdaje się, że całe cholerne hrabstwo może pójść z dymem.

- Ale to nie dlatego do mnie dzwonisz - powiedziałam.

- Nie. Posłałem funkcjonariusza, żeby przyjechał po ciebie twoim samochodem. Mam coś, co powinnaś zobaczyć.

10

Wzgórza nad Pasadeną nie zaczęły jeszcze płonąć, ale pożar na wschodzie okrył miasto ciężką koldrą dymu, od którego słońce przybrało jasnopomarańczową barwę melona.

Kiedy weszłam, Chavez był w gabinecie z Harrisonem. Popatrzyliśmy sobie z Harrisonem przelotnie w oczy, lecz jego spojrzenie nie ujawniało nic z intymności ostatniego wieczoru. Pośrodku pustego zwykle biurka Chaveza leżała kartonowa teczka.

- Czy to akta zebrane przez detektywa Williamsa w sprawie mojego brata? - spytałam.

Chavez pokiwał głową.

- Jak ci się to udało?

- Po prostu powiedzmy, że nie wymieniłem twojego nazwiska - odrzekł Chavez.

- Jakieś wieści o pracowniku Western Union, Lopezie?

Pokręcił głową.

- Wszystkie lokalne redakcje mają jego zdjęcie. Wszystkie agencje poszukują zabójcy policjanta. - Odsunął fotel, obszedł biurko i usiadł. - Niezupełnie tego się spodziewałem po tych aktach - powiedział.

Zaczęłam przeglądać dokumenty. Były to zwykłe sprawozdania z miejsca zbrodni nad brzegiem rzeki, gdzie znaleziono Johna. Brakowało badań toksykologicznych i pełnego raportu z laboratorium, bo jeszcze ich nie przygotowano.

- Nie ma tu niczego, co mogłoby mi się przydać - stwierdziłam i popatrzyłam na nich obu. - Co takiego miałam zobaczyć?

Chavez skinął na brązową papierową kopertę przypiętą spinaczem do teczki.

- Rzuć okiem na to.

Otworzyłam kopertę i wyciągnęłam poźółkły raport z aresztowania. Pochodził z 1987 roku. Zaczęłam przebiegać wzrokiem kolejne linijki tekstu.

- To aresztowanie w sprawie morderstwa - wyjaśnił Chavez.

Mój wzrok zatrzymał się na nazwisku podejrzanego.

- Thomas Manning - przeczytałam. - Do ostatniej kartki było przyklejone policyjne zdjęcie. Wyciągnęłam je i obejrzałam. - To mój ojciec - wyszeptalam. - Szybko przebiegłam wzrokiem resztę raportu. - Chodzi o sprawę mordercy znad rzeki.

- Pamiętam ją - powiedział Chavez. - Wykonałem kilka telefonów, żeby odświeżyć sobie pamięć. Trzy młode kobiety zostały zamordowane, ich ciała porzucono nad brzegiem rzeki Los Angeles.

- Gdzie dokładnie? - spytałam.

- Mniej więcej tam, gdzie znaleziono twojego brata. Sprawy nigdy nie rozwiązano.

W oczach stanął mi obraz z ostatniego snu, tylko że teraz to wcale nie był sen, lecz rzeczywistość. Jako mała dziewczynka patrzyłam, jak ojciec dusił matkę.

Poczułam na ramieniu dotyk dłoni, która ściągnęła mnie z powrotem w teraźniejszość.

- Dobrze się czujesz, Alex? - spytał Chavez.

Wzięłam głęboki oddech.

- Tak, nic mi nie jest.

- Spójrz na nazwisko adwokata obecnego przy przesłuchaniu - podsunął Harrison.

Przebiegłam wzrokiem kartkę raportu i znalazłam nazwisko pośrodku strony.

- Gavin... Gavin był adwokatem mojego ojca.

Popatrzyłam na Harrisona.

- Twojego ojca zwolniono w ciągu paru godzin od aresztowania, nie wniesiono przeciw niemu żadnych zarzutów.

Starałam się uporządkować w głowie wszystkie elementy układanki, lecz doprowadziło mnie to do jeszcze większej liczby pytań.

- Fakt, że mój brat pracował dla Gavina, nie może być przypadkowy - powiedziałam.

- To rzeczywiście mało prawdopodobne - przyznał Harrison.

- A jeśli przyjmiemy ten tok myślenia i wyciągniemy dalsze wnioski, faks, który mi wysłał, prawdopodobnie miał z tym coś wspólnego. Albo jeden z nich, albo obaj musieli pracować nad czymś, co wiązało się z tamtą sprawą.

- Albo szukali kogoś takiego - podsunął Harrison.

Nie mogłam odrzucić związku między faktami, które mi właśnie przedstawili. Mój ojciec został przesłuchany w charakterze podejrzanego w sprawie o serię zabójstw, a brat stracił życie prawie w tym samym miejscu, co ofiary tamtego mordercy, pracując dla człowieka, który reprezentował ojca osiemnaście lat wcześniej.

- Seryjny morderca oraz zabójstwa mojego brata i gliniarza LAPD. A łączy je tylko osoba mojego ojca - powiedziałam.

- To jeszcze nie znaczy, że twój ojciec jest winny, Alex - zauważył Chavez. - Przecież nawet nie wiesz, czy jeszcze żyje.

- Nie wiem, ale z tego powodu do mnie zadzwoniłeś. Prawdopodobnie właśnie to doprowadziło mojego brata do współpracy z Gavinem, a teraz obaj nie żyją, podobnie jak gliniarz, który widział akta i myślał dokładnie to, co my teraz. Tak czy inaczej, mój ojciec staje się główną postacią w tej sprawie.

- Ale dlaczego? - dociekał Harrison. - Williams mógł równie dobrze przypadkowo natknąć się na te akta, kiedy wpisał do bazy danych nazwisko Manning.

- Dochodzeniówka LAPD wciąż traktuje śmierć twojego brata jako samobójstwo, a koroner prawdopodobnie podzieli tę opinię - dorzucił Chavez.

- Myślisz, że detektyw Williams zgodziłby się z tym, gdyby był w stanie? - zapytałam.

- Mimo to nie da się zaprzeczyć, że Gavin zginął w wypadku.
- A w dniu swojej śmierci mój brat usiłował skontaktować się ze mną po raz pierwszy w życiu. Musiał mieć dobry powód, żeby to zrobić, coś, co dotyczyło nas obojga.
- Logiczne wydaje się przypuszczenie, że chodziło o waszego ojca
- powiedział Harrisom
- Wzruszyłam ramionami.
- Ale o co konkretnie?
- Tylko twój brat to wiedział - zauważył Chavez.
- Nie tylko on, także jego zabójca.
- Namierzyliśmy już Dane Courson?
- Mieszka w Studio City. Jej telefon nie odpowiada, nikt nie otwiera drzwi. W biurze obrońcy mówią, że poinformowała o swej tygodniowej nieobecności. Kazałem im powtórzyć, żeby skontaktowała się z nami, jeśli zadzwoni do pracy.
- Spojrzałam na Chaveza, którego łagodne, ciemne oczy nigdy zbyt dobrze nie skrywały nawet najbardziej niewinnych emocji.
- Twój ojciec został przesłuchany w sprawie o morderstwo osiemnaście lat temu - powiedział. - Aresztowano po prostu nie tego człowieka. Założę się, że na tym się skończyło.
- Nie dla mojego brata i detektywa Williamsa - odparłam. - Myślisz, że ci z LAPD znaleźli już powiązanie między mordercą znad rzeki a tą sprawą?
- Jeśli istnieje jakieś powiązanie - zaznaczył Chavez. - W każdym razie jeszcze go nie odkryli, skoro wciąż szukają zabójcy policjanta.
- Możemy zdobyć pełne akta sprawy mordercy znad rzeki?
- Policjanci z LAPD bardzo jasno dali do zrozumienia, że jeśli wściubisz nos w sprawę zabójstwa brata albo Williamsa, aresztują cię za utrudnianie śledztwa.
- Wystarczy wyjaśnienie, że przyglądam się sprawie o morderstwo sprzed osiemnastu lat.
- Chavez zaprzeczył.
- Kiedy wyjmą już głowy z własnych tyłków, mogą skojarzyć fakty.
- Możesz zdobyć te akta?
- Chavez westchnął.
- Zobaczę, co da się zrobić.
- Przeniosłam wzrok na zdjęcie ojca. Był sporo starszy niż na fotografii, którą ostatnio widziałam. Czarujący wygląd, który podsycił marzenia

o gwiazdorstwie, przyblakł. Iskry w oczach zniknęły, ostre rysy twarzy złagodniały. Próbowałam sobie wyobrazić, jakie było jego życie po tym, gdy zostawił matkę i mnie, ale nie mogłam. Zdjęcia policyjne rejestrują obraz chwili w znaczenie większym stopniu niż inne. Fotografowany nie ma przeszłości ani przyszłości, tylko ulotny okrutny moment w białym błysku flesza. Prawdę mówiąc, gdybym natknęła się na tego człowieka na ulicy dziś po południu, w ogóle bym go nie poznała.

Wzięłam akta i poszłam do swojego gabinetu, podczas gdy Harrison zadzwonił do lekarza, który opiekował się Gavinem. Zerknęłam na policyjną fotkę ojca raz jeszcze, a potem zamknęłam teczkę i chwyciłam słuchawkę. Znałam numer, ale jak zawsze, gdy go wybierałam, zajrzałam do notesu. Idealne córki nie popełniają błędów.

- To ja - zaczęłam, kiedy odebrała. - Musisz mi coś powiedzieć.
- Więc to jedna z tych rozmów, czy tak? - odparła matka.
- Nie, po prostu chciałam, żebyś była ze mną szczerą.
- A kiedy to nie byłam wobec ciebie szczerą?
- Nie o to mi chodziło.
- Ale tak to zabrzmiało.
- Przepraszam, powinienam była ująć to inaczej.
- Mówisz tak, jakbyś podejrzewała mnie o przestępstwo.

Zamknęłam oczy i zaczerpnęłam powietrza.

- To tylko zły nawyk - łagodziałam.

Wydawało mi się, że usłyszałam, jak zapala papierosa, mimo przysięg, iż porzuciła ten nałóg lata temu.

- Okej, o co chcesz zapytać? - spytała.

Myślałam, że wiem, jak sformułować pytanie, lecz nagle zdałam sobie sprawę, że jest inaczej. W każdym razie nie wiedziałam, jak je zadać w taki sposób, żeby nie pomyślała, że o coś ją oskarżam. Zawahałam się, a potem zapytałam w jedyny znany mi sposób. Jak glina.

- Czy mój ojciec kiedykolwiek cię maltretował?

Po drugiej stronie zaległa cisza, jakby matce zabrakło tchu, gdy usłyszała moje słowa.

- Jak możesz pytać o coś takiego? - powiedziała w końcu lekko rozedrganym głosem. - Jak możesz?

- Ostatniej nocy śniło mi się, że cię dusił.
- Sen? Oskarżasz mnie na podstawie snu?
- Ofiara przemocy nie jest niczemu winna. O nic cię nie oskarżam.

- Myślisz, że jestem typem osoby, która zostałaby z człowiekiem, który tak by ją traktował?

- Nie ma żadnego typu osób, którym to się przytrafia, są tylko ofiary.

- Cóż, ja nie jestem ofiarą. Sądziłam, że to wiesz po tym, jak cię wychowałam...

Dałam sobie parę sekund, żeby ochłonać.

- Przepraszam, to był tylko sen, ale musiałam cię zapytać - wyjaśniłam.

- Dziwne, że w ogóle mnie to zaskakuje. Idziesz przez życie, brodząc w brudach tego świata. Boże... nigdy więcej nie pytaj mnie o takie rzeczy.

Usłyszałam kilka nerwowych oddechów, a potem matka się rozłączyła. Trzymałam słuchawkę jeszcze przez chwilę, wpatrując się w guzik ponownego wybierania numeru. Jako policjantka zetknęłam się z setkami spraw przemocy rodzinnej i gdy ofiarom po raz pierwszy zadawano pytanie, czy były maltretowane, wszystkie odpowiadały tak samo jak moja matka.

Rozległo się pukanie do drzwi i wszedł Harrison. Zaczął coś mówić, ale zauważył telefon w mojej dłoni.

- Wrócić później?

Pokręciłam głową.

- Powiedz mi coś podnoszącego na duchu - poprosiłam.

- Właśnie rozmawiałem z lekarzem, który opiekował się Gavinem - odrzekł. - W śmierci Gavina nie było nic zaskakującego, biorąc pod uwagę rozległość urazów po wypadku.

- Rozmawiał z moim bratem?

- Nie. Pielęgniarka wydaje się, że widziała, jak jakiś policjant zadał mu parę pytań, ale nie jest pewna.

- To nic dziwnego po poważnym wypadku samochodowym.

- Tylko że mówiła, że to był detektyw, a nie mundurowy.

- Mogłaby go zidentyfikować?

- Widziała go tylko z drugiego końca sali na pogotowiu, a facet nie rozmawiał z żadnym pracownikiem szpitala.

Patrzyliśmy na siebie przez moment, aż zdałam sobie sprawę, że wciąż trzymam w ręku słuchawkę, i dopiero wtedy ją odłożyłam.

- Wszystko w porządku? - spytał Harrison.

Zaprzeciłam głową.

- Moja matka twierdzi, że idę przez życie, brodząc w brudach tego świata - odparłam.

- Właściwie to pytałem, czy nie bołą cię żebra - przyznał.
Podniosłam wzrok. Patrzył mi prosto w oczy, nie próbując odwrócić wzroku.

- Dziękuję za wczorajsze - powiedziałam.
- Nie ma za co.
- W drodze do pracy przygotowałam sobie całą przemowę, ale nagle wyparowała mi z głowy.

Pamiętałam, że to samo zrobiłam w gimnazjum pierwszy raz, gdy chłopak zadzwonił do mnie do domu. Odwiesiłam słuchawkę, nie wypowiedziawszy ani słowa.

- Jestem porucznikiem, a ty jesteś jednym z podlegających mi detektywów. Brnięcie w to dalej mogłoby nie być najlepszym pomysłem, szczególnie dla ciebie. Wiesz, jacy potrafią być gliniarze.

Głos w mojej głowie krzyczał: „Idiotka, idiotka, idiotka”.

- Wydaje mi się, że w tej chwili masz dość zmartwień i bez tego - odrzekł Harrison, ułatwiając mi sprawę.

- Myślę o tym, jak stałam wczoraj wieczorem przed tobą, o tym, co dla mnie zrobiłeś, o twoim dotyku... I bardzo trudno jest mi zachować się, jak przystało na porucznika.

Harrison lekko się zarumienił. Podniósł rękę, potarł bliznę przy oku i się uśmiechnął.

- Nigdy wcześniej nie byłem sam na sam z gołym porucznikiem.
- Patrzył mi w oczy jeszcze przez jakiś czas. - Kiedy to się skończy - powiedział.

Myśl, że kiedykolwiek skończę z tym, co teraz odkrywałam, zdawała się mało realna. Zerknęłam znów na telefon, a potem na leżący przede mną raport.

- Stało się coś jeszcze, prawda? - zapytał Harrison.
Potwierdziłam.

- Jeśli nie ma potrzeby, żebyś mi o tym mówiła... - zaczął, ale nie dałam mu dokończyć.

- Ostatniej nocy miałam sen i teraz zaczynam myśleć, że mogło to być coś więcej.

- Wspomnienie? - domyślił się Harrison.
- Tak. Myślę, że ojciec maltretował moją matkę - wyznałam.
Harrison usiadł na poręczu fotela przed moim biurkiem.

- Jesteś pewna?
Kiwnęłam głową. Otworzyłam teczkę i wyjęłam zdjęcie ojca.

- On jest dla mnie kimś obcym. Niczego nie jestem pewna. Ale nie sądzę, żeby jakikolwiek psychoterapeuta uznał moment pojawienia się tego snu za przypadkowy.

- Rozmawiałaś o tym z matką?

Potwierdziłam.

- Nie poszło mi najlepiej.

- Zaprzeczyła?

- W kiepskim stylu. Wszystko, co powiedziała i przemilczała, wskazuje, że mam rację.

Harrison zastanawiał się przez chwilę.

- Nawet jeśli to prawda, nie czyni to jeszcze z twojego ojca mordercy, a na pewno seryjnego mordercy - zauważył. - Bo ci zwykle tłumia agresję w codziennym życiu.

Pokiwałam głową.

- Ale to znaczy, że ojciec był agresywny.

Spojrzałam na policyjne zdjęcie raz jeszcze w nadziei, że odkryje jakiś drobiazg, szczelinę, która pozwoliłaby mi zajrzeć w duszę ojca i poprowadziła mnie w innym kierunku. Niczego takiego nie znalazłam. Wyrzałam przez okno na dziwnie pomarańczowe, przydymione słońce. Granica dzieląca rzeczywistość od sennego koszmaru zdawała się zniknąć z każdą sekundą.

- Myślałam, że w dzieciństwie bałam się ciemności, ale teraz sądzę, że bałam się ojca - oznajmiłam.

11

Len Hazzard, detektyw wydziału kryminalnego, który prowadził dochodzenie w sprawie mordercy znad rzeki, przeszedł trzy lata temu na emeryturę i mieszkał w Chatsworth, na zachodnim skraju doliny San Fernando.

Wiatr Santa Ana dął z prędkością sześćdziesięciu kilometrów na godzinę poprzez kaniony, gdzie dawną gęstą roślinność zastąpiły osiedla. Pożary na wschód od Pasadeny zabarwiały niebo surrealistyczną luną, lecz nie stwarzały zagrożenia. Wjazd do kanionów przypominał wtargnięcie do miasta siłą. Kilka kilometrów dalej na północy rozżarzone

węgle spadały z nieba na dachy, wznecając punktowe pożary. Korony palm stawały w płomieniach jak od wybuchów bomb. Samochody wypakowane najcenniejszymi rodzinnymi rzeczami wylewały się strumieniem z okolicznych osiedli, podczas gdy w przeciwnym kierunku sunęły kawalkady wozów strażackich.

Harrison zatrzymał samochód przy blokadzie policji drogowej, pokazaliśmy odznaki i wjechaliśmy do osiedla. Detektyw Hazzard mieszkał na końcu zaułka wznającego się w skalistą ścianę kanionu. Jedna strona drogi była obsadzona zwęglonymi palmami o smoliście czarnych pniach.

Ubrany w hawajską koszulę i szorty Hazzard stał na trawniku przed domem, trzymając niezapalony papierosa i patrząc, jak samolot strażacki oblewa wodą zbocze następnego kanionu. Wyglądał na sześćdziesięciokilkulatka, miał przerzedzone jasne włosy, wciąż krzepką sylwetkę i skórę ogorzałą od wielogodzinnego przebywania na słońcu. Ucisnął nam dłonie i zaprosił nas do środka.

Wnętrze domu wyglądało, jakby zostało urządzone przez komitet weteranów VFW, którym zależało na spełnieniu wszystkich swoich chłopięcych marzeń. Tapicerka mebli pasowała do klubowych barw drużyn NFL i NBA. Pamiątki sportowe z autografami i karty z bejsbolistami pokrywały prawie wszystkie ściany. Zauważyłam koszulkę zespołu Yankees, w której grał Babe Ruth, i inną, należącą do Jackiego Robinsona. Szybki rzut oka na resztę kolekcji pozwalał sądzić, że kosztowała majątek. Zastanawiałam się, czy jestem pierwszą kobietą oprócz sprzątaczk, która postawiła tu stopę od dekady. Podążyliśmy za gospodarzem do jadalni, gdzie na środku stołu, pod żyrandolem z jelenich rogów stało duże kartonowe pudło.

- Wszystko tu jest: każdy raport, notatka, wszystko. Skopiowałem całą dokumentację przed przejściem na emeryturę - oświadczył Hazzard, wpatrując się w pudło, jakby żywił do niego urazę. - Kiedy zadzwonił wasz komendant, miałem je w pikapie. Zamierzałem zabrać je ze sobą, gdyby doszło do ewakuacji. - Wyrżał przez okno na spalone palmy po drugiej stronie ulicy. - Nigdy nie dam sobie z tym spokoju - powiedział. - Ma pani taką sprawę, pani porucznik? Sprawę, której nie może pani odpuścić?

Potwierdziłam skinieniem głowy.

Na tle nieba przeleciał helikopter i dom zatrzęsł się w posadach.

- To jak pieprzony koniec świata - stwierdził Hazzard.

Kiedy helikopter się oddalił, emerytowany detektyw zwrócił się do mnie:

- Może pani wziąć wszystko, co pani chce. Proszę tylko, żeby mnie pani o tym informowała. Ponadto chcę być obecny przy aresztowaniu, jeśli do niego dojdzie.

Pokiwała głową na znak, że przyjmuje warunki. Hazzard skinął ręką w kierunku krzeseł i usiedliśmy.

- Aresztował pan niejakiego Thomasa Manninga. Co może mi pan o nim powiedzieć? - spytałam.

Sprawił wrażenie, jakby nazwisko zawisło przed nim w powietrzu, a on bacznie je obserwował. Potem skupił się i odwrócił w moją stronę.

- Coś się stało, tak?

Potwierdziłam. Hazzard czekał, aż dodam do niemego skinięcia jakieś wyjaśnienie.

- Jego syna znaleziono z kulą w głowie nad brzegiem rzeki Los Angeles - powiedziałam.

- Gdzie dokładnie?

- Kilkaset metrów na północ od mostu Fletchera.

Najwyraźniej to, co powiedziałam, trąciło w nim czułą strunę. Przez chwilę wyglądał, jakby zatopił się we wspomnieniach.

- To jurysdykcja sekcji północno-wschodniej. Dlaczego sprawą interesuje się Pasadena?

- LAPD uważa, że to było samobójstwo.

- A wy nie. Dlaczego?

- Syn Manninga pracował dla adwokata nazwiskiem Gavin - powiedziałam.

Hazzard zaczął masować kark, jakby próbował przypomnieć sobie, w jakich okolicznościach słyszał już to nazwisko.

- Gavin był adwokatem Manninga.

Potwierdziłam.

- Rozmawialiście z nim?

- Zginął w wypadku samochodowym tego samego dnia, co John Manning.

Hazzard wstał od stołu i wyrzwał przez okno.

- Przy moście Fletchera znaleźliśmy pierwszą ofiarę, dwudziesto-dwuletnią Jenny Roberts.

Odwrócił się, podszedł do pudła z aktami i zaczął przetrząsać zawartość, aż wreszcie znalazł to, czego szukał. Położył przede mną kartonową teczkę. Otworzyłam ją i zobaczyłam zdjęcie o formacie dwadzieścia na dwadzieścia pięć centymetrów, jedno z tych, jakie aktorzy przynoszą

na przesłuchania do roli. Przedstawiał piękną młodą kobietę z włosami do ramion, która uśmiechała się do obiektywu.

Zmarszczki w kącikach oczu Hazzarda pogłębiły się, gdy patrzył na zdjęcie. Wyobrażałam sobie, że zmarszczek tych nie było, dopóki nie zobaczył tej dziewczyny po raz pierwszy, gdy leżała martwa nad brzegiem rzeki.

- Nie sposób zapomnieć takiej twarzy - wyznał.

- Co pan miał na Manninga? - spytał Harrison.

Hazzard znów przegrzebał zawartość pudła i wydobyl następną teczkę.

- Na miesiąc przed śmiercią wniosła skargę przeciwko Manningowi, twierdząc, że napastował ją seksualnie po lekcji aktorstwa, którą prowadził.

- Przesłuchano go w sprawie tej napaści? - zapytałam.

- Owszem, przesłuchano, ale nie było wystarczających dowodów, żeby go aresztować.

- To za mało, żeby zatrzymać go w sprawie o morderstwo - zauważył Harrison.

- Wniesiono przeciw niemu także inne skargi, dotyczyły podobnych incydentów. Był z niego niezły numer. Ale nigdy o nic go nie oskarżono. Wszystko znajdziecie w tym pudle.

- Ale to nie dlatego pan go aresztował - powiedziałam.

Pokręcił głową.

- Znał także następną ofiarę? - spytałam.

Hazzard o mało się nie uśmiechnął, choć zdawało się, że do tego nie przywykł.

- Chavez mówił, że jest pani dobrym detektywem - oznajmił.

- Druga ofiara też chodziła na jego lekcje aktorstwa. - Rzucił na stół przede mną następną teczkę. - Tu jest wszystko. Wszystko, co chce pani wiedzieć o Thomasie Manningu. I doprowadzi to panią dokładnie tam, gdzie mnie: donikąd.

- Czy coś wiązało Manninga z trzecią ofiarą? - zapytałam.

- Absolutnie nic.

Przez chwilę wpatrywałam się w teczkę niczym w rodzinny album, którego nigdy nie miałam.

- Manning był jedynym podejrzanym, którego aresztowaliście?

- spytał Harrison.

Hazzard przytaknął.

- Mieliliśmy potencjalnego świadka morderstw, ale zmarł.
- Jak?
- Był bezdomny. Przesłuchaliśmy go dwukrotnie. Tydzień później został pobity na śmierć na torowisku na wschód od śródmieścia.
- Podniosłam akta ojca, właśnie gdy nad domem zawarczał następny helikopter.
- Przesłuchał pan Manninga w sprawie tego bezdomnego?
- Zaprzeczył.
- Manning zniknął. Nigdy go nie znaleźliśmy.
- A potem morderstwa ustały - domyślił się Harrison.
- Hazzard kiwnął głową.
- Sądzi pan, że on żyje?
- Uwierzę, że umarł, dopiero gdy zobaczę go na stole w kostnicy.
- Chciałabym pożyczyć te akta - powiedziałam.
- Hazzard popatrzył na pudło jak na krewnego, który przyjechał na weekend i nigdy nie wyjechał.
- Trzymam je od osiemnastu lat. Z ulgą się ich pozbędę.
- Będę chciała jeszcze z panem porozmawiać - oznajmiłam.
- Jeżeli dom nie spłonie do fundamentów, będę tutaj.
- Włożyłam teczki z powrotem do pudła, podziękowałam Hazzardowi i ruszyłam z Harrisonem do drzwi.
- Nie powiedziała mi pani jeszcze, dlaczego się tym interesuje - zauważył Hazzard. - Śmierć syna Manninga też miała miejsce daleko od Pasadeny. - Zatrzymałam się przy drzwiach. - Czego mi pani nie mówi, pani porucznik? - dodał.
- Możliwe, że dwóch świadków widziało mężczyznę, który zabił syna Manninga. Jego dziewczyna, która była przy tym, jak podejrzany wynosił z mieszkania komputer, i urzędnik z Western Union.
- I zastanawia się pani, czy Manning nie zmartwychwstał i nie zamordował własnego dziecka?
- Detektyw z LAPD, który prowadził śledztwo, został zamordowany wczoraj wieczorem.
- Detektyw Williams. Oglądałem wiadomości.
- Kiwnęłam głową.
- Myślę, że policja ściga niewłaściwego podejrzanego.
- A dlaczego tak pani sądzi? - spytał Hazzard.
- Bo powiedział mi, że tego nie zrobił, tuż po tym, jak zaatakował mnie kijem bejsbolowym.

- To pani była tym rannym funkcjonariuszem na miejscu zdarzenia?
Potwierdziłam skinieniem głowy.
 - Myślę, że człowiek, który zabił syna Thomasa Manninga, zamordował także Williamsa, i wierzę, że ten osobnik może być jakoś powiązany z mordercą z nad rzeki.
 - Czemu seryjny morderca młodych kobiet miałby nagle zabić dwóch mężczyzn?
 - Próbuje się bronić. Przypuszczam, że Gavin i syn Manninga odkryli coś, co doprowadziłoby do jego ujęcia.
 - Ma pani jakieś dowody na poparcie tej hipotezy?
 - W noc swojej śmierci Manning usiłował się ze mną skontaktować, ale mu się nie udało.
 - Powiadomiła pani o tym LAPD?
 - LAPD szuka zabójcy policjanta. Nie interesuje ich, co ja myślę na ten temat - odparłam.
- Wyrzłam za drzwi. Rozżarzone węgle rozmiaru piłeczek golfowych spadały z nieba, a z miejsc, gdzie lądowały, wzbijały się kłęby dymu.
- Sądzę, że może pan mieć rację z tym końcem świata - rzekłam. Hazzard wyrzwał przez okno, jego twarz przypominała maskę głębokiego skupienia.
 - Koniec świata jest tylko kwestią czasu - oświadczył.
- Odwrociłam się i spojrzałam na niego.
- Myśli pan, że Thomas Manning zamordował te dziewczyny, prawda? - spytałam.
- Hazzard uśmiechnął się smutno.
- Życie upływa mi na kupowaniu kart bejsbolowych i grze w golfa. To, co myślę, nie ma już żadnego znaczenia.
- Przyszło mi do głowy, że Hazzard musi być najsmutniejszym człowiekiem, jakiego zdarzyło mi się spotkać. Hawajska koszula, kije golfowe i pamiątki sportowe były tylko bandażami, które chroniły przed kompletną rozsypką samotny dom i psychikę pokiereszowaną przez lata obcowania z przemocą.
- Thomas Manning jest moim ojcem - wyznałam. - Chciałabym poznać pańskie zdanie.
- Na twarzy Hazzarda pojawiło się zaskoczenie, choć zdawało się, że już nic nie jest w stanie wyrzucić na nim wrażenia.
- Jest pani pewna, pani porucznik?

Nie znałam odpowiedzi na to pytanie. Aż do tego ranka ojciec był dla mnie tylko wyblakłym i niegroźnym wspomnieniem z trzydziestoletniego serialu telewizyjnego. Teraz stałam w obliczu pytania, czy mógł być potworem.

- Chcę się tylko dowiedzieć, kto zabił mojego brata - odrzekłam.

Hazzard sięgnął do lodówki turystycznej pod stołem, której wcześniej nie zauważyłam, wyciągnął puszkę piwa, postawił ją na blacie i po prostu utkwiał w niej wzrok.

- Mam nadzieję, że tego właśnie pani chce - powiedział. - Bo mógłbym się założyć o wszystko, co mam, że pani ojciec zamordował te kobiety.

12

Zaczynało już zmierzchać, gdy razem z Harrisonem ułożyliśmy akta sprawy Hazzarda na stole w sali konferencyjnej w jakimś takim porządku: dowody, sprawozdania z przesłuchań, nakazy przeszukania, historie ofiar i historie podejrzanych.

Zdjęcia przypięliśmy do ściennej tablicy w porządku chronologicznym: od fotografii zrobionych za życia, poprzez zdjęcia z miejsca zbrodni aż po te z sekcji zwłok. Dwa ze zdjęć za życia były wykonanymi przez profesjonalnych fotografików portretami z portfolio aktorów, trzecie było amatorskie i wyglądało, jakby wyjęto je z rodzinnego albumu. Wszystkie trzy kobiety były blondynkami - jeśli nie naturalnymi, to przynajmniej tlenionymi. Pierwsza ofiara, Jenny Roberts, miała dwadzieścia dwa lata. Druga, Alice Lundholm, zaledwie dwadzieścia. Trzecia, Victoria Fisher, dwadzieścia pięć.

Zwłoki wszystkich trzech nosiły ślady gwałtu, choć u Victorii Fisher nie znaleziono nasienia napastnika. Wszystkie zostały uduszone kawałkiem żółtego plastikowego sznurka. Zdjęcia z miejsca zbrodni pokazywały, że wszystkie ofiary były nagie od pasa w dół, miały związane za plecami ręce i leżały twarzami do ziemi. Straciły życie w ciągu sześciu tygodni. Dwie chodziły na lekcje prowadzone przez mojego ojca. Nie znaleziono niczego, co łączyłoby go z trzecią ofiarą.

Kiedy skończyliśmy wszystko rozkładać, Harrison usiadł bez słowa przy stole. Nawet prosty akt segregowania papierów nabiera szcze-

gólnej wagi, gdy dotyczą morderstwa. Łatwo było zrozumieć, dlaczego Hazzard z ulgą pozbył się akt sprawy ze swojego domu. Sama chciałam tylko położyć się i zasnąć. Trzymanie tych dokumentów w domu musiało przypominać życie z czarną dziurą, która każdego dnia pozbawia człowieka części duszy.

- Nie ma powodu przyjmować, że Hazzard nie myli się co do twojego ojca - powiedział Harrison.

Podeszłam do okna i wyjrzałam na dwór. Pierwsza linia płomieni z nowego pożaru lasu stawała się widoczna na szczytach gór San Gabriel, które wznosiły się nad Pasadeną. Odwróciłam się i popatrzyłam na stół. Jedyna teczka z pudła, która pozostała nieotwarta, zawierała informacje na temat mojego ojca.

- Nie mamy też powodu przyjmować, że się myli - zauważyłam.

Usiadłam obok Harrisona i utkwiałam wzrok w zdjęciach na ścianie. Czułam, że dochodzenie zaczyna mnie wciągać - słyszałam zew, nawołujący do porzucenia jasnego, zrozumiałego świata, gdzie ludzie prowadzą bezpieczne życie z dala od mrocznej rzeczywistości, której świadectwa widziałam teraz przed sobą. Te trzy młode kobiety wiedziałyby, o czym teraz myślałam. Były kiedyś takimi osobami - żyły w błogiej niewiedzy i bezpieczeństwie aż do czasu, gdy w ciągu kilku straszliwych minut wtrącono je w mrok.

Przez chwilę wpatrywałam się w zdjęcia z miejsc zbrodni. W pewnym momencie śledztwa przekracza się granicę, od której wszystko, co później odkrywasz, zmienia cię na zawsze. I na nią właśnie patrzyłam. „Później nie będzie już odwrotu”, powtarzałam sobie w myślach. Hazzard dobrze o tym wiedział. Wkroczył w ten świat, a potem próbował wrócić do dawnego życia. Ale im bardziej starał się urządzić sobie zwyczajny dom, im więcej pamiątek wieszał na ścianach, tym bardziej normalność zdawała się odległa. I teraz nie był ani gliniarzem, ani cywilem.

- Czy ofiary ułożono w tej pozycji przed czy po śmierci? - zapytałam.

Harrison przejrzał wyniki autopsji.

- Po.

- Dlaczego? - spytałam.

Harrison zastanawiał się przez chwilę.

- Zabójca nie chciał, żeby patrzyły mu w twarz. Albo nie chciał patrzeć na ich twarze.

- Nie mógł spojrzeć im w oczy - zgodziłam się. Zerknęłam na Harrisona. - Miał wyrzuty sumienia.

- Na szyjach dwóch pierwszych ofiar są rany i otarcia od sznurka, którym je uduszono. U trzeciej tylko sińce, żadnych urazów od sznurka.

- Trzecią ofiarę udusił gołymi rękami - wywnioskowałam.

Harrison pokiwał głową.

- Skąd ta zmiana?

- Victoria Fisher miała w ustach piasek, ułamany ząb, rozciętą wargę i sińce na twarzy. Broniła się - odparłam.

Harrison pokiwał głową i przejrzał sprawozdania z pozostałych dwóch autopsji.

- Zwłoki dwóch pierwszych ofiar świadczą że nie doszło do szamotaniny. To wyjaśniałoby, dlaczego na ich ubraniach znaleziono ślady nasienia, a u trzeciej ofiary nie.

Wstałam i obeszłam stół, żeby przyjrzeć się zdjęciom z bliska. W przeciwieństwie do większości fotografii z miejsca zbrodni, które z biegiem lat przestają robić wrażenie, te wcale się nie zestarzały. Wyglądały świeżo, jakby zostały dopiero co wywołane.

- Czegoś tu brakuje - zauważyłam.

Harrison zrobił niepewną minę.

- Chyba się zgubiłem.

- Czwartej ofiary.

- Nie było czwartej ofiary.

- Właśnie.

Zobaczyłam w jego oczach, że zrozumiał.

- Dlaczego przestał zabijać?

Pokiwałam głową.

- Seryjni mordercy nie przestają zabijać - stwierdził.

- Zwykle przestają dopiero wtedy, gdy zostaną złapani albo umrą. A zakładamy, że ten nie umarł, bo zabił mojego brata i detektywa Williamsa. Więc musi istnieć powód, dla którego były tylko trzy ofiary.

- Może po prostu przeniósł się gdzie indziej.

Przeszukałam jeden ze stosów dokumentów, aż znalazłam serię próśb o informację od FBI, które obejmowały okres dziesięciu następnych lat.

- Hazzard latami szukał w ogólnokrajowej bazie danych FBI podobnych zbrodni. Dwa razy trafił na takie przypadki, ale w obu aresztowano sprawców, którzy nie mieli nic wspólnego z zabójstwami w Los Angeles.

- Mógł zmienić sposób zabijania na tyle, że Hazzard go nie rozpoznał. Przez ostatnich osiemnaście lat w hrabstwie Los Angeles mogły się zbierać setki nierozwiązanych spraw - zauważył Harrison.

- Trzy ofiary, ten sam typ urody, podobny wiek, dwie zabite w ten sam sposób, trzecia uduszona gołymi rękami. Wszystkie leżały dokładnie w tej samej pozycji. Morderca chciał, żebyśmy wiedzieli, że to on - odparłam.

- To dlaczego przestał zabijać, kiedy już zwrócił na siebie uwagę?

Podeszłam znowu do okna. Dym pożarów na wschodzie, który okrył całunem Pasadenę, wznosił się teraz słupami prosto w niebo, tworząc gęste chmury przypominające grzyby. Wyglądało to tak, jakby wokół miasta wybuchały bomby atomowe.

- A jeśli to nie jest seryjny morderca? Jeśli chodzi o coś innego?

- Na przykład?

- Trzecia ofiara nie była aktorką. Co robiła? - zapytałam, odwracając się w stronę zdjęć.

Harrison zaczął przeglądać akta.

- Studiowała prawo, samotnie wychowywała dziecko, pracowała na część etatu jako asystentka w prokuraturze okręgowej w centrum miasta.

- Miała dziecko?

Harrison pokiwał głową.

- Chłopca. Kiedy umarła, miał cztery lata.

- Dlaczego ona? Jak ją wybrał? Z aktorką byłoby łatwiej. Gwałciiciel poluje na piękne młode blondynki, szkoła aktorska w Los Angeles to pierwsze miejsce, w którym by ich szukał.

Harrison szybko przejrzał następną stronę akt.

- Ostatni raz widziano ją, gdy wychodziła z restauracji na Melrose po kolacji w towarzystwie innych pracowników prokuratury. W restauracjach na Melrose też nie brakuje pięknych kobiet. Miała po prostu pecha.

Spojrzałam na teczkę zawierającą akta ojca.

- Gdzie mój ojciec udzielał lekcji?

Harrison sięgnął po teczkę, potem jednak zawahał się i popatrzył na mnie.

- Nie krępuj się - powiedziałam.

Otworzył teczkę i zaczął wertować dokumenty, aż znalazł ten, którego szukał.

- W teatrze na bulwarze Santa Monica w pobliżu La Brea - oznajmił.

- Jakieś pięć kilometrów od miejsca, gdzie tuż przed śmiercią jadła kolację - zauważyłam.

Harrison odłożył raport i zamknął teczkę.

- Powinnaś usiąść.

Podniosłam rękę do twarzy i zdałam sobie sprawę, że drzę. Popatrzyłam na krzesło, ale nie ruszyłam się z miejsca. Kiedy próbowałam wziąć oddech, miałam wrażenie, jakby złamane żebro wrzynało mi się w bok niczym ostrze noża. Spojrzałam na wiszące na tablicy zdjęcia trzech młodych kobiet leżących na brzegu rzeki.

- Myślisz, że mój ojciec je zabił?

Poczułam na ramieniu dłoń Harrisona, który prowadził mnie w kierunku krzesła.

- Za wcześnie jeszcze na takie wnioski - rzekł.

Usiłowałam spojrzeć na to wszystko z innej perspektywy, ale nie byłam w stanie. Zamknęłam oczy i udało mi się ostrożnie zaczerpnąć powietrza.

- Ktoś, kto podał się za gliniarza, skonfiskował nagranie z kamery w urzędzie Western Union - powiedziałam. - Dziewczyna Johna Manninga myślała, że mężczyzna, który wyniósł jego komputer, był policjantem.

- Wiesz coś więcej? - spytał Harrison.

Spojrzałam na zwłoki kobiet raz jeszcze, aż wreszcie nie byłam w stanie znieść ich widoku i podeszłam do okna. Słońce zanurzyło się w oceanie, nad Pasadena rozciągał się ciemnopomarańczowy cień. Grzyby dymu wznoszące się nad płonącymi górskimi stokami przybrały barwę krwistej czerwieni.

- *Wojna kolosalnej bestii* - mruknęłam.

- Nie rozumiem - powiedział Harrison.

- To tytuł filmu. O potworze, który demoluje Los Angeles. Mój ojciec grał w nim gliniarza.

Harrison dołączył do mnie przy oknie i wpatrywał się w kłęby dymu buchającego w niebo.

- W raporcie jest nazwisko prokuratora, który był obecny przy jego przesłuchaniu. Spróbuj go znaleźć. Jeśli mój ojciec dopuścił się tych zbrodni, to muszę to wiedzieć - oświadczyłam. - Zaczniemy od trzeciej ofiary, Victorii Fisher. Chcę wiedzieć wszystko o tym, co mój ojciec robił w dniu, gdy ją zabił. Porozmawiaj ze wszystkimi ludźmi, z którymi mógł mieć kontakt mój brat.

Harrison pokiwał głową.

Podeszłam z powrotem do stołu i spojrzałam na teczkę z aktami ojca. Jeśli Hazzard dobrze wykonał swoją robotę, znajdę tam dokumentację każdego znanego aktu przemocy, jakiego mój ojciec kiedykolwiek się dopuścił. Ile ich było? Jak daleko w przeszłość sięgała jego historia? Czy jeśli moja własna matka była przez niego maltretowana, to przeczytam o tym na tych stronach?

- Połowa członków Związku Aktorów Filmowych grała gliniarzy - zauważył Harrison.

- Ale nie występują w moich koszmarach - odparłam.

Było już po dziesiątej, kiedy wreszcie usiadłam przy stole w swojej jadalni, żeby otworzyć teczkę ojca. Wcześniej porozmawiałam z Lacy, bo obiecałyśmy sobie, że codziennie wieczorem będziemy do siebie dzwonić. Nie słyszała o śmierci detektywa Williamsa ani o moim zamieszkaniu w tę sprawę, a ja uznałam, że lepiej jej o tym nie mówić. Zastanawiałam się, czy jeszcze raz nie zatelefonować do matki, ale w końcu tego nie zrobiłam.

Może nie powinniśmy znać tajemnic swoich rodzin. Możliwe, że więzi między ludźmi tworzą się dzięki miłości, ale to sekrety, które zachowują dla siebie, sprawiają, że związki trwają. Nie chciałam w to wierzyć, ale gdy wpatrywałam się w nieotwartą teczkę ojca, czułam, że z tą wiarą byłoby mi łatwiej.

Łykiem wina popiłam tabletkę przeciwbólową, a potem zaczęłam poznawać przeszłość swojego ojca. Pierwszą skargę przeciwko niemu wniesiono, kiedy miałam osiem lat. Już wtedy nie było go w moim życiu od trzech lat. Oskarżyła go dziewiętnastoletnia dziewczyna o imieniu Kelly. Skończyło się przedstawienie i była w garderobie, gdy usłyszała hałas za plecami, odwróciła się, a on tam stał. Powiedział, żeby zdjęła bluzkę.

Czułam, jak ciarki chodzą mi po grzbiecie, gdy czytałam dalszy ciąg skargi. Mój ojciec nie ruszył się, nie uderzył jej, nie dotknął, po prostu wpatrywał się w nią i powtórzył, żeby zdjęła bluzkę. Ofiara odmówiła, a on oddalił się jakby nigdy nic. Inny aktor znalazł Kelly godzinę później, dziewczyna wciąż płakała.

Sięgnęłam po kieliszek i zauważyłam, że trzęsie mi się ręka. Chciałam od razu zamknąć teczkę i nigdy więcej jej nie otwierać. Poczekać, aż ogień zstąpi z gór i strawi mój dom. Mogłam jeszcze zostawić tę

sprawę. Byłaby to drobna cena za to, żeby te kartki obróciły się w popiół. Wychyliłam zawartość kieliszka do dna i nalałam kolejną porcję.

Potem była kobieta o imieniu Jan, a później Chris. Dalej Anne, Morgan i Peny.

Wypiłam następną lampkę i znowu napełniłam kieliszek.

Ojciec nie tknął żadnej z ofiar, żadna nie wniosła sądowego oskarżenia, ujawniły wszystko tylko dyrekcji teatru. Były w wieku mojej córki. I wiedziałam, że jeśli wcześniej nie wiedziały, co to strach, poznały go za sprawą mojego ojca. Odtąd zawsze ilekroć za ich plecami otwierały się drzwi, ilekroć słyszały kroki, ogarniał je lęk.

Charakteryzatorka o imieniu Terry była pierwszą kobietą, której dotknął. Miało to miejsce w czasie przedstawienia. Terry była w garderobie i grzebała w kosmetyczce, kiedy usłyszała, jak wchodzi. Zaczęła się odwracać, gdy wyciągnął rękę, zatkał jej usta i poderwał z krzesła. Próbowwała krzyczeć, ale nie mogła. Potem równie szybko puścił ją i wycofał się, powtarzając: „Przepraszam, przepraszam”.

Zaatakował w ten sposób jeszcze dwie kobiety - incydenty były wiernymi powtórkami pierwszego i kończyły się takimi samymi przeprosinami. Chciałam odkorkować drugą butelkę wina i cofnąć wskazówki zegara do czasu, gdy ojciec istniał dla mnie tylko jako postać z obrazu na ekranie telewizyjnym, lecz było to niemożliwe. Sięgnęłam po ostatni raport w aktach - z jedynej napaści, w sprawie której przesłuchała go policja. Zaatakował Jenny Roberts, która miała się stać pierwszą ofiarą mordercy z nad rzeki. Była młodą, jasnowłosą aktorką o nieskazitelnej urodzie, występowała w teatrach amatorskich i marzyła o grze w serialu telewizyjnym.

„Właśnie skończyłam lekcję aktorstwa. Pozostali kursanci już poszli. Dyrektor Manning zapytał, czy zechciałabym przerobić z nim scenę do filmu, gdyż ubiegał się o małą w nim rolę. Ruszyliśmy w kierunku sceny i zauważyłam, że w pewnym momencie zwolnił kroku. Potem powiedział: »Nie ruszaj się«.

Myślałam, że to jest w scenariuszu, ale nie mogłam znaleźć takiej kwestii. Zatkał mi usta, a drugą ręką rozerwał koszulę i zaczął obmacywać piersi. Usiłowałam mu się wyrwać, ale nie byłam w stanie, więc stałam i pozwalałam mu się dotykać, aż poczułam, że rozluźnił uchwyt. Wtedy kopnęłam go obcasem w kostkę. Rzucił mnie na deski sceny i usiłowałam odczołgać się jak najdalej od niego, wołając o pomoc. Złapał mnie za kostkę i zaczął wlec po scenie. Krzyczałam i płakałam.

A potem mnie puścił. Nic nie powiedział, nie ruszył się. Po prostu stał tam, jakby był zaskoczony. Potem powiedział: »Przepraszam, przepraszamy a ja poderwałam się z desek i uciekłam za kulisy».

Szybko przebiegłam wzrokiem tekst sprawozdania napisanego przez funkcjonariusza, który przesłuchiwał ojca. „Podrywała mnie - powiedział ojciec. - Takie sytuacje zdarzają się w teatrze nagminnie. Niektórzy ludzie po intensywnej pracy nie potrafią ochłonąć z emocji”.

Nie wniesiono żadnego oskarżenia. Po tygodniu zwolniono go z teatru. Miesiąc później znaleziono nad rzeką Jenny Roberts; była uduszona, a ręce miała związane za plecami żółtym sznurkiem.

Zamknęłam teczkę i odepchnęłam ją od siebie. Zbliżała się pierwsza w nocy. Nalałam do kieliszka resztę wina i wyszłam przez frontowe drzwi na dwór. Suche powietrze, które napływało z pustyni, było cieplejsze niż wcześniej. Dym stał się w ciemnościach niewidoczny, ale wyczuwało się jego zapach. Kiedy wzięłam oddech, poczułam drapanie w gardle. Posmak był inny niż przed zachodem słońca, gdy Pasadenę spowijał pomarańczowy całun. Oprócz palonych drzew i roślinności w powietrzu wisiał swąd czegoś dodatkowego.

Teraz płonęły domy: dachy, meble, plastik, chemiczne środki czystości pod kuchennymi zlewami, tkaniny, książki, skórzane buty. Ogień pożerał wszystkie materialne świadectwa ludzkiego życia.

- „Takie sytuacje zdarzają się w teatrze nagminnie” - wyszeptałam.

Słowa sprawiły, że przebiegł mnie dreszcz, jakbym weszła do zimnego pomieszczenia. Przez całe dzieciństwo udawałam, że ojciec jest komiwojażerem, który próbuje sprzedać rowery kowbojom. Kiedyś marzyłam o tym, żeby wrócił. Teraz modliłam się, żeby tego nie zrobił.

13

W nocy dwukrotnie zrywałam się ze snu, czując, jak ręka zaciska mi się na gardle i usiłuje wciągnąć mnie w ciemność. Za każdym razem siadałam na łóżku i przeszukiwałam wzrokiem mroczne zakamarki pokoju, by upewnić się, że jestem sama, a potem kładłam się i usiłowałam zasnąć, choć wiedziałam, że i tak niedługo znów zbudzi mnie ten sam koszmar.

Trzeci sen był jednak inny. Tym razem ojciec mnie nie tknął, tylko stał za moimi plecami. Próbowałam otrząsnąć się z koszmarnej wizji, lecz tkwiłam w niej jak zaklęta, jakby on rzeczywiście był w pokoju. Potem usłyszałam słowa matki: „Już dobrze. Już po wszystkim”.

Jej głos wyrwał mnie ze snu i oprzytomniałam. Żebra bolały mnie od leżenia na boku. Pościel była wilgotna od potu.

Budzik pokazywał 5.10 nad ranem. Rozejrzałam się po ciemnym pokoju i zauważyłam wyдутą wiatrem zaslonę. Opadłam na poduszkę i spróbowałam myśleć o czymś, co pozwoliłoby mi znowu zasnąć. Usiłowałam wyobrazić sobie córkę, a potem przywołać delikatny dotyk dłoni Harrisona, lecz byłam w stanie uchwycić się tych myśli tylko na moment, zanim widmo ojca wdarło się z powrotem do mojej świadomości, prowokując pytanie, które odepchnęło sen jeszcze dalej.

Czy byłam jedną z jego ofiar?

Czy dlatego zostałam policjantką? Żeby wyrównać jakąś straszną krzywdę, którą wyparłam z pamięci? Czy dlatego matka tak bardzo się zderwowała, gdy powiedziała jej, że chcę wstąpić do służby? Bo wiedziała o tym jedynym śledztwie z przeszłości, które nieodwołalnie będę musiała kiedyś podjąć, choć ona całe życie starała się mnie przed tym uchronić?

Spróbowałam relaksującego ćwiczenia oddechowego, którego Lacy nauczyła się podczas terapii, lecz złamane żebra czyniły próby zupełnie jałowymi. Przekręciłam się na drugi bok i obserwowałam łagodne falowanie zasłon.

- Odpuść sobie - zaczęłam mówić, lecz od razu urwałam. Od tej sprawy nie mogłam uciec. Może John Manning wiedział to od początku i dlatego został detektywem tak jak ja. Ta nić z pewnością nas łączyła, tylko że on postanowił rozwikłać tę tajemnicę, którą próbowałam na zawsze pogrzebać: kim był nasz ojciec? I to śledztwo kosztowało go prawdopodobnie życie.

Wstałam z łóżka i wyszłam do jadalni, gdzie zostawiłam akta. Wokół panowała absolutna cisza. Żadnego wiatru, samochodu ani samolotu w oddali, niczego. Zdałam sobie sprawę, że drzę, więc usiadłam ostrożnie na krześle przy stole. Łzy zakręciły mi się w oczach i wytarłam je grzbietem dłoni. Brat pomyślał o mnie w noc swojej śmierci, ponieważ wierzył, że potrzebuję tych samych odpowiedzi co on.

Szyby zadzwoniły w oknach od podmuchu wiatru. W oddali usłyszałam wycie syreny strażackiej. Rozspiewał się przedrzeźniacz, a potem zakrakała wrona.

Wstałam, ruszyłam do frontowych drzwi i wyszłam na dwór, żeby odetchnąć świeżym powietrzem. Przez noc wiatr zmienił kierunek i wiał mi teraz prosto w twarz. Niebo zasnuwał dym. Nad najbliższym łańcuchem gór na wschodzie jaśniała pomarańczowa luna pożaru. Błyszczące światła wozu strażackiego pojawiły się w dole Mariposy. Inni mieszkańcy ulicy pakowali do samochodów swój dobytek.

Wzięłam z domu telefon i wybrałam numer. Harrison odebrał po drugim sygnale.

- Nic ci nie jest? - zapytał.

Jego głos był równie kojący jak dotyk dłoni na moich nogach. Z nieba zaczął sypać szary popiół, osiadając na liściach bluszczu niczym świeży śnieg. Nad wzgórzami parę kilometrów dalej pojawiły się pierwsze języki ognia. Spłoszony jeleń wybiegł spomiędzy domów, jego kopytka ślizgały się na chodniku, zanim zniknął w mroku za innym domem.

- Ogień przemieszcza się prosto w moją stronę. Myślę, że będę musiała się ewakuować - powiedziałam.

- Zaraz u ciebie będę - odrzekł Harrison.

- Myślę, że mój ojciec mógł być mordercą - rzuciłam, zanim się rozłączyłam.

O świcie płomienie wspięły się na szczyt najbliższego wzgórza i kontynuowały swój pochód. Na mojej ulicy parkowały trzy wozy strażackie. Sąsiedzi pakowali do samochodów zwierzęta domowe, dokumenty podatkowe, rodzinne zdjęcia i wszystko, co było ich zdaniem nie do zastąpienia i mogło się zmieścić w SUV-ie.

Obserwowałam ich exodus przez okno w jadalni. Wcześniej przetrząsnęłam dom i ustawiłam pudła ze wszystkim, co uznałam za niezbędne do dalszego życia, przy drzwiach do garażu. Na ironię zakrawał fakt, że teczka z aktami śledztwa w sprawie morderstwa, w które zamieszany był mój ojciec, leżała wśród rodzinnych pamiątek.

- Idę o zakład, że jestem jedyną osobą w sąsiedztwie, która razem ze zdjęciami z dzieciństwa ratuje teczkę z aktami śledztwa w sprawie zabójstwa.

- Masz, gdzie się zatrzymać, póki pożar nie ugaśnie? - spytał komendant Chavez, który przybył wkrótce po Harrisonie, kiedy usłyszał o wezwaniu do ewakuacji.

- Mam wolną sypialnię - zaofiarował się Harrison.

Zerknęłam na niego. W jego spojrzeniu nie doszukałam się niczego poza chęcią pomocy.

- Dobrze. Nie chcę, żebyś była sama - powiedział Chavez.
- Nic mi nie będzie. Mogę wynająć pokój w motelu.

Chavez pokręcił głową.

- Jeśli twój brat i Williams zostali zamordowani, ponieważ stawali dla kogoś zagrożenie, to znaczy, że ktokolwiek przejmie śledztwo, narazi się na niebezpieczeństwo.

- Innymi słowy, ja - podsumowałam.

Chavez wyjrzał za drzwi na ogień szalejący parę kilometrów dalej i pokręcił z niedowierzaniem głową.

- Naprawdę uważasz, że twój ojciec może być tym, kogo szukamy?
- To znaczy, czy uważam, że mógł zamordować własnego syna?

W jego oczach dostrzegłam niechęć do zmierzenia się z tym pytaniem.

- Osiemnaście lat temu mój ojciec rozdarł bluzkę Jenny Roberts i włókł dziewczynę za kostkę po scenie, gdy krzyczała o pomoc. Miesiąc później została zamordowana. Czy to czyni z niego mordercę? Nie wiem. Aż do wczorajszej nocy znałam go tylko z paru filmów w telewizji.

Chavez przyglądał mi się przez chwilę, wahając się, czy powiedzieć, co myśli.

- Może powinnaś to sobie odpuścić.

Pokręciłam głową i spojrzałam na akta ojca.

- Robiłam to przez większość życia. Jeśli teraz odpuszczę, znowu go stracę.

- Nie chcę, żebyś była sama. Zatrzymasz się u Harrisona.

Uściskał mi dłoń, a potem ruszył do zaparkowanego na ulicy samochodu. Słońce weszło już nad górami San Gabriel, choć z ilości światła przedzierającego się przez dym trudno to było wywnioskować.

- Słyszałam, jak ktoś, komu spłonął dom, mówił, że nikt nie czuje się tak wolny, jak człowiek, który właśnie wszystko stracił - powiedziałam. - Odwróciłam się i spojrzałam na Harrisona. - Myślisz, że to prawda?

- Brzmi raczej jak coś, w co się wierzy, kiedy nie ma się innego wyboru.

Drobne rozżarzone węgielki niesione wiatrem zaczęły się rozbijać o mur jednego z sąsiednich domów, gdy strażacy zamocowali węże do hydrantów, przygotowując się do obrony ulicy. Zamknęłam frontowe drzwi i stanęłam w holu, patrząc w głąb domu. Wydarzyło się tu tyle

bolesnych rzeczy. Czy jeśli go stracę, będzie to miało jakiegokolwiek znaczenie? - pomyślałam.

Łzy napłynęły mi do oczu. Pobiegłam do kuchni, wzięłam papierową torbę i zaczęłam chodzić po domu, zbierając rzeczy, które wydawały mi się warte ocalenia - pieprzniczkę i solniczkę ze stołu w jadalni, magnes na lodówkę, podkładkę pod szklanę, wieczne pióro, książkę, której nigdy nie przeczytałam, parę butów, ubrania z szafy Lacy, których nie nosiła od lat, jej aparat telefoniczny.

Kiedy torba była pełna, usiadłam na łóżku i przytuliłam ją do piersi jak niemowlę. Harrison wszedł chwilę później i usiadł koło mnie.

- Chciałam zabrać jakieś miłe pamiątki... sama nie wiem.

Wyjrzałam przez okno na kłęby dymu.

- Przy przesłuchaniu twojego ojca był obecny prawnik z prokuratury okręgowej. Chcesz zacząć od niego? - spytał Harrison.

- Dobra.

Szybko załadowałam pudła z rodzinnymi pamiątkami do swojego volva, zamknęłam wszystkie drzwi i okna, a potem odjechałam z domu, w którym mieszkałam przez dwadzieścia lat, bez pewności, czy będzie stał, kiedy wrócę.

14

Prawnik z prokuratury, który osiemnaście lat temu był obecny przy przesłuchaniu mojego ojca, pracował teraz jako śledczy w biurze w dolinie Antelope, sto kilometrów na północ od Los Angeles, na skraju pustyni.

Było to najdalej, jak tylko można uciec od centrum miasta bez opuszczania hrabstwa. Całą okolicę przecinały drogi do osiedli wybudowanych na miejscu pustyni. Tam, gdzie przed laty wiatr niósł szarłaty, znajdowały się teraz trawniki. Półtoragodzinny dojazd do pracy wyznaczał nowe granice aglomeracji.

Z parkingu prokuratury widać było wznoszące się nad piaskami na północy stożki nieczynnych wulkanów. Na południu słupy dymu z pożarów, które zagrażały mojemu domowi, pięły się wysoko w niebo, górując nad szczytami San Gabriel.

Oprócz szczurów pustynnych i rowerzystów nikt nie wybierał się tutaj z własnej, nieprzymuszonej woli. Ludzie przeprowadzali się tu dlatego, że nie było ich stać na żadne lepsze mieszkanie albo mieli tu pracę.

Pozbawione okien biura śledczych mieściły się na parterze budynku, z dala od prawników w gabinetach na trzecim i czwartym piętrze z pięknymi widokami. Frank Cross wyszedł nam na spotkanie na korytarz, a potem zaprowadził do swojej klitki. Był z niego kawał chłopca: ponad metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, potężnie zbudowany, ale w kiepskiej formie. Podejrzewałam, że powód, dla którego dawny prokurator pracował teraz jako śledczy, miał coś wspólnego z jego obecnością tutaj, na uboczu. Jego oczy miały zmęczony wyraz podróżnego, który utknął na lotnisku i stracił nadzieję, że kiedykolwiek dotrze do celu.

Na ścianie gabinetu wisiała tablica z listą otwartych spraw. Szybki rzut oka pozwalał stwierdzić, że większość dotyczyła przemocy domowej, pobić i kradzieży. Nic, o czym śledczy mógłby marzyć.

- Przez telefon powiedzieliście, że chcecie porozmawiać o dochodzeniu w sprawie mordercy znad rzeki? - zapytał Cross.

- O części dochodzenia - uściśliłam. - Brał pan udział w przesłuchaniu jedyne go podejrzanego, którego aresztowano w tej sprawie.

Mętne oczy Crossa nabrały wyrazu skupienia.

- Manninga - powiedział bez namysłu.

- Pamięta pan?

Wykrzywił usta, jakby nadepnął na coś ostrego.

- Wędkuje pani?

- Nie.

Spojrzał na Harrisona, który zareagował bez wahania.

- Ryba, która urwała się z haczyka.

Cross pokiwał głową.

- Taka, której się nigdy nie zapomina...

- Czy był jakiś powód, dla którego uczestniczył pan w przesłuchaniu?

- Zanim trafiłem do prokuratury, byłem gliniarzem.

Cross zacisnął dłoń w pięść i napiął mięśnie przedramienia. Potem wstał zza biurka i zamknął drzwi gabinetu.

- Victoria Fisher pracowała u mnie w biurze. Zażądałem uczestnictwa w przesłuchaniu.

- Znał ją pan? - spytał Harrison.

Cross pokiwał głową.

- Nie znałem jej zbyt dobrze. Pracowała u nas w czasie wakacji, kiedy nie miała zajęć na studiach.
- Co może nam pan powiedzieć o Manningu?

Zaczął odpowiadać, ale się zreflektował.

- Dlaczego policja Pasadeny się nim interesuje?
- Prowadzimy śledztwo w związku z innym przestępstwem, które może być powiązane z morderstwami nad rzeką.

Cross wstał zza biurka, ruszył przez pokój, lecz nagle przystanął. Podniósł rękę i zaczął masować potężny kark.

- On żyje, prawda?

Nie odpowiedziałam.

- Manning żyje, dlatego tu jesteście?
- Nie wiemy tego na pewno - odrzekłam.
- Ale uważacie, że znowu zabił. W przeciwnym razie nie zjawilibyście się u mnie.
- Czy ostatnio ktokolwiek pytał pana o tę sprawę? Cross spojrział na mnie podejrzliwie i pokręcił głową.
- Ma pani na myśli kogoś konkretnego?
- Możliwe, że jego syn interesował się zabójstwami nad rzeką i został z tego powodu zamordowany.
- Ze mną nie rozmawiał. - Cross sprawiał wrażenie, jakby kilkakrotnie powtarzał w myślach te słowa. - Mój Boże, chcecie wiedzieć, czy moim zdaniem to możliwe, żeby zabił własnego syna, czy tak? Dlatego tu jesteście?

Podszedł do szafy biurowej, wyciągnął z kieszeni klucze i otworzył szufladę. Przetrzasał przez chwilę jej zawartość, aż wreszcie wydobył kasetę wideo.

- To potwór. Tu jest wszystko. Jeśli szukacie odpowiedzi, wystarczy, że uważnie to obejrzyjecie. - Ścisnął mocno kasetę, jakby bał się, że ją straci. - Z kim jeszcze rozmawialiście?
- Z detektywem, który prowadził śledztwo.
- Z Hazzardem? Pokiwałam głową.
- Z nikim innym, z nikim z prokuratury? Ani z ratusza? Na pewno?
- Tylko z Hazzardem - potwierdziłam.

Wyszedł zza biurka i ostrożnie położył przede mną kasetę i kopertę.

- Nie wolno wam jej kopiować i chcę ją dostać z powrotem.

Zgodziłam się, a potem wzięłam kasetę do ręki. Zauważyłam, że Cross śledził ją wzrokiem do momentu, gdy wsunęłam ją do koperty.

Na zewnątrz karoserię mojego volvo pokrywała cienka warstewka pustynnego piasku. Uciekając przed wiatrem, wsiadłam szybko do samochodu i położyłam kopertę z nagraniem przesłuchania na fotelu obok.

- Cross rezyduje w biurze bez okien. Dlaczego mam wrażenie, że wciąż nas obserwuje? - powiedziałam. - Boi się czegoś. I nie chodzi wyłącznie o kasetę, bo inaczej by jej nam nie dał.

Harrison rozejrzał się dookoła, gdy w powietrze wzbily się tumany kurzu. Ziarenka piasku bębniły o szyby niczym krople deszczu.

- Były prokurator, który pracuje jako podrzędny śledczy na skraju miasta.

Harrison zastanawiał się przez chwilę.

- Może boi się, że zupełnie zapadnie się pod ziemię - stwierdził.

Wzięłam kopertę zawierającą nagranie z przesłuchania mojego ojca.

- Albo że ktoś go pogrzebie.

15

W dniu, kiedy zamordowano Victorię Fisher, mój ojciec spędził popołudnie na próbie do sztuki wystawianej przez mały teatr na bulwarze Santa Monica. Ulica mało się zmieniła w ciągu tych osiemnastu lat. Co wieczór na parę godzin tłum elegancko ubranych teatromanów odwiedza około pół tuzina kameralnych teatrów w okolicy, która nosi nazwę dzielnicy teatralnej. Kiedy na scenie gasną światła, a widzowie wsiadają do swoich bmw i saabów, ulicę przejmują prostytutki się transwestyci i wygłodniali narkomani szukający działki.

Asystentka dyrektora teatru spotkała się z nami przed drzwiami i zaprowadziła nas na scenę, gdzie mieliśmy zaczekać. Widownia była nieduża, może na sto pięćdziesiąt osób. Wyszłam z powrotem za kulisy. Drzwi z tabliczką „Wyjście awaryjne” znajdowały się zaledwie kilka metrów za sceną. Krótki korytarzyk prowadził do garderób i pokoju inspicjenta.

Usłyszałam głos dyrektora witającego się z Harrisonem i ruszyłam z powrotem na scenę, gdy nagle zamarłam. To jest właśnie to miejsce, uświadomiłam sobie. Przypomniały mi się słowa aktorki. Jej opis pasował do wszystkiego wokół, jakby incydent wydarzył się zaledwie wczoraj.

Wyrzłam za kotarę. Ciemną scenę rozjaśniał pojedynczy reflektor punktowy. Usłyszałam w głowie głos ojca.

„Zdejmij bluzkę”.

Weszłam na ułożoną z desek podłogę sceny. Kiedy dotarłam na środek, zdałam sobie sprawę, że właśnie tutaj zatkał jej od tyłu usta i rozzerwał koszulę. Kiedy przydepnęła mu stopę obcasem i wyrwała się, prawdopodobnie zaczęła pełznąć w lewo, w kierunku schodków, które wiodły w górę na zaciemnioną widownię. Przyjrzałam się deskom. Musiała pokonać nie więcej niż trzy metry, gdy złapał ją za kostkę i zaczął wlec z powrotem. Drewno było porysowane i poznaczone śladami po niezliczonych inscenizacjach. Wyobrażałam sobie, że usiłowała chwycić się palcami najmniejszych szczelin albo bruzd, ale nic nie mogło jej pomóc.

- Pani porucznik.

Podniosłam wzrok. Na proscenium stali Harrison i dyrektor teatru. Patrzyli na mnie.

- Co dokładnie chce pani wiedzieć? - spytał dyrektor. Nazywał się Moore. Sprawiał wrażenie, jakby dobijał sześćdziesiątki i za wszelką cenę starał się zachować młodzieńczy wygląd.

Jeszcze przez chwilę przyciskałam dłoń do chłodnych desek, a potem wstałam.

- Osiemnaście lat temu był pan przesłuchiwany przez policję w sprawie aktora, który nazywał się Thomas Manning.

- Pamiętam to bardzo dobrze.

- Dlaczego?

- Bo to był ostatni dzień, kiedy widziałem Toma na oczy. Potem zniknął. Musiałem przejąć nauczanie na kursie, który prowadził.

Nigdy wcześniej nie słyszałam, by ktoś mówił o moim ojcu „Tom”. Nie pamiętałam nawet, aby matka kiedykolwiek używała jego imienia.

- Oskarżono go o molestowanie kilku aktorek?

Moore pokiwał głową.

- Dowiedziałem się o tych rzeczach, dopiero kiedy zniknął.

- Uwierzył pan w nie?

Dyrektor zrobił dramatyczną pauzę, jakby była zapisana w didaskaliach sztuki, nad którą pracowaliśmy.

- Wierzę, że Tom był zdolny do wszystkiego, mógł nawet zrobić wielką karierę.

- Lubił go pan?

Pokręcił głową.

- Zazdrościłem mu talentu. Natomiast jeśli chodzi o resztę...

- Tak?

Moore spojrział w głąb sceny, jakby odtwarzał w myślach zdarzenie z przeszłości.

- Jednym spojrzeniem potrafił sprawić, że człowiek czuł się jak zero.

- Według raportu z aresztowania był pan ostatnią osobą, która mogła potwierdzić, gdzie był wieczorem w dniu morderstwa.

Moore zaprzeczył.

- Nie, po zajęciach wyszedł z teatru z jedną ze swoich uczennic.

Harrison przejrzał notatki, które zrobił na podstawie akt Hazzarda, a potem pokręcił głową.

- Nie ma o tym żadnej wzmianki.

- Powiedziałem to tamtemu detektywowi.

- Jest pan pewien?

- Tak. Nie wiem, czy zaszli razem dalej niż na parking, ale z teatru wyszli we dwoje.

- Pamięta pan jej nazwisko? - spytałam.

Zastanawiał się przez chwilę, aż wreszcie zrezygnował.

- Musiałbym wykonać parę telefonów, sprawdzić, czy ktoś ją pamięta.

Moore zniknął w biurze i wrócił dziesięć minut później.

- Myślę, że to ona, ale nie mogę tego zagwarantować.

Podał mi karteczkę z nazwiskiem i adresem.

- Czy ostatnio ktokolwiek rozmawiał z panem w tej sprawie?

- Nie.

Zanim wyszliśmy, wręczyłam Moore'owi swoją wizytówkę. Obraz mojego ojca nabierał barw, choć bynajmniej nie były one pastelowe.

- Byłoby dziwne, gdyby Hazzardowi umknął taki szczegół - zauważył Harrison.

- Moore mógł mieć rację: może rozstali się już na parkingu.

- Chcesz porozmawiać z Hazzardem?

- Jeszcze nie. Jeśli coś opuścił, to najpierw spróbujmy się dowiedzieć, czy miał po temu powód.

Podalam Harrisonowi karteczkę z nazwiskiem i adresem.

- Najpierw porozmawiajmy z nią.

Spojrzałam w kierunku Pasadeny. Dym pożogi całkowicie zasłaniał teraz góry.

- O której godzinie mój ojciec stąd wyszedł?

Harrison zerknął w notatki.

- Tuż po siódmej.

- Mniej więcej o tej samej porze, gdy Victoria Fisher zaczęła jeść kolację w restauracji na Melrose.

- Trzy kilometry stąd.

Adres należał do niedużego bungalowu w East Rock, trochę na zachód od Pasadeny. Po schodkach zbiegł właśnie do zaparkowanego przed domem sedana około dziesięcioletni chłopiec z plecakiem. Kiedy samochód odjechał, w drzwiach pojawiła się kobieta, która pomachała mu, zerknęła w naszą stronę, a potem wycofała się do domu. W dniu, gdy osiemnaście lat temu mój ojciec wyszedł w jej towarzystwie z teatru, nazywała się Candice Fleming. Nie wiedziałam, czy nosi wciąż to samo nazwisko.

- Widziałaś to? - spytał Harrison.

Przytaknęłam. Było to spojrzenie znane każdemu glinie, choć rzadko widywało się je w takiej okolicy i u kobiety w szlafroku żegnającej syna, który jedzie zanoć u kolegi.

- To wyglądało, jakby zabijała nas wzrokiem - powiedział Harrison.

Otworzyłam drzwiczki i wysiadłam.

- No, tylko dlaczego?

Przeszliśmy przez ulicę i stanęliśmy przed frontowymi drzwiami. Był to mały domek w stylu hiszpańskim. Duże łukowe okno było ledwo widoczne za bugenwillą, która zarastała mury od frontu. Kiedy sięgnęłam do dzwonka, drzwi otworzyły się i właścicielka pojawiła się za stalową kratą przeciwwłamaniową.

- Dlaczego nie zostawicie mnie wreszcie w spokoju? - rzekła, za nim zdążyłam się przedstawić. - Zawsze odpowiadałam na wszystkie wasze pytania. Zawsze... - Urwała.

Pokazałam odznakę.

- Chyba wzięła nas pani za kogoś innego - powiedziałam.

Popatrzyła na odznakę i wymówiła po cichu:

- Pasadena.

- Candice Fleming? - zapytałam.

Patrzyła na mnie przez moment, a potem kiwnęła głową i uśmiechnęła się, jakby reklamowała pastę do zębów albo szampon.

- Przepraszam, wzięłam państwa za agentów nieruchomości.

- Chciałabym zadać pani kilka pytań - wyjaśniłam.

Zawahała się, a potem otworzyła kratę. Poszliśmy za nią do niedużej kuchni, gdzie naląła sobie lampkę wina i usiadła przy stole. Zauważyłam, że nie nosi obrączki. Przypuszczałam, że ma około czterdziestki. Jeśli wciąż grała, to raczej bez sukcesów.

- O co chodzi? - spytała.

- Osiemnaście lat temu pobierała pani lekcje aktorstwa u niejakiego Thomasa Manninga.

Spojrzała na mnie, jakbym właśnie chlusnęła jej w twarz zimną wodą.

- To było dawno temu. Czego chce się pani dowiedzieć?

- Manning był podejrzany o morderstwo.

Przytaknęła.

- Pamiętam.

- W wieczór morderstwa wyszła z nim pani po lekcjach z teatru.

Chciałabym się dowiedzieć, co się potem stało.

- Nic się nie stało. Wsiadłam do samochodu i wróciłam do domu.

Opowiedziałam o tym policji już dawno temu.

- I to było wszystko? Nie widziała go pani później?

- Nie. Wsiadłam do samochodu i wróciłam do domu.

- Czy ktokolwiek inny wypytywał panią na ten temat?

Zaprzeczyła.

- Chodziłam tylko na kurs aktorstwa. Czy jest w tym coś złego?

- Zerknęła na zegarek. - Naprawdę mi się śpieszy - powiedziała i od prowadziła nas do drzwi.

Kiedy wychodziłam, zawahałam się w progu i podałam jej wizytówkę.

- Gdyby przypomniało się pani cokolwiek, co dotyczy Thomasa Manninga, proszę dać mi znać.

- Dlaczego coś miałyby mi się przypomnieć?

Patrzyła mi przez chwilę w oczy, a potem zamknęła drzwi. Wróciliśmy do samochodu i przystanęliśmy.

- Dlaczego nas okłamuje? - spytał Harrison.

Zerknęłam z powrotem na dom. Wydawało mi się, że przez pnącza bugenwilli widzę, jak stoi w oknie i nas obserwuje.

- Odniosłam wrażenie, że usiłuje kogoś chronić.
- Albo się przed kimś ukrywa. - Popatrzył na mnie. - Między jednym a drugim zachodzi duża różnica.

Otworzyłam drzwiczki.

- Nie w jej wypadku.

Spojrzałam na zegarek. Zbliżała się siódma. Mniej więcej o tej porze mój ojciec i Candice Fleming wyszli razem z teatru.

Restauracja, w której Victoria Fisher jadła kolację z kolegami z prokuratury, zmieniała nazwę i właściciela co najmniej trzykrotnie. Przejechaliśmy parę razy ulicą tak, jak przypuszczalnie postąpił mój ojciec, gdy szukał swojej ofiary. Pod tym względem ta część Melrose zupełnie się nie zmieniła. Dla gwałciciela wypatrującego pięknych młodych kobiet wciąż była jak sklep ze słodyczami.

Harrison zaparkował przy Martel 800 i wysiadłam z wozu.

- Tutaj znaleziono jej samochód - powiedziałam.

Była to ulica domów mieszkalnych, obsadzona drzewami. Między miejscem, gdzie Victoria Fisher zostawiła samochód, a restauracją było jedno przejście dla pieszych z sygnalizacją świetlną.

- Krótki spacer od Melrose i restauracji - zauważył Harrison.

- Mieszkańcy byli pewnie przyzwyczajeni do hałasujących ludzi, którzy wracali do samochodów po wypiciu zbyt wielu tequili. Żeby ktoś wyjrzał przez okno, musiałoby się zdarzyć coś naprawdę niezwykłego. Napastnik mógł wysiąść z wozu albo wyjść zza drzewa, zanim ktokolwiek zdążyłby zareagować.

- A jeśli napastnik wcześniej ćwiczył, wiedziałby, jak porwać ofiarę tak, żeby nawet nie pisnęła - dorzuciłam. - Mój ojciec rozerwał Jenny Roberts bluzkę i przeciągnął ją za nogę przez scenę.

Harrison popatrzył na mnie pytająco.

- Ćwiczył - wyjaśniłam.

Spojrzałam jeszcze raz w głąb uliczki na obsadzony drzewami chodnik. Victoria wypita pewnie kilka lampek wina i była w dobrym humorze po kolacji ze znajomymi. Kiedy sięgała po kluczyki od samochodu, usłyszała może odgłos kroków albo dostrzegła poruszający się cień. Zanim zorientowała się, co się dzieje, było po wszystkim.

Przeszłam parę kroków po chodniku i zamknęłam oczy, wyobrażając sobie mrok, który musiał ją otaczać. Poczułam rękę zaciskającą się na moich ustach, doznanie było tak silne, jakby to miało miejsce naprawdę.

- Dobrze się czujesz? - spytał Harrison.

Łagodnie położył rękę na moich plecach, w miejscu, gdzie bandaż owijał się wokół żeber. Drgnąłam.

Pokiwałam bez przekonania głową i wróciłam do samochodu, moich pudeł z pamiątkami i raportu z aresztowania, które mogły stać się teraz wszystkim, co miałam.

- O co chodzi? - spytał Harrison.

Wzruszyłam ramionami.

- Nie jestem pewna.

Nigdy wcześniej nie czułam niczego podobnego, a jednak doznanie wydawało się znajome. Spojrzałam na drugą stronę ulicy. Czy mój ojciec tu był? Czy chodnik pod moimi stopami zachował jakiś strzęp wspomnienia, jak piaskowiec ze skamieliną pamięć o dawnym życiu? Czy to właśnie odczuwałam?

- Victoria Fisher chciała tylko wrócić do domu i pocałować synka na dobranoc.

16

Kodzice Victorii Fisher mieszkali w tym samym budynku, gdzie wychowali córkę - nieco na wschód od bulwaru Ventura w Studio City. Był to rodzaj domu, jaki w latach sześćdziesiątych można by było wykorzystać jako scenografię serialu telewizyjnego. Ganek, niski, pomalowany na biało drewniany płotek, rabatka róż i idealny trawnik. Tylko bugenwilla i pojedynczy kaktus przy granicy posesji świadczyły, że nie jesteśmy gdzieś na przedmieściach Środkowego Zachodu.

Harrison zadzwonił do drzwi i chwilę później otworzyła nam szczupła kobieta z krótko obciętymi siwymi włosami. Miała na sobie lekką jedwabną koszulę japońskiego kroju i bawełniane spodnie poplamione na kolanach trawą. Zaczęłam się przedstawiać, ale najwyraźniej nie było takiej potrzeby. Matka, która straciła dziecko w wyniku brutalnego przestępstwa, zawsze rozpozna policjanta.

- Czy coś się stało Danny'emu? - zapytała.

Pokręciłam głową i przedstawiłam najpierw Harrisona, a potem siebie.

- Przyszliśmy, żeby zadać parę pytań na temat pani córki.

Prośba policjantów o rozmowę na temat córki nawet po osiemnastu latach od zbrodni wciąż była dla niej niemal fizycznym ciosem. Pani Fisher przygarbiła się na moment, a oczy zaszczyły jej łzami. Wzięła głęboki wdech, usiłując zapanować nad emocjami.

- Jesteście z Pasadeny. Nie rozumiem.

- Prowadzimy dochodzenie w sprawie innego przestępstwa, które może być powiązane ze śmiercią pani córki.

Zawahała się, jakby nie chciała zapraszać do swojego życia ani nas, ani cierpienia, jakie towarzyszyło naszej wizycie, lecz potem skinęła ręką, żebyśmy weszli. Wnętrze domu nie nosiło znamion tragedii, jaka dotknęła rodzinę. Było widne i przestronne, jakby wzięto je w całości ze stron „House & Garden”. Jeśli wewnątrz domu mogło nosić maskę, aby ukryć prawdziwą tożsamość, to właśnie się w nim znalazłam. Gdyby zdrapać warstwę błękitnej farby, to nie wiadomo, co by się znalazło pod spodem.

Zaprowadziła nas do kuchni i gdy usiedliśmy przy stole, podała mrożoną herbatę.

- Co mogłabym państwu powiedzieć ponad to, co mówiłam już tużinom innych policjantów? - spytała.

- Może się wydawać, że to nic, ale czasami najdrobniejszy szczegół oznacza więcej, niż się sądzi.

Zastanawiała się nad tym przez chwilę, jakby rozważała emocjonalną cenę ponownego otwarcia przeszłości. Zaczęłam mówić dalej, ale mi przerwała.

- Jaką sprawę teraz prowadzicie? - zapytała.

- Ktoś, kto być może interesował się zabójstwami nad rzeką, stracił życie.

- To znaczy: został zamordowany?

- Bierzemy pod uwagę taką możliwość - odparł Harrison.

Pani Fisher wyjrzała przez okno.

- Jeśli to ma coś wspólnego z Dannym, wołałabym rozmawiać w obecności adwokata.

- Z Dannym?

- Synem pani córki? - zgodził Harrison.

Pokiwała głową.

- Naszym... moim wnukiem. Mój mąż zmarł trzy lata temu.

- Dlaczego przy drzwiach zapytała pani, czy coś mu się stało? - spytałam.

- Cierpi na dwubiegunową psychozę afektywną, miewa napady paranoi. Leki mu pomagają, jeśli je bierze.

- A teraz tego nie robi.

- Myślę, że nie.

- Dlaczego?

- Znika z domu, czasami na parę tygodni, a potem pojawia się w rozmaitych okolicznościach.

Nie wyjaśniła szczegółów, tylko wyjrzała znowu przez okno i pokręciła głową.

- Cóż, pewnie możecie się domyślić, jak to jest.

- Też jestem matką - przyznałam. - Nie prowadzimy dochodzenia przeciwko pani wnukowi.

- Czy wnuk stwarza zagrożenie dla siebie albo dla innych? - spytał Harrison.

Zastanawiała się nad tym przez chwilę.

- Czasem groził, że się zabije, ale o ile wiem, nigdy nie próbował tego zrobić.

- A agresja wobec innych?

- Kilkakrotnie uderzył swojego dziadka. Parę razy zaatakował nieznajomych na ulicy, ale to było kilka lat temu. Musicie zrozumieć, to choroba, a nie on.

- Wychowywaliście go państwo po śmierci córki? - zapytałam.

Wzięła oddech, który zdawał się nieść ze sobą osiemnaście lat bólu i cierpień.

- Staraliśmy się. Wyobraża sobie pani, jak to jest w brutalnych okolicznościach stracić w dzieciństwie matkę? Jak to wszystko zmienia? Jak można zaufać światu, w którym to było możliwe?

- A co z jego ojcem? - spytałam.

- Córka zaszła w ciążę na studiach podczas wycieczki po Europie. Jeśli go znała, to nigdy nie powiedziała, kto to taki.

Pani Fisher uśmiechnęła się leciutko.

- Była dobrą matką, nie potrzebowała nikogo więcej.

- Victoria pracowała w biurze prokuratora o nazwisku Cross. Zgadza się? - zapytałam.

Jakiś czas siedziała bez ruchu, jakby mnie nie usłyszała. Wreszcie potaknęła.

- Zanim odpowiem na następne pytania, chciałabym się dowiedzieć, jaki to wszystko ma związek z moją córką.

- Prowadzimy dochodzenie w sprawie okoliczności śmierci człowieka, który nazywał się Manning.

Jej zasmucone oczy przybrały inny wyraz: pojawiła się w nich troska matki, która wciąż stara się chronić własne dziecko.

- Znam to nazwisko.

- Ojciec tego mężczyzny był przesłuchiwany w sprawie morderstwa pani córki.

Odniosłam wrażenie, że nazwisko przywołało wspomnienia, które zdawały się ją przytłaczać. Potrząsnęła głową, jakby próbowała zrzucić jedno z nich - a może wszystkie - a potem wstała od stołu i podeszła do okna z widokiem na ogród na tyłach domu.

Odczekałam chwilę, a potem zbliżyłam się i przystanąłam obok niej. Ogród był pełen kwiatów wszelkich kolorów i kształtów. Przypuszczałam, że w ten sposób starała się walczyć z brzydotą, przez którą tyle w życiu straciła. Przynajmniej na tych paruset metrach kwadratowych ziemi, nad którymi mogła zapanować, świat stał się idealny.

- Nie zjawiłam się tutaj, aby w jakikolwiek sposób zbrukać pamięć o pani córce, pani Fisher. Ona była w tym wszystkim ofiarą. Nigdy o tym nie zapomnimy.

Nadal patrzyła prosto przed siebie, choć wątpiłam, by widziała cokolwiek poza obrazami z przeszłości.

- To nigdy nie ma końca - wyszeptwała.

- Wiem - przyznałam.

Spojrzała na mnie i odetchnęła.

- Nie staram się chronić córki, pani porucznik. Naprawdę wolni są właśnie ci, którzy nie żyją.

Otworzyła drzwi do ogrodu.

- Muszę pani coś pokazać.

Przestąpiła próg i ruszyła w stronę garażu, a Harrison i ja poszliśmy za nią. Garaż został przebudowany tak, aby można było w nim mieszkać. I wtedy zorientowałam się, co miała na myśli.

- Stara się pani chronić wnuka, czy tak?

Skinęła głową.

- Tak. - Wyjęła z kieszeni klucz i wsunęła go do zamka. - Urządził mi tu pokój, kiedy był w liceum.

Otworzyła drzwi, sięgnęła do środka i zapaliła światło. Pokój był prosto umeblowany: łóżko, stary fotel, telewizor, wieża stereo. I wtedy to zobaczyłam.

- Spójrz na ściany - powiedział Harrison. - I okna.
Każdy centymetr wolnej powierzchni pokrywały zdjęcia, wycinki prasowe i całe mnóstwo gęsto zapisanych kartek.

- Co to takiego? - spytał Harrison.

Wzruszyłam ramionami i podeszłam do jednego z oklejonych okien. Zaczęłam czytać notatki na jednej z kartek, ale były prawie zupełnie niezrozumiałe. Jasne było tylko jedno.

- To wszystko dotyczy jego matki - stwierdziłam.

- Coś jakby kapliczka ku jej czci - zauważył Harrison.

- Nie, to coś więcej - odparłam. - Chodziło mu też o coś innego.

Podeszłam do ściany przy łóżku. Artykuł wycięty z „Los Angeles Times” donosił o aresztowaniu podejrzanego o zabójstwa nad rzeką i wypuszczeniu go na wolność. Nazwisko mojego ojca nie zostało wymienione.

- To się zaczęło jakiś rok temu - wyjaśniła pani Fisher. - Powiedział, że zaczął dostawać wiadomości od kogoś, kto twierdził, że zna prawdę na temat zabójstwa jego matki. Nazywał je wiadomościami od ciemnego anioła.

- Jak były przekazywane? Przez telefon? Listownie? - zapytałam.

- Nie jestem pewna.

- Nigdy ich pani nie widziała?

- Pyta pani, czy wierzę w ich istnienie?

Potwierdziłam.

Pani Fisher stała ciągle w drzwiach, jakby wejście do środka wymagało od niej zbyt wiele siły.

- Nie wiem, czy były prawdziwe, czy nie. Danny mówił, że gdyby zobaczył je ktokolwiek oprócz niego, ciemny anioł przestałby mu pomagać.

- W szukaniu zabójcy matki? - spytałam.

- Tak. Dostał obsesji na tym punkcie, nie interesował się już niczym innym.

Podeszłam do ściany w głębi pokoju. Była zakryta zasłoną.

- Proszę to odsłonić - powiedziała pani Fisher.

Przesunęłam zasłonę i zobaczyłam, co skrywała. Wiele coraz większych, narysowanych koncentrycznie okręgów pokrywało niemal całą ścianę. Na nich i obok namalowano setki linii, niektóre z nich się przecinały, inne nie. Tu i tam widniały jakieś napisy. Inne miejsca, które na pierwszy rzut oka zdawały się po prostu zaczernione, były gęsto pokryte

pismem tak drobnym, że nie potrafiłam go odczytać. Harrison podszedł bliżej i popatrzył ze zdumieniem na ścianę.

- To jest... - Słowa nie przeszły mu przez gardło.

- Szaleństwo - wyszeptałam.

- To przypomina Układ Słoneczny albo mapę nieba - powiedział Harrison. - Planety o przecinających się wzajemnie orbitach, linie, które łączą jedne ciała niebieskie z innymi. Wszystko to wiruje wokół jednego punktu jak wokół Słońca.

- Może to też być coś w rodzaju drzewa genealogicznego, rodowodu. Wszystko zaczyna się od punktu w środku - zauważyłam. - Zobacz, co tu jest napisane.

- Ratusz.

Harrison przyglądał się przez chwilę tajemniczemu rysunkowi.

- Cross pytał, czy rozmawialiśmy już z kimś z ratusza - przypomniał.

Wokół głównego okręgu były narysowane mniejsze kółka z wypisanymi w środku nazwiskami.

- Spójrz na nazwisko w drugim kółku - podsunęłam.

- Cross.

Odwróciłam się do pani Fisher, która nie ruszyła się z miejsca. Popatrzyła na mnie błagalnie, a potem uciekła wzrokiem w bok. Harrison pociągnął mnie za rękę, żebym spojrzała na trzeci okrąg od środka, gdzie widniało kilka kółek.

- T. Manning - wyszeptałam. - Mój ojciec.

Przeniosłam wzrok na następne kółko na tej samej orbicie i przeczytałam napis w środku: „Iliada”. Odniesienie do Homera?

- Możliwe, że przyrównywał swoją walkę do eposu Homera - dobiekał Harrison. - Jakkolwiek na to spojrzeć, odszyfrowanie rysunku może zająć dobrych kilka dni. Jeśli w ogóle uda nam się go zrozumieć.

- Możemy zrozumieć to - rzuciłam, wskazując dwa następne kółka.

- Nazwiska dwóch pozostałych ofiar mordercy znad rzeki - stwierdził Harrison.

Podeszłam do pani Fisher.

- Wie pani, od jak dawna Danny nad tym pracuje?

Pokręciła głową.

- Znalazłam to kilka miesięcy temu, kiedy zniknął na tydzień z domu. Mógł pracować nad tym latami. Po prostu nie mam pojęcia - od rzekła.

- Jak długo nie ma Danny'ego tym razem? - spytałam.
- Od trzech dni.

Harrison popatrzył na mnie znacząco. Danny zniknął w dniu, gdy zamordowano mojego brata.

- To nie znaczy, że Danny zrobił cokolwiek złego, pani porucznik - wyjaśniła pani Fisher. - Chce się po prostu dowiedzieć, dlaczego stracił matkę. Chce, żeby świat wreszcie nabrał dla niego sensu, to wszystko. Przez całe życie był zagubiony.

- Ktoś inny, kto starał się dokonać tego samego, mógł z tego powodu stracić życie - odparłam.

- Chce pani powiedzieć, że Danny jest w niebezpieczeństwie?
- Musimy brać taką ewentualność pod uwagę.

Wpatrywała się przez chwilę w ścianę, usiłując połączyć poszczególne punkty.

- Zawsze przyjmowałam, że to efekt choroby. Nienawidziłam tych bredni, bo czułam, że tracę przez nie wnuka. A teraz mówicie, że to może być prawda. - Pokręciła z niedowierzaniem głową. - Byłam przy gotowaniu na wszystko, tylko nie na to - wyszeptała.

Uniosła rękę i otarła łzę z oka, a potem usiadła na ławie przy drzwiach. Harrison i ja staliśmy przez moment w milczeniu przed ogromnym rysunkiem.

- Cokolwiek znaczy reszta tego schematu, jest przynajmniej jasne, gdzie wszystko się zaczyna - zauważył Harrison.

- W ratuszu.

- To źródło wszelkiego zła w świecie Danny'ego - powiedział. - Coś się tam stało.

- Albo tak się tylko Danny'emu wydaje - odparłam.

- Zastanawiam się, co sądzi na ten temat Cross - dorzucił Harrison.

- Będzie nam potrzebna kopia tego wszystkiego - zauważyłam - i trzeba wziąć dom pod obserwację na wypadek, gdyby Danny wrócił.

Harrison pokiwał głową. Zbliżyłam się do rysunku i spojrzałam na kółko z nazwiskiem mojego ojca. Czy jego tajemnice były ukryte w labiryncie linii i orbit pokrywających tę ścianę? Czy też ten rysunek jeszcze bardziej mnie od niego oddali?

- To mi przypomina próby odczytania języka, który nie miał wcześniej formy pisanej - zauważyłam.

Harrison stanął obok mnie, zdumiony szaleńczą logiką wykresu.

- Póki nie rozszyfrujemy kodu tego rysunku, całość pozostanie niezrozumiała. A nawet później może się okazać, że to tylko brednie paranoika, który doszukuje się związków tam, gdzie ich po prostu nie ma.
 - Albo wiadomości przekazane przez ciemnego anioła - dodałam.
 - Jeśli ciemny anioł w ogóle istnieje.
 - Mój brat i detektyw Williams nie żyją - przypomniałam mu. - Musimy założyć, że gdzieś w tym galimatiasie kryje się ziarno prawdy.
- Harrison zaczął wodzić wzrokiem po liniach na ścianie, jakby były przewodami elektrycznymi jednej z bomb, które kiedyś rozbijał.
- Możliwe, że na świecie są tylko dwie osoby, które potrafią rozszyfrować ten rysunek. Jedna jest paranoikiem... a druga najwyraźniej sfrunęła z nieba - orzekł.
 - Wątpię, czy twórca tego rysunku może komukolwiek zaufać na tyle, by podzielić się swoimi sekretami - powiedziałam.
- Harrison potaknął.
- To jak znaleźć anioła? - zapytał.
 - Aniołów się nie znajduje - odparłam. - To one znajdują ciebie.

17

Było już po zmierzchu, gdy z Harrisonem opuściliśmy garaż Danny'ego Fishera i ruszyliśmy w drogę powrotną do Pasadeny. Dwaj mundurowi obserwowali dom na wypadek, gdyby Danny wrócił. Członek ekipy technicznej sfotografował rysunek, część po części, tak aby można było ułożyć ze zdjęć pełnowymiarową mozaikę całości. Setki kartek przyczepianych do ścian i rozrzuconych po podłodze zapakowano w pudła i zabrano do komendy. Na razie nie było żadnego dowodu, że ciemny anioł Danny'ego rzeczywiście istnieje.

Jeśli gdzieś wśród linii i okręgów na ścianie Danny zapisał informację, kto był mordercą znad rzeki, to jej nie znaleźliśmy. Pewna byłam właściwie tylko tego, że świat, który znałam tak dobrze zaledwie czterdzieści osiem godzin temu, nagle zaczął przypominać koszmarny chaos z mapy Danny'ego.

Kiedy przejeżdżaliśmy nad wąwozem na zachód od centrum Pasadeny, spojrzałam na północ, gdzie u podnóża gór stał mój dom. Tam,

gdzie zwykle błyszczały światła osiedli, widać było tylko rozjaśniające tu i tam ciemność pomarańczowe płomienie.

- Jezu - mruknął Harrison.

Sięgnęłam po komórkę, ale się powstrzymałam. Nawet jeśli dom nie spłonął, sąsiednie linie telefoniczne i przewody wysokiego napięcia były na pewno zniszczone. Dzwonienie na automatyczną sekretarkę nic by nie dało.

- Muszę zobaczyć, czy mój dom jeszcze stoi - oznajmiłam.

Przy Fair Oaks zjechaliśmy z autostrady i skierowaliśmy się w stronę wzgórz. Sześć przecznic od mojego domu jezdnię blokowały dwa policyjne radiowozy. Znałam sierżanta patrolu i szybko nas przepuszczono. Przecznicę dalej minęliśmy ostatnie ulice, gdzie wciąż dochodził prąd, i wjechaliśmy w ciemność.

W okolicy nie jeździły żadne samochody, na trawnikach i gankach nie siedzieli ludzie. W bocznej uliczce zobaczyłam sylwetkę konia, który stał na środku jezdni. W innej ciemność przecięły na chwilę migające światła wozu strażackiego.

Harrison zatrzymał się w dolnej części Mariposa i wysiadłam z auta. W poprzek jezdni leżały ponadpalane węże strażackie wciąż podłączone do hydrantu. Wszędzie dookoła walał się gruz i śmieci - dachówki, drewno, papier, kałuże wody zmieszanej z popiołem, częściowo roztopiona plastikowa zabawka, osmalone szczątki buta. Gdzieś w ciemności słyszałam zszasz do trawy, który pracował rytmicznie niczym metronom.

Wyszłam na środek ulicy i podniosłam wzrok na obrośnięte bluszczem zbocze, gdzie stały domy moich sąsiadów. W mroku nie było widać zarysu ani jednego dachu.

- Spłonęły - rzekłam. - Wszystkie spłonęły.

Harrison stanął obok mnie.

- Po twojej stronie ulicy może być inaczej - zauważył.

- Tak, może być gorzej - stwierdziłam.

Powietrze miało gorzki posmak, którego nie wyczuwałam w dymie dziś rano.

- Spaliło się mnóstwo chemikaliów - powiedział Harrison.

- Nie tylko chemikaliów - odparłam.

Odnosiłam wrażenie, jakby powietrze przesiąkło wszystkim, co zniszczył w tych domach pożar. Wszystkie marzenia, wszystkie porażki, wszystkie zapomniane chwile, z których składają się dni, tygodnie i lata.

Jak czasami po amputacji czuje się ból w odciętej kończynie, tak ja odczuwałam obecność zniszczonych domów równie silnie, jakby nadal stały.

- Ziemia drży, a wzgórza płoną. Młode matki padają ofiarą morderstw, a dwadzieścia lat później syn popada w szaleństwo, usiłując zrozumieć dlaczego - wygłosiłam. - I co roku przyjeżdża tu coraz więcej ludzi, którzy myślą, że Kalifornia jest ziemią obiecaną. - Popatrzyłam na Harrisona. - Do diabła z tym.

Odwrociłam się i ruszyłam z powrotem do samochodu, gdy zadzwoniła moja komórka.

- Matka Hectora Lopeza mówi, że syn chce się oddać w twoje ręce - oznajmił komendant Chavez.

- Ten urzędnik z Western Union?

- Tak. Musiał się przestraszyć, że ci z LAPD go zabiją.

- Prawdopodobnie ma rację.

- Jego matka mówi, że powiedział ci, że to nie był on. Po prostu się bał i dlatego cię uderzył. Pragnie tego dowieść, oddając się w twoje ręce. Wierzysz mu? - spytał Chavez.

- To nie on zabił detektywa Williamsa. Skąd go mam odebrać?

- Na Figueroa w Highland Park jest sklep U Ralpa.

- Kojarzę - oznajmiłam. Znajdował się niecałe dwadzieścia minut jazdy od miejsca, gdzie teraz byliśmy.

- Zatrzymaj się w południowym rogu parkingu. Kiedy zobaczy, że jesteś sama, podjedzie i się podda.

- Dobra.

- Powiedziałem jego matce, że nie będziesz sama.

- I co ona na to? - spytałam.

- Że nic z tego. Albo będziesz sama, albo z umowy nici.

- Więc zrobię to sama.

- Nie ma mowy - zaprotestował Chavez.

- Tylko dwie osoby mogą zidentyfikować zabójcę mojego brata: Dana Courson i Hector Lopez.

- Wciąż nie znaleźliśmy Dany - oznajmił Chavez.

- Tym bardziej potrzebuję Lopeza i to zanim dorwie go LAPD.

- Spodziewałem się, że tak zareagujesz - wyznał Chavez. - Lopez będzie na miejscu za godzinę. Założymy ci aparaturę podsłuchową, a w pobliżu rozstawię trzy jednostki.

- Facet jest urzędnikiem Western Union, a nie mordercą - zauważyłam.

- Póki nie ma na rękach kajdanków i nie siedzi na tylnej kanapie twojego wozu, jest jednym i drugim.

Uzgodniliśmy, że spotkamy się kilka przecznic od sklepu, by założyć mi podsłuch, a potem się rozłączyłam.

- Lopez? - domyślił się Harrison.

Kiwnęłam głową i spojrzałam z powrotem na spowitą mrokiem Mariposę.

- Chcesz podjechać pod górkę i się rozejrzeć? - zapytał Harrison.

Zaprzeczyłam.

- Bez względu na to, czy dom nadal stoi, czy nie, mam wrażenie, że i tak został już narysowany na mapie Danny'ego Fishera.

Parę języków ognia rozbłysło nagle w ciemności, a później równie szybko zgasło.

- Może jak wszystko.

18

Uochodziła dziesiąta, kiedy Harrison podłączył wreszcie mikrofon i nadajnik. Byliśmy dwie przecznice od sklepu U Ralpa, na bocznej uliczce, która kończyła się wjazdem na autostradę 110. Trzy jednostki taktyczne w nieoznakowanych wozach ustawiły się już na pozycjach z widokiem na parking.

- Nadajnik działa tylko w polu widzenia. Jeśli znikniesz nam z oczu, przestaniemy cię słyszeć - przestrzegł Harrison.

Kiwnęłam głową i ruszyłam do samochodu. Komendant i Harrison poszli za mną.

- Jeśli będziesz miała jakieś złe przeczucia, natychmiast nas wezwij - polecił Chavez.

Spojrzałam na niego z uśmiechem.

- Tak, tato.

- Lopez wysiądzie ze swojego samochodu, podejdzie do ciebie od strony pasażera i uniesie ręce nad głowę. Wtedy wysiądziesz, założysz mu kajdanki i po sprawie. Lopez wie, co ma robić, jeśli zachowa się inaczej...

- Mam was wezwać.

- I spiesztać stamtąd tak szybko, jak się da - dodał Chavez.
- Lopez nie jest mordercą.
- Zrób to dla mnie - poprosił Chavez.

Uśmiechnęłam się.

- Dla ciebie wszystko.

Chavez westchnął ciężko jak przed każdą akcją, w której braliśmy oboje udział przez ostatnich dwadzieścia lat. Jedyna różnica polegała na tym, że teraz widziałam, ile go to kosztuje, także po głębokich zmarszczkach na twarzy, siwych włosach i niepokoju, jaki dostrzegałam w oczach, które przed laty emanowały tylko pewnością siebie.

- Pamiętaj: podejdzie do drzwiczek pasażera i uniesie ręce nad głowę - powtórzył.

- Pamiętam - zapewniłam.

Chavez nie ruszał się przez chwilę z miejsca, jakby szukał powodu do odwołania akcji, a potem kiwnął głową i odszedł. Wsiadłam do wozu, a Harrison zbliżył się do okna.

- Wyjąłeś tę fotografię z pudła z moimi rzeczami? - spytałam.

Harrison potaknął i wręczył mi zdjęcie ojca, które zabrałam z mieszkania brata.

- Jeśli Lopez go rozpozna, to sprawa będzie zamknięta - rzekłam.

- To stare zdjęcie. Sama mówiłaś, że mogłabyś nie rozpoznać ojca, gdyby minął cię na ulicy.

- Póki nie znajdziemy nagrania z Western Union, to zdjęcie jest wszystkim, co mamy.

- Przypuszczam, że ta kasetka już nie istnieje - stwierdził Harrison.

- W takim razie mam nadzieję, że Lopez powie, że nigdy w życiu nie widział tego człowieka - odparłam.

Wyjechałam na Figueroa i ruszyłam na południe w kierunku sklepu. Przy drodze nie było lokali Gap ani Starbucks. Na chodnik wylała się grupa wiernych po wieczornej mszy, mężczyźni w najlepszych dżinsach i kowbojskich butach oraz kobiety w świeżych białych sukienkach. Dym z budki z taco wypełniał powietrze słodkim aromatem pieczonego kurczaka przyprawionego papryką i limonką. Był to teren rywalizacji dwóch latynoskich gangów. Wszystkie budynki i znaki drogowe były pomazane graffiti. Każdy młody mężczyzna idący ulicą patrzył na mnie wyszkolonym wzrokiem zaprawionego w bojach żołnierza, którego życie zależy od umiejętności widzenia i rozumienia wszystkiego naokoło.

- Wypróbuj mikrofon - odezwał się w słuchawce głos Harrisona.

- Wiemy, jakim samochodem przyjedzie? - spytałam.
- Matka nie była pewna.

Parking przy sklepie był w połowie pusty, samochody stały w rozmaitych odstępach i bez widocznego porządku. Wjechałam na jego teren, zatrzymałam się w południowym rogu i czekałam. Kilku klientów pchających wózki z zakupami szło do swoich aut. Paru podrostków, którzy należeli zapewne do gangu, stało w cieniu pod sklepem, obserwując okolicę. Pojazdem najbliższym mnie była furgonetka o podźartej rdzą karoserii, zaparkowana sześć miejsc dalej. Po drugiej stronie ulicy za sklepem znajdował się przejazd kolejki miejskiej z uniesionym szlabanem.

Zerknęłam na zegarek. Lopez powinien się zjawić w ciągu następnych pięciu minut.

- Zbliża się samochód - oznajmił Harrison. - Brązowy ford, kierowcą jest Latynos. Jest sam.

Śledziłam go wzrokiem w lusterku aż do momentu, gdy minął mnie i pojechał dalej w kierunku sklepu.

- To nie on - przekazałam.

Rozejrzałam się dookoła, szukając samochodów jednostek taktycznych. Pierwszy zobaczyłam po przeciwnej stronie Figueroa. Drugi stał w alejce na wprost mnie, przy budynku mieszkalnym.

- Gdzie jest trzecia jednostka? - zapytałam.
- Na północnym krańcu parkingu - odparł Harrison.

Szlabany przy przejeździe zaczęły opadać i rozległ się brzęk dzwonka ostrzegawczego.

- Nadjeżdża kolejka - oznajmiłam.
- Możesz powtórzyć? - poprosił Harrison.
- Kolejka.
- Powiedziałaś „kolejka”?
- Tak.

Łoskot zbliżającej się maszyny przedarł się przez brzęk dzwonka.

- Słyszysz mnie w tym hałasie? - zapytałam.
- Powtórz - rzucił Harrison.

Maszynista zatrafił przed wjazdem na skrzyżowanie.

- Słyszysz to? - zapytałam.

Harrison nie odpowiedział.

- Możesz... - zaczęłam mówić, lecz we wstecznym lusterku zauważyłam, że coś się poruszyło. Mężczyzna, który wyglądał na Latynosa, zbliżał się do mnie, niosąc niedużą torebkę z szarego papieru.

Ziemia zadrżała, a maszynista znowu zatrząbił, zagłuszając wszystkie inne dźwięki.

- Widzę za sobą mężczyznę - powiedziałam, choć sama się nie słyszałam.

Postać podeszła do mojego wozu i zatrzymała się parę metrów od okna. W ciemności ledwo widziałam rysy twarzy, ale poznałam Lopeza. Poruszał wargami, lecz trąbienie pociągu zagłuszało słowa.

- Odłóż torebkę - poleciłam, wysiadając z samochodu z ręką na glocku.

Lopez potrząsnął głową, jakby nie dosłyszał. Wskazałam palcem torebkę w jego dłoni.

- Odłóż torbę i unieś ręce - rozkazałam.

Skinął głową i zobaczyłam błysk uśmiechu. Zaczął się schylać, żeby położyć torebkę na ziemi, gdy drzwi zardzewiałej furgonetki pięć metrów dalej otworzyły się i spostrzegłam wysiadające w pośpiechu postaci w ciemnych mundurach.

- Nie - krzyknęłam, ale Lopez już zdążył zareagować.

- Padnij na ziemię! - zawołałam, właśnie gdy maszynista kolejki znowu zatrząbił.

Lopez zerknął na mnie i zaczął się odwracać do furgonetki. Kiedy to robił, torebka wypadła mu z ręki i zobaczyłam błysk metalu.

- Nie! - wrzasnęłam, gdy pierwszy wystrzał rozświetlił mrok. Za raz po nim padły trzy następne. Lopez stał przez chwilę bez ruchu, po czym osunął się na ziemię niczym marionetka, której ucięto sznurki.

Stukot pociągu ucichł i w oddali usłyszałam krzyk przedrzeźniacza. Swąd spalonego prochu wisiał w powietrzu. Jeden z funkcjonariuszy brygady antyterrorystycznej LAPD zbliżył się z uniesioną bronią do Lopeza. Wyszedł zza samochodu, pokazując odznakę i krzycząc:

- Policja! Jestem z policji!

- W porządku! - zawołał antyterrorysta.

Na chodniku pół metra dalej leżała srebrzysta puszcza piwa, która wypadła z papierowej torebki. Podbiegłam do Lopeza. Wokół ze wszystkich stron zdawał się rozlegać pisk opon.

- Potrzebujemy sanitariusza! - ryknęłam, zapomniawszy, że mam nadajnik.

Policjanci z naszych jednostek taktycznych podbiegli i otoczyli nas z dobytą bronią, nie do końca rozumiejąc, co się stało. W ciągu kilku sekund na parking zaczęli wjeżdżać następni gliniarze z LAPD.

Usłyszałam, jak ktoś mówi:

- Piwo, cholerne piwo.

Inny głos powiedział:

- Widziałem pistolet.

Lopez leżał na wznak, z nogą przygiętą pod siebie i zdumionym wzrokiem wpatrywał się w niebo. Na przodzie jego niebieskiej koszuli cztery okrągłe plamy krwi rozszerzyły się i zlały w jedną. Przeszukałam go szybko. Nie miał broni, telefonu ani nawet kluczy.

- Słyszysz mnie pan? - zapytałam.

Lopez wziął krótki, urywany oddech i skupił na mnie wzrok.

- Pamiętasz pan taśmę, którą wziął od pana policjant?

Zamrugał i odniosłam wrażenie, że mnie rozpoznał.

- Niech pan powie, co na niej było - poprosiłam.

Jego klatka piersiowa uniosła się, gdy usiłował zaczerpnąć tchu. Wzięłam go za rękę.

- Wyjdzie pan z tego. Rozumie pan? - powiedziałam.

Dłoń Lopeza zacisnęła się trochę mocniej. Spojrzał mi w oczy i natychmiast zorientowałam się, że nie uwierzył w moje zapewnienie.

- Czy funkcjonariusz, który zabrał kasety, podał panu nazwisko? - spytałam.

Jego wargi poruszyły się, lecz nie był w stanie wydać żadnego dźwięku. Potem poczułam, jak lekko trąca palcem moją dłoń.

- Pow... - wydusił. - Pow... 1... 1...

Bezgłośnie powtórzył nazwisko, a potem uchwyt jego ręki zelżał.

- Powell? - zapytałam.

Spróbował jeszcze skupić wzrok, a potem jego oczy znieruchomiały. Przyłożyłam palce do jego szyi. Tętno zanikło.

- Sanitariusza! - krzyknęłam.

Czym prędzej położyłam dłonie na mostku i zaczęłam wykonywać masaż serca.

- Proszę się cofnąć - rozległ się głos za moimi plecami.

- Potrzebujemy sanitariusza! - wrzasnęłam.

- Proszę się natychmiast cofnąć.

Kątem oka zobaczyłam Harrisona, który przepchnął się między otaczającymi mnie policjantami i przykląkł przy głowie Lopeza.

- Nie wyczuwam tętna - oznajmiłam.

Harrison przytknął dłoń do szyi Lopeza. Po chwili popatrzył na mnie i pokręcił głową.

- Urazy są zbyt rozległe.
Ucisnęłam klatkę piersiową jeszcze dwa razy, a potem się poddałam. Cały przód koszuli Lopeza był mokry od krwi.

- Proszę się natychmiast cofnąć - powtórzył ten sam głos.
Odwrociłam się i spojrzałam na dobiegającego pięćdziesiątki mężczyznę w ciemnym garniturze i świeżej białej koszuli. Miał błękitny krawat i niklowany pistolet kaliber 9 milimetrów w kaburze przy pasie.

- Jestem porucznik Pearce z wydziału kryminalnego. To nasza akcja - oświadczył. - Karetka już jedzie.
Wstałam i ruszyłam w jego stronę, lecz komendant Chavez zagroził mi drogę.

- Jasne, że to wasza akcja, do cholery - wypaliłam. - Wasi ludzie zabili właśnie człowieka uzbrojonego w puszkę piwa. Wiecie, coście narobili?
- Alex - interweniował komendant Chavez. Spojrzał mi w oczy i patrzył w nie tak długo, póki nie zapanowałam nad emocjami. - Odejdź - dodał łagodnie. - Po prostu odejdź.

Odwrociłam się i popatrzyłam na antyterrorystów z LAPD. Trzech pochylało się ku sobie i rozmawiało, czwarty siedział w otwartych drzwiach furgonetki i ze wzrokiem utkwionym przed siebie palił papierosa.

- Jego matka nam zaufała - rzuciłam, lecz żaden nawet nie rzączył na mnie spojrzeć. Byli przekonani, że właśnie zastrzelili zabójcę policjanta.
Chavez ujął mnie delikatnie za ramię.
- Musimy umyć ci ręce.
Spojrzałam na swoje dłonie, były poplamione krwią Lopeza.
- W tej chwili nic więcej nie możemy zrobić - powiedział Chavez.
- Postaramy się to naprawić.
Popatrzyłam na leżącego na ziemi Lopeza, jego mętne oczy wpatrywały się ślepo w niebo.
- Jak niby mamy to naprawić? - wyszeptałam.
Zerknęłam na dwóch antyterrorystów, którzy stuknęli się właśnie pięściami, gratulując sobie udanej akcji. Kiedy się odwróciłam, zobaczyłam znajomą twarz w oknie nieoznakowanego wozu, który wyjeżdżał z parkingu.
- Co jest? - zapytał Chavez.
Obserwowałam samochód, aż zniknął mi z oczu. Nie mogło być mowy o pomyłce.

- Hazzard - odezwałam się. - W tamtym samochodzie był Hazzard.

19

Jazda z Highland Park do domku Harrisona w Santa Monica zajęła nam godzinę. Zrezygnowałam ze sprawdzenia, czy mój dom nadal stoi. Teraz wydawało się to pozbawione znaczenia.

Powinniśmy byli przewidzieć, że funkcjonariusze LAPD założyli matce Lopeza podsłuch. Powinniśmy byli przewidzieć, że tam będą. A on powinien być nadal żyć. Czyżby Hazzard oszukał mnie, żeby zdobyć informacje, które pomogłyby w namierzeniu Lopeza?

Podczas jazdy próbowałam zamknąć oczy, lecz za każdym razem słyszałam w głowie echo wystrzałów i widziałam Lopeza upadającego na ziemię.

Harrison wyszedł na nieduży taras z widokiem na Pacyfik i podał mi lampkę wina. Na wybrzeżu gorące śródlądowe powietrze ustąpiło chłodnej oceanicznej bryzie. Cienki sierp księżyca przebijał się przez horyzont za Cataliną.

- Za każdym razem, gdy zamykam oczy, słyszę wystrzały i widzę, jak Lopez upada na ziemię. Nawaliłam dzisiaj.

- To nie ty go zabiłaś.

- Ale i go nie ocaliłam. Hazzard wyprowadził nas w pole. Dał nam akta, a my podaliśmy mu na tacy Lopeza.

- Hazzard służył w wydziale kryminalnym. Większość z tych facetów na emeryturze wciąż nosi broń i odznakę. Tęsknią za mundurem. Nie mogliśmy postąpić inaczej.

- Mogliśmy być mądrzejsi.

Harrison nie odzywał się przez chwilę.

- Lopez powiedział ci coś, prawda? - zapytał.

Napiłam się wina i przytaknęłam.

- Zapytałam go, czy glina, który zabrał kasety, podał swoje nazwisko. Wydaje mi się, że powiedział „Powell”.

- Mówi ci to coś?

- Tak sądzę, ale nie wiem dlaczego - odrzekłam.

Weszłam z powrotem do niedużego salonu, który był urządony równie oszczędnie jak wnętrze klasycznego japońskiego domu z XIX wieku. Bambusowe podłogi, kilka prostych mebli. Sprawiał wrażenie raczej świątyni niż domu. Sanktuarium, do którego ucieka się ze świata gliniarzy i wszystkiego, co się z nim łączy.

Na półce nad kominkiem stało zdjęcie Harrisona z żoną zrobione aparatem wyciągniętym na odległość ramienia. Oboje uśmiechali się szeroko, zastygli w jednej idealnej chwili. Potem ona została zamordowana, a jemu zawalił się świat. Pierwszy raz widziałam jej fotografię. Miała kruczoczarne włosy do ramion i twarz o azjatyckich rysach. Wyglądała na Japonkę.

Harrison wszedł do salonu, a ja odwróciłam się od kominka. Poczulałam się jak intruz. Harrison zbliżył się i utkwiał wzrok w zdjęciu.

- Jej rodzice poznali się w czasie wojny w Manzanar.
- W obozie przesiedleńczym w Owens Valley?

Potwierdził.

- Stracili środki utrzymania, domy, wszystko. - Wpatrywał się w zdjęcie przez chwilę, zatopiony we wspomnieniach. - Fakt, że wyszła za męża za białego faceta, był dla nich ogromnym wyzwaniem. A potem ich jedyna córka została zamordowana, a ja nie mogłam nawet doprowadzić do ukarania sprawcy.

Chciałam pogłodzić go po policzku, ale się powstrzymałam. Był wpatrzony w dal, wciąż borykał się z naznaczoną przemocą przeszłością. Rany nadal się nie zagoiły.

- Jesteś dobrym człowiekiem - przyznałam cicho.
- Można by pomyśleć, że to coś znaczy, ale to nieprawda - odrzekł.
- Dla twojej żony znaczyło.

Spojrzał mi w oczy i patrzył w nie tak łagodnie, jakby tulił mnie w ramionach. Nie zdając sobie sprawy, co robię, zbliżyłam się do niego jeszcze o krok. I nagle mnie olśniło.

- Mój Boże - wyrzuciłam zdumiona.
- Co? - spytał Harrison.
- Powell - wyszeptałam.

Harrison przyglądał mi się przez chwilę.

- Nazwisko, które wymienił Lopez?
- Nazwisko policjanta, który zabrał nagranie.

Zastanowiłam się, kilkakrotnie wracając do tych samych wspomnień i za wszelką cenę próbując sobie udowodnić, że się pomyliłam.

Lecz za każdym razem prawda stawała się coraz wyraźniejsza, niczym obraz filmowy, który nabiera ostrości.

- Ono coś dla ciebie znaczy, prawda? - dopytywał Harrison.

Pokiwałam głową, a potem wyszłam na taras na chłodne wieczorne powietrze. Księżyc skrył się za horyzontem. Jedynym światłem widocznym od strony oceanu był okręt pasażerski, który wyglądał jak płynąca w ciemności świąteczna choinka.

Harrison przystanął za moimi plecami.

- Kim jest ten Powell? - zapytał.

- Tak nazywał się gliniarz, którego mój ojciec grał w jednym horrorze - odparłam.

- Jesteś pewna?

Potaknęłam.

- Jakie jest prawdopodobieństwo, że ktoś znałby akurat nazwisko postaci, która pojawia się na niecałe pięć minut w zapomnianym filmie klasy B?

- Nikle - przyznał Harrison.

- Ciągle mam nadzieję, że on jednak nie żyje, a to wszystko daje się wytłumaczyć jakoś inaczej, lecz gdy tylko taka możliwość wydaje się prawdopodobna, wydarza się coś, co zwraca mi uwagę na oczywistą prawdę: on żyje i chce, żebym wiedziała, że to jego dzieło.

Coś załopotало nad moją głową - nietoperz polujący na owady. Podniosłam wzrok i zobaczyłam, że jest ich kilkadziesiąt: latały w mroku niczym kawałki krepiny wirujące na wietrze.

- Co próbuje osiągnąć? - zastanowiłam się.

- Nie wiem. - Harrison okrył mi plecy pledem i poczułam delikatny dotyk jego dłoni.

- Kasetę - rzuciłam. Zupełnie o niej zapomniałam.

Harrison potrząsnął głową, zdeorientowany.

- Kasetę od Crossa. Nagranie z przesłuchania. Muszę je obejrzeć.

- Może lepiej by było poczekać z tym parę godzin - zasugerował.

- Jak mam to wytrzymać?

Uśmiechnął się łagodnie.

- Nie mam pojęcia.

Harrison wsunął kasetę do magnetowidu, lecz zawahał się, zanim go uruchomił.

- Chcesz obejrzeć to w samotności? - zapytał.

Pokręciłam głową.

- Wiem, jak brzmi głos policjanta usiłującego powstrzymać cyklopa albo Indianina zakochanego w białej dziewczynie, ale nie słyszałam głosu ojca, odkąd byłam dzieckiem. Mogę cię potrzebować, żebyś pomógł mi dostrzec albo usłyszeć to, co wolałabym wyprzeć.

Harrison obiecał, że tak zrobi, po czym odszedł od telewizora i wcisnął guzik pilota. Przez chwilę słychać było tylko elektryczny szum, aż wreszcie rozległ się trzask włączanego mikrofonu, a potem niewyraźne głosy kilku detektywów.

Ekran zamrugał i pojawił się statyczny, prawie nieruchomy obraz. Przy stole w białym pokoju przesłuchań siedział mężczyzna, który patrzył na coś lub kogoś tuż za kamerą.

- Proszę podać nazwisko - polecił głos, który mógł należeć do Hazzarda.

Mężczyzna przy stole odwrócił lekko głowę i spojrzał prosto w obiektyw.

- Thomas Manning - oświadczył.

To nie ten głos, który zapamiętałam z telewizji, ale i tak go rozpoznałam. Był może o oktawę niższy, mniej pewny siebie. Głos albo strzęp głosu, który słyszałam w snach. Uroda amanta, która podsycala jego aktorską ambicję, przeminęła, lecz włosy wciąż miał ciemne, a czarne, lśniące oczy nadal przykuwały uwagę.

Detektyw zza kadru zapytał, czy odczytano mu jego prawa i czy je rozumie, a ojciec potwierdził.

- Czy zamordował pan Victorię Fisher?

Ojciec odpowiedział bez wahania:

- Nie.

- Czy udusił pan Alice Lundholm i porzucił jej zwłoki na brzegu rzeki?

- Nie uczyniłem żadnej z tych rzeczy.

- Ale rozerwał pan bluzkę Jenny Roberts, a potem włókł ją pan za nogę przez scenę?

- Próbowaliśmy scenę, w której to było. Wystraszyła się. Mogę panu pokazać scenariusz.

- Miesiąc później została zamordowana.

- Nie przeze mnie.

- Zażądał pan od Alice Lundholm, żeby zdjęła bluzkę?

- Podrywała mnie. Takie sytuacje zdarzają się w teatrze nagminnie.

Niektórzy ludzie po intensywnej pracy nie potrafią ochłonać z emocji.

Wypowiedział te słowa z wyćwiczoną swobodą aktora grającego tę samą rolę w długo wystawianej sztuce.

- Dlaczego pańska pierwsza żona wystąpiła przeciwko panu o zakaz zbliżania się do siebie? - zapytał Hazzard.

- Musiałby pan jej zadać to pytanie.

- Znęcał się pan nad nią?

Zdawało się, jakby wszystkie mięśnie w ciele ojca się naprężyły. Odwrócił głowę od kamery i zgromił policjanta wzrokiem. Znałam tę minę. Widziałam ją w swoim ostatnim śnie, kiedy trzymał moją matkę za gardło.

- Zgodnie z przysługującymi mi prawami poczekam na przybycie swojego adwokata, zanim odpowiem...

Hazzard nie dał mu dokończyć:

- Co pan zrobił swojej żonie?

Ojciec oderwał spojrzenie od przesłuchującego i spuścił wzrok na dłoń.

- W ciągu jednego roku trzy razy trafiła na pogotowie. Dlaczego?

Kamera zrobiła zbliżenie jego twarzy, gdy jedno za drugim padały następne pytania.

- Co jej pan zrobił?

Ojciec nie odpowiedział.

- Bił ją pan?

Cisza.

- Wykręcił jej pan ramię tak mocno, że zostały sińce...

Lista się wydłużała.

- Uderzył ją pan... dusił... rzucił nią o ścianę...

Ojciec nie reagował. Sprawiał wrażenie, jakby wyszedł do innego pokoju i nie słyszał słów detektywa. Zamknął oczy i spuścił głowę.

- A co zrobił pan swojej córce, panie Manning?

Ojciec zdretniał.

- Co jej pan zrobił?

Powoli uniósł głowę i spojrzał gniewnie w obiektyw.

- Co pan zrobił córce?

Czerń jego oczu zdawała się ledwo powstrzymywać szalejącą w głębi wściekłość. Po chwili gniew minął.

- Kochałem ją - powiedział cicho.

Przesłuchanie trwało dalej, ale ja nie słyszałam następnych pytań. Nie wiem, co jeszcze powiedział, jeśli w ogóle się odezwał, ani o ja-

kie szczegóły go wypytywano. Upłynęła minuta, dwie, może dziesięć - sama nie wiem. Kiedy znowu spojrzałam w ekran, zobaczyłam tylko „wojnę mrówek”. Harrison podszedł do telewizora i go wyłączył.

- Ja nie... - zaczęłam, ale nie mogłam dokończyć zdania. Wstałam z fotela i wyszłam na wieczorny chłód. Tam, gdzie przedtem widać było światła okrętów, rozciągał się tylko mrok. Harrison stanął za moimi plecami, lecz nie odezwał się słowem.

- Chyba część przesłuchania mi umknęła - przyznałam. - Usłyszałeś wszystko?

- Tak.

- Czy oni... Czy mój ojciec udzielił jakichś odpowiedzi po tym, jak powiedział, że mnie kochał?

- Nie, nie wykrztusił już ani słowa. Hazzard zarzucał go pytaniami, aż zjawił się Gavin.

Harrison wziął pled i znowu okrył mi ramiona.

- Co o tym myślisz? - spytałam.

- Myślę, że dziecko nigdy nie powinno zobaczyć rodzica w takiej sytuacji.

- Wierzysz mu... mojemu ojcu?

- Że cię kochał... tak, w to wierzę.

- A w resztę?

Harrison pokręcił głową. Przytulił mnie i poczułam na plecach bicie jego serca.

- Nie wiem - odparł.

- Kiedy byliśmy na Martel, gdzie znaleziono samochód Victorii, miałam wrażenie, że...

- Tak?

- Może to zabrzmiało, jakbym była wystraszoną dziewczynką, a nie porucznikiem wydziału zabójstw...

- Mnie nie musisz niczego udowadniać - zachęcił Harrison.

- Kiedy stałam na chodniku, poczułam rękę zaciskającą mi się na ustach... Myślę, że mogłam być pierwszą ofiarą mojego ojca.

Poczułam, jak pierś Harrisona uniosła się, gdy nabierał powietrza.

- Zaprzeczył, że zrobił ci krzywdę.

- Powiedział, że kocha swoją córkę, a to nie to samo.

Chciałam się odwrócić i spojrzeć Harrisonowi w oczy, ale nie byłam w stanie.

- A jeśli zrobił coś złego własnej córce, to czy tak trudno sobie wyobrazić, że zabił te trzy kobiety?
- Owiał nas podmuch ciepłego wiatru z głębi łądu. Przez krótką chwilę powietrze miało zapach jaśminu, który jednak szybko przeminął.
- Powinnaś się zdrzemnąć - powiedział Harrison.
- Jak? - wyszeptałam.
- Sięgnęłam po jego rękę, ale zdążyła się już zsunąć z mojego ramienia.

20

Huk strzelaniny wyrwał mnie ze snu. Przez całą noc prześladowało mnie to samo wspomnienie. Cztery krótkie wystrzały, jeden po drugim. Sen ograniczał się do tych dźwięków. Nie widziałam ani twarzy Lopeza, ani błysku wypalającej broni, ani okrągłych plam krwi na koszuli.

Leżałam na kozetce owinięta pledem, którym wcześniej Harrison okrył mi ramiona. Na wschodzie widać było pierwsze światło brzasku. Zdałam sobie sprawę, że dźwięk, który wzięłam za następny wystrzał, był dzwonkiem mojej komórki w kieszeni żakietu. Otuliłam się pledem i odebrałam.

- Tu Frank Cross - powiedział mężczyzna. - Odwiedziła mnie pani w biurze.

Musiała upłynąć chwila, zanim skojarzyłam głos ze śledczym z prokuratury na skraju pustyni.

- Tak - odparłam.
- Obejrzała pani nagranie?
- Tak.
- To jeszcze nie wszystko. Jest tego więcej, znacznie więcej. Może się pani ze mną spotkać?
- Kiedy?
- Teraz.
- Tak, mogę się z panem spotkać.
- Jak daleko jest pani od plaży?
- Jestem w Santa Monica.
- Na końcu Sunset jest parking. Proszę zostawić na nim samochód i pójść plażą na południe. Podejdę, kiedy przekonam się, że jest pani sama.

Chciałam jeszcze o coś zapytać, ale się rozłączył. Zebrałam swoje rzeczy i weszłam do sypialni Harrisona. W półmroku ledwo widziałam kontury jego ciała pod białą pościelą. Zbliżyłam się, aby mu powiedzieć, że wychodzę, ale ostatecznie rozmyśliłam się i pozwoliłam mu spać dalej.

Kiedy wjechałam na parking przy PCH i Sunset, było parę minut po wpół do szóstej. Nad oceanem unosiła się gęsta mgła. Na parkingu stało z pół tuzina samochodów. Ścieżką wzdłuż plaży biegali amatorzy joggingu.

Wysiadłam i podeszłam do skraju parkingu, skąd rozciągał się widok na ocean. Powietrze było ciężkie od zapachu soli i gnijących ryb. Na północy plaża wyglądała na wyludnioną, tu i tam piasek pokrywał dywan wyschniętych wodorostów i małych pomarańczowych skorupiaków wyrzuconych na brzeg przez fale przypląwu. Na południu kilka postaci spacerowało albo biegło na ciemnoszarym tle wody. Przeszłam przez barierkę, zdjęłam buty i ruszyłam na południe.

Szłam przez dziesięć minut, co jakiś czas rozglądając się dokoła, ale nigdzie nie było śladu Crossa. Próbowałam sobie przypomnieć, co dokładnie powiedział, na wypadek gdybym coś przegapiła, lecz za każdym razem moje myśli dryfowały ku wczorajszemu wieczorowi, dotykowi rąk Harrisona, biciu jego serca.

Kiedy w nocy wróciłam z tarasu do domu, Harrison już spał. Usiadłam i patrzyłam na niego - na unoszącą się i opadającą klatkę piersiową, na kontur nogi pod pościelą, na przegub ręki i wygięcie palców. Kilkakrotnie podnosiłam się z krzesła, żeby wsunąć się do łóżka obok niego, i za każdym razem powstrzymywałam się, słysząc głos, który szeptał mi do ucha: „Nie rób tego”. Więc tylko nadal mu się przyglądałam, wmawiając sobie, że to mi wystarczy, choć wiedziałam, że to nieprawda.

Pół kilometra przed sobą zobaczyłam grupkę ludzi, którzy stali na plaży wpatrzni w ocean. Przyspieszyłam kroku i gdy podeszłam bliżej, stwierdziłam, że patrzą na coś na powierzchni wody. Pięćdziesiąt metrów dalej dostrzegłam ciało unoszące się bezwładnie na falach.

Kiedy zbliżyłam się do grupki, jedna z osób odwróciła się do mnie.

- Nie żyje - powiedziała kobieta.

Było to ciało foki, częściowo oplatane wodorostami. Na grzbiecie zobaczyłam otwartą ranę po ugryzieniu rekina. Duże ciemne oko zwierzęcia wpatrywało się przed siebie szklanym wzrokiem.

Przyjrzałam się pozostałym twarzom, lecz żadna nie należała do Crossa. Dalej na południu plaża była pusta. Na północy zobaczyłam kobietę uprawiającą samotnie jogging. Gapie zaczęli się rozchodzić, a ja odczekałam jeszcze kilka minut, rozglądając się w poszukiwaniu Crossa. O szóstej ruszyłam w drogę powrotną zastanawiając się, o czym chciał ze mną porozmawiać i dlaczego nie przyszedł.

Dotarłam na parking i otrzepałam piasek ze stóp. Na parkingu było teraz więcej samochodów, niż kiedy przyjechałam. Obok stał surfer, który patrzył na wodę, jakby wiedział coś, o czym reszta z nas nie miała pojęcia.

Wsiadłam do auta i spojrzałam w dal na szarą wodę znikającą w mgle. Nigdy nie rozumiałam ludzi, których uspokaja widok oceanu. We mnie zawsze wywoływał nerwowość - skrywał tajemnicę. Tak jak zwłoki ofiary zabójstwa. Można zrozumieć, jak ktoś zginął. Gliniarz, który zna się na swojej robocie, potrafi ustalić dokładny kąt, pod jakim kula uderzyła w ciało, jej kaliber, dlaczego krew tryskała tak, a nie inaczej, albo który cios nożem zadał śmiertelną ranę. Ale nigdy nie dowie się, co ta osoba widziała, jak szybko oddychała ogarnięta paniką ani też o kim lub o czym pomyślała tuż przed śmiercią.

Kiedy wsunęłam kluczyk do stacyjki, czyjaś ręka sięgnęła przez otwarte okno i złapała za kierownicę. Cross miał na sobie sportowe ubranie i bluzę z kapturem naciągniętym na głowę. Jego oczy zdawały się należeć do kogoś innego niż człowiek, którego poznałam w prokuraturze. Zobaczyłam w nich panikę, coś bliskiego przerażeniu. Cross oddalił się od samochodu i usiadł na barierce przy brzegu.

Podeszłam do niego, przycupnęłam na barierce i czekałam, aż powie, dlaczego mnie tu wezwał. Prawie przez minutę po prostu wpatrywał się w wodę.

- Znałem Victorię Fisher - oświadczył. - Pracowała w moim biurze.

Nie byłam pewna, czy zapomniał, że o tym wiem, czy też próbował mi dać do zrozumienia coś więcej.

- Wiem - odparłam.

Cross odwrócił się i spojrzał na mnie spod kaptura. Wyglądał, jakby nie spał od kilku dni.

- Musi pani zrozumieć, że podejmuję duże ryzyko, a pani, rozmawiając ze mną, może narazić siebie i swoją karierę.

- Przez telefon powiedział mi pan, że kasetę z nagraniem to nie wszystko.

Pokiwał głową i odczekał, aż przebiegający obok mężczyzna się oddalił. Potem podjął:

- Co pani o mnie wie?
- Był pan policjantem, potem prokuratorem, a teraz pracuje pan w prokuraturze jako śledczy.

- Zepchnięty na boczny tor - powiedział. - Czy taka droga zawodowa nie wydaje się pani dziwna?

Przytaknęłam.

- Rzeczywiście, zastanawiająca.

- Byłem w biurze wschodzącą gwiazdą. Mówiło się, że będę następnym prokuratorem okręgowym Los Angeles. To daleka droga od Palmdale.

- A potem asystentka z pańskiego biura została zabita przez mordercę znad rzeki.

- Tak brzmi oficjalna wersja.

- A nieoficjalna? - zapytałam.

- Na dwa dni przed śmiercią Victoria Fisher przygotowywała dokumenty dla sądu. Część dnia spędziła w archiwum. Myślę, że znalazła coś, co mogło stanowić zagrożenie dla pewnych potężnych ludzi, i dlatego ją zabito, a potem upozorowano zbrodnię tak, żeby wyglądała na robotę mordercy znad rzeki.

- Skąd pan wie, że coś znalazła?

- Powiedziała mi o tym w dniu swojej śmierci.

- Co to było?

Cross pokręcił głową.

- Miała się ze mną spotkać nazajutrz przed pracą. Ale wieczorem ją zamordowano.

- I nie ma pan pojęcia, co takiego odkryła?

- Kalifornia to jedna z pięciu największych gospodarek świata, Los Angeles jest jej centrum, a ratusz depozytariuszem tajemnic. Byłem blisko. Szukałem rozwiązania przez osiemnaście lat, ale za każdym razem, gdy przeczuwałem, że zbliżam się do prawdy, byłem odtrącany, a moja kariera się sypała.

- Ma pan na to jakieś dowody?

Zaprzeczył.

- Kiedy służyłem w policji, byłem w patrolu z Lenem Hazzardem.

- Nie wiedziałam.

- Dlaczego Hazzard awansował na detektywa elitarnego wydziału kryminalnego, podczas gdy ja uganiam się za jaszczurkami na pustyni?

- Przyczyn może być mnóstwo - zauważyłam.
 - Słusznie.
 - Skoro ten spiszek jest tak rozległy, jak pan mówi, to skąd pan wie, że do niego nie należę? - zapytałam.
 - Nie służy pani w LAPD.
 - Mógł się pan zgłosić do wielu innych agencji. Dlaczego zaufał pan akurat mnie?
 - Ponieważ w żadnej innej agencji nie pracuje córka jedyne go podejrzanego, którego przesłuchano w sprawie tego morderstwa.
- Skomplikowany układ przecinających się okręgów wyrysowanych przez owładniętego szaleństwem Danny'ego Fishera wydał się przez moment jasny i klarowny jak mapa drogowa.
- Wie pan, kim jestem?
 - Byłem dobrym gliną i jeszcze lepszym prokuratorem. Oboje pragniemy tego samego, pani porucznik. Prawdy.
 - Zna pan Danny'ego Fishera?
- Cross ściągnął kaptur i pokiwał głową.
- Od czterech dni nikt nie wie, gdzie go szukać - wyjaśniłam.
 - To dzieciak z problemami. Nie pierwszy raz uciekł z domu, mogło chodzić o cokolwiek.
 - Uważa pan, że mój ojciec zabił Victorię Fisher?
- Wzruszył ramionami.
- Sama niech mi pani powie.
 - Nie wiem - wyznałam.
- Dwadzieścia metrów od brzegu powierzchnię wody przecięły płetwy kilku delfinów ścigających ławicę małych rybek, które zaczęły wyskakiwać z wody, próbując uciec przed atakiem. Cross przyglądał im się przez chwilę.
- Mogą wyskoczyć w powietrze, gdzie nie mogą oddychać, albo zostać pod wodą i dać się pożreć. Kiepski wybór.
- Zastanawiałam się, czy mówi o rybach, czy o sobie albo nawet o moim ojcu. Cross naciągnął kaptur na głowę i wstał.
- Proszę mi pomóc - zwróciłam się do niego.
- Cross wpatrywał się tylko w szarą toń.
- Nie potrafię pomóc nawet sam sobie, pani porucznik.
- To rzekłszy, ruszył w stronę plaży.
- Danny Fisher mówił swojej babce, że dostaje od kogoś wiadomości dotyczące śmierci matki. Nazywał tę osobę swoim „ciemnym aniołem” - powiedziałam.

Cross przystanął i obejrzał się przez ramię.

- Danny lubi zmyślać. Niech pani będzie rozsądna, pani porucznik. Niech pani porzuci tę sprawę.

Usłyszałam pisk opon i dźwięk klaksonu na PCH i odwróciłam głowę. Kiedy spjrzałam z powrotem na Crossa, ten biegł już plażą na południe, znikając powoli we mgle.

21

Powtórzyłam Harrisonowi rozmowę tak dokładnie, jak umiałam, ale nie pomogło mi się to uspokoić. Gdybym uwierzyła w spiskowe teorie Crossa, równie dobrze mogłabym przyjąć, że szalona mapa Danny'ego Fishera trafnie oddaje rzeczywistość. A gdybym to uczyniła, wszystkie lata, które spędziłam w policji, byłyby nic niewarte.

Ale nawet jeśli wszystko, co Cross powiedział, było prawdą, nadal należało wyjaśnić śmierć trzech młodych kobiet uduszonych nad rzeką, zabójstwo mojego brata i policjanta oraz fakt, że jedyną osobą, która mogła mieć z tym wszystkim coś wspólnego, był mój ojciec.

Czy Hazzard rzeczywiście stanowił część układanki, jak sugerował Cross? Czy to wyjaśniało jego obecność przy śmierci Lopeza? Czy też był po prostu wiernym towarzyszem broni, który wziął udział w polowaniu na zabójcę policjanta?

Bez względu na to, która odpowiedź była bliższa prawdy, wiadomość, jaką wieczorem otrzymał komendant Chavez od Hazzarda, żądającego zwrotu wszystkich akt LAPD pozostających w moim posiadaniu, nie pomagała w rozstrzygnięciu sprawy.

Kiedy Harrison zjechał z autostrady 101, widziałam w oddali wzbijający się w niebo słup dymu z pożogi, która parę dni wcześniej przeszła w pobliżu domu Hazzarda, a teraz powoli zbliżała się do gór Santa Monica. Kilka policyjnych patrolów wciąż blokowało wjazd w ulice pełne zgliszczy. Rząd spalonych palm sterczał w górę niczym pięciometrowe słupy węgla.

Ogień rozprzestrzenił się po okolicy niczym ogromne rozczapierzone łapsko o palcach z płomieni. Gdzie po jednym domu pozostały tylko ruiny, tuż obok stał drugi, nienaruszony.

Dom Hazzarda, podobnie jak reszta budynków na ulicy, wyglądał na niezamieszany. Wąż strażacki użyty w walce z żywiołem wciąż leżał rozciągnięty na trawniku. Cedrowy płotek wokół posesji przypominał teraz rząd spalonych zapalek.

Zaparkowaliśmy na podwórzu i ruszyliśmy do frontowych drzwi. Z bliska zobaczyliśmy, że są otwarte. Kolorowy witraż w oknie był popękany. Harrison złapał mnie za ramię. Zatrzymałam się.

- Coś mi tu nie gra - rzucił cicho.

Zawahałam się nieco, a potem sięgnęłam do klamki.

- Goście, do cholery, najlepszego zrobili?

Odwróciliśmy się gwałtownie. Hazzard stał za nami z rękami urnazanymi sadzą i popiołem. Jego przekrwione oczy pałały gniewem.

- Rozmawialiście z chłopakiem, prawda?

- O czym pan mówi? - zapytałam.

- O Dannym Fisherze. Rozmawialiście z nim. Jeszcze bardziej zamęciliście mu w głowie.

- Danny Fisher zaginał w tym samym dniu, w którym zabito mojego brata.

Hazzard patrzył na mnie przez chwilę, a potem wyminął nas i zniknął we wnętrzu domu. Poszliśmy za nim przez hol aż do niedużego gabinetu. Ktoś splądrował pokój i przy okazji prawie doszczętnie zniszczył biurko ustawione w kącie.

- Co się tu stało? - zapytałam.

- Pani brat nie został zamordowany. To było samobójstwo - warknął Hazzard. - Z kim jeszcze rozmawialiście?

- Rozmawiałam z pańskim byłym partnerem Crossem. On też nie wierzy, że to było samobójstwo.

Hazzard zamknął oczy i pokręcił głową.

- Macie pojęcie, ile szkody wyrządziliście?

- Dlaczego nie powiedział mi pan o Crossie ani o Dannym?

Hazzard odetchnął.

- Jeśli widziała pani pokój Danny'ego, to wie pani, że jest szaleńcem. A jeśli poznała pani Crossa, to na pewno rozumie pani, że ma jakąkolwiek pracę tylko dzięki wpływom, które wykorzystałem, by mu pomóc. I za te dobre uczynki padłem ofiarą ich dzikich mrzonek.

- Ochronia ich pan? - spytałam.

- Ochroniałem.

- Sądzi pan, że zrobił to jeden z nich?

Hazzard wzruszył ramionami.

- A któżby inny?

- W wieczór śmierci Victorii Fisher mój ojciec wyszedł z teatru w towarzystwie aktorki. Dlaczego nie ma o tym wzmianki w pańskich aktach?

- Ponieważ rozstali się na parkingu. - Wziął następny głęboki, zmęczony oddech. - Pani ojciec nie włamał się tutaj.

- Skąd pan wie?

- Bo nie żyje od lat, pani porucznik. Bezdomny, którego ciało znaleźliśmy po ostatnim morderstwie, to prawdopodobnie właśnie on, tylko że nie udało nam się tego udowodnić.

- Dlaczego?

- Został przejechany przez pociąg, prawdopodobnie wielokrotnie. Zwłoki znaleziono dopiero po tygodniu. Został pochowany w bezimiennej mogile, ponieważ nie byliśmy w stanie ustalić tożsamości.

Słowa Hazzarda podziałały na mnie jak cios w brzuch.

- Dostałam akta, ponieważ chciał pan, żebym nadal badała sprawę i doprowadziła was do Lopeza.

Hazzard zmrużył oczy i zacisnął mocno szczękę.

- Lopez zabił policjanta.

- Był uzbrojony w puszkę piwa.

Ściany pomieszczenia zaczęły na mnie napierać. Wyobraziłam sobie stukot pociągu i trzask miazdzonego pod kołami ciała. Wysłam pośpiesznie przez wąski korytarz i zatrzymałam się dopiero w salonie.

- Skąd może pan mieć pewność? Przez lata szperał pan w bazach danych i szukał zbrodni podobnych do morderstw nad rzeką.

- W ten sposób upewniałem się, że nie żyje.

Wzięłam oddech i żebra zabolowały mnie, jakby odnowił się uraz.

- Ale to w żaden sposób nie zmienia faktu, że mój brat został zamordowany - powiedziałam.

Hazzard podszedł do frontowych drzwi i spojrzał na pogorzeliśko.

- Dziś o dziewiątej rano koroner potwierdził, że przyczyną zgonu pani brata był samobójczy strzał w głowę. - Odwrócił się i popatrzył na mnie. - Proszę dać sobie spokój z tą zamierzchną sprawą, bo może pani tylko kogoś skrzywdzić, pani porucznik. I chcę swoje akta z powrotem.

Odjechaliśmy spod domu Hazzarda w milczeniu i nie odzywaliśmy się do momentu, gdy dotarliśmy do wjazdu na autostradę 101.

- Myślałam, że przez całe życie nie dowiem się o ojcu niczego poza tym, co zobaczę w telewizji. - Ale dzina nie można uwiezić z powrotem w butelce. Żywy czy martwy stawał się dla mnie kimś rzeczywistym. - Czy to naprawdę możliwe, że tak bardzo się pomyliliśmy? - zapytałam.

- Ktoś skonfiskował nagranie z urzędu Western Union i przedstawił się jako Powell.

- To znaczy, że wciąż tkwimy w punkcie wyjścia. - Spojrzałam na słupy dymu wznoszące się w oddali nad górami Santa Monica. - Chcę pojechać do domu i sprawdzić, czy wciąż stoi, a jeśli tak, to zamierzam wziąć długą, gorącą kąpiel.

Harrison zerknął na mnie i się uśmiechnął.

- Pomogę ci.

Zadzwoił mój telefon. Odebrałam i usłyszałam głos Travera.

- Mam ci przekazać wiadomość od Dany Courson - oznajmił.

- Od dziewczyny mojego brata?

- Właśnie. Powiedziała, że spotka się z tobą w swoim domu dzisiaj o drugiej.

Spojrzałam na zegarek. Jeśli mieliśmy zdążyć, musieliśmy się pośpieszyć.

- Podała numer telefonu?

- Nie.

- Czy któraś z jednostek patrolowych nadal obserwuje jej dom?

Traver musiał to sprawdzić.

- Tak. Obserwację wznowiono po telefonie. Dyżurny powiedział jej, żeby nie zbliżała się do domu bez asysty policjanta.

- Czy mówiła coś więcej? - spytałam.

Traver zajrzał do notatek.

- Owszem. Powiedziała, że wie, kim jest Powell. Czy coś ci to mówi?

Spojrzałam na Harrisona.

- Że przeszłość nie jest tak martwa, jak by się wydawało.

22

Było dziesięć po drugiej, kiedy zaparkowaliśmy na obsadzonej drzewami uliczce domów w stylu farmerskim w północnym Hollywood, gdzie

mieszkała Dana Courson. Na podjeździe nie stał żaden samochód. Na ganku leżało w nieładzie pół tuzina gazet. Pod drzwiami spoczywała sterta katalogów i przesyłek reklamowych. Nacisnęłam dzwonek, ale nikt nie otworzył.

- Gdyby była w domu, pozbierałaby gazety i pocztę - zauważył Harrison.

Zasłony w oknach od frontu były pozasuwane, żaluzje po bokach domu opuszczone. Nacisnęłam klamkę, drzwi były zamknięte na klucz, na framudze żadnych śladów włamania. Spojrzałam na ulicę.

- Może wróciła do domu, a potem wyszła - dorzucił Harrison. - Jeśli powiedzieli jej, żeby nie zbliżała się do domu bez policjanta.

- Zadzwoiła do nas. Umówiła się tutaj - odparłam. - Zeszłam z ganku i zerknęłam na tyły domu. - Brama do garażu nie jest zamknięta - zauważyłam.

- To dlaczego nie otworzyła nam drzwi?

Poszliśmy na tyły domu. Furtka na podwórzu była uchylona. Prostokątny basen okryty foliową płachtą rozciągał się od patio w pobliżu tylnego wejścia aż do dużego krzewu bugenwilli i bananowca, które wyznaczały granicę posesji. Harrison zbliżył się do garażu i pchnął bramę na oścież. Powietrze w środku miało co najmniej trzydzieści pięć stopni. Z wnętrza wydobywał się ostry zapach.

- Co to takiego? - spytałam.

- Benzyna - odparł Harrison i skinął ręką na żółtego volkswagena garbusa z lat siedemdziesiątych, który stał zaparkowany w mroku. - Dlatego czuć smród benzyny. Ze starych garbusów często coś wycieka.

- Czuję nie tylko benzynę, ale coś jeszcze. - Nacisnęłam pstryczek kontaktu, ale światło się nie zapaliło.

- Jeśli przyjechała tym samochodem, silnik wciąż powinien być ciepły - zauważył Harrison. - Podszedł do autka i położył dłoń na masce. - Maskę jest ciepła, ale możliwe, że nagrzała się od powietrza w garażu. Jeśli ktoś jeździł tym samochodem, to co najmniej kilka godzin temu - orzekł.

Zbliżyłam się do okna od strony kierowcy i poczułam jeszcze ostrzejszy smród. Był słodki i lepki.

- To nie benzyną tu pachnie.

Zajrzałam do środka, lecz w ciemnościach nie byłam w stanie nic zobaczyć. Dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, że coś się tam porusza.

- Coś tu jest- rzuciłam.

Harrison podszedł do okna i zatkał sobie usta.

- Szyba wygląda, jakby się poruszała - zauważył.

Wpatrywałam się w nią przez chwilę, czekając, aż oczy przyzwyczają się do mroku. Wewnętrzna strona szyby zdawała się poruszać, jakby jej powierzchnia falowała.

- Muchy - stwierdziłam. - Szybę obsiadły muchy, setki much.
- Są ich tysiące - sprostował Harrison. - Spojrzał na mnie, a potem sięgnął do kieszeni, wyjął chusteczkę i podał mi ją. - Zakryj sobie usta - poradził.

Przyłożyłam chusteczkę do ust, a Harrison zakrył swoje krawatem. Popatrzył na mnie, a ja skinęłam głową.

- Otwieraj.

Włożył rękę w podszewkę kieszeni marynarki, żeby nie zostawić odcisków palców na klamce, a potem otworzył drzwiczki. Odór oblał nas niczym niewidzialna fala, a chwilę później z wnętrza samochodu wyleciała chmara much. Harrison cofnął się z obrzydzeniem i zobaczyłam, jak coś spada z przedniego fotela. Złapałam Harrisona za ramię, a potem usłyszałam rozdzierającą się papierową torebkę i jej zawartość upadła nam pod nogi z cichym plaśnięciem.

- Zgniłe warzywa - powiedział Harrison.

Kilka much musnęło w locie mój policzek, a ja odwróciłam się i wybiegłam z garażu. Usiłowałam pozbyć się smrodu zgnilizny, który zalegał mi w płucach, i łapczywie chwytalam powietrze. Mucha, która zaplątała się w moje włosy, zabzyczała mi koło ucha i zaczęłam przetrząsać je rękami, żeby się jej pozbyć.

- Co to, do cholery, było? - spytał Harrison.

Odwróciłam się i zobaczyłam, że klęczy na podjeździe i wypluwa muchę z ust.

- Na pewno nie zrobiła tych zakupów dzisiaj - odezwał się. - Leżały tam od wielu dni.

Próbowałam zrozumieć, z czym mamy do czynienia.

- Jeśli ich tam dzisiaj nie zostawiła, to czym odjechała?
- Drugim samochodem - stwierdził Harrison.

Pokręciłam głową.

- Czemu miałyby odjechać jednym samochodem, a w drugim zostawić torbę zakupów?
- Wpadła w panikę - zasugerował. - Jej chłopak właśnie został zamordowany.

Kiedy ostatnio widziałam Dane Courson, mierzyła do mnie z pistoletu i nic w jej zachowaniu nie wskazywało na panikę. Bała się, ale panowała nad sobą.

- Nie wydaje mi się - odparłam.

Kiedy już trochę ochłonęłam, przeszłam przez otwartą furtkę na tylne podwórze. Na płachcie folii zakrywającej basen osiadły liście i popiół. Niedopita butelka wody stała na stoliku pod parasolem. Kuchenne drzwi były otwarte. Na posadzce w środku było widać główkę sałaty.

- Coś jest nie w porządku - uznałam.

Harrison wszedł na podwórze i spojrzał na drzwi. Kiedy zobaczył sałatę na podłodze, wyciągnął broń. Zbliżyliśmy się do drzwi i zajęliśmy pozycje po przeciwnych stronach framugi, następnie Harrison pchnął je na oścież i wkroczyliśmy do środka. Kolejna torba zakupów leżała na posadzce - warzywa, owoce i pojemniki, z których wyciekały roztopione lody. Wokół latały muchy, ale było ich znacznie mniej niż w garażu.

Na blacie wyłożonym niebieskimi kafelkami zobaczyliśmy komplet kluczy i damską torebkę.

- Wnosiła zakupy do domu i coś ją zaskoczyło, może telefon o śmierci twojego brata - spekulował Harrison.

Zaprzeczyłam.

- Powiedziała, że zadzwonił do niej ze szpitala po wypadku. Rano poszła do jego mieszkania. Tam dowiedziała się o jego śmierci od detektywa Williamsa i pani Chow z biura koronera.

Harrison minął porzucane zakupy i z uniesioną bronią wszedł do salonu.

- Rzuć okiem na to - zasugerował.

Stałam obok niego. Kilka krzeseł było przewróconych, a stół dopchnięty prawie do ściany. Szkło okrywające oprawiony plakat filmowy na ścianie było pęknięte.

- Broniła się - stwierdziłam.

Pokój przylegający do salonu był pusty i nic nie wskazywało na to, by doszło tu do walki. W głębi krótki korytarzyk prowadził do łazienki i dwóch pokoi, w których prawdopodobnie mieściły się sypialnie. Na obu ścianach wisały rzędy fotografii. Dwie z nich ktoś zrzucił na podłogę, rozbijając szkło. Wyciągnęłam broń i podeszłam do drzwi łazienki.

- Co to za odgłos? - zapytał Harrison.

- Lejąca się woda.

Nacisnęłam klamkę, szybkim ruchem otworzyłam drzwi i uniosłam broń. Z kranu w umywalce ciekła woda, drzwi do kabiny prysznicowej były zamknięte. Przez mleczne szkło zobaczyłam jakiś ciemny kształt. Podeszłam do umywalki, podczas gdy Harrison pozostał na korytarzu, pilnując drzwi do sypialni.

- Znalazłaś coś? - zapytał.

Woda w spływie umywalki zagulgotała cichutko, odgłos był niemal ludzki. Przyjrzałam się ciemnemu kształtowi za szybą.

- Chyba tak - odparłam, podchodząc do kabiny i otwierając drzwi. Na haczyku po drugiej stronie wisiał frotowy płaszcz kąpielowy.

Wyszłam z powrotem na korytarz i zbliżyliśmy się do drzwi sypialni.

- Ty otworzysz jedno, a ja drugie - zaproponował Harrison.

Pokiwałam głową. Stał przy pierwszych drzwiach, a ja podeszłam jeszcze dwa kroki do drzwi sypialni po przeciwnej stronie.

- Gotowa? - szepnął.

Otworzyliśmy drzwi i zajrzeliśmy do środka, z bronią gotową do strzału. Powietrze w pokoju wypełniał ostry zapach chlorowego wybielacza. Opuszczone żaluzje przepuszczały za mało światła. Nacisnęłam kontakt, ale światło się nie zapaliło. Ktoś musiał wyłączyć korki.

Weszłam do środka, wypatrując najdrobniejszych oznak ruchu w ciemności. Przy ścianie po lewej ode mnie stało chyba łóżko. Naprzeciwko niego była komoda. Postąpiwszy dwa kroki, zatrzymałam się, żeby oczy przyzwyczyły się do ciemności. Na podłodze leżała przewrócona butelka wybielacza. Na krześle pod oknem, na tle rozproszonego światła sączącego się przez szpary w żaluzjach, zobaczyłam ludzką postać. Uniosłam broń.

- Nie ruszać się. Policja - rzuciłam.

Postać ani drgnęła.

- Dana Courson? - zapytałam.

Znów żadnej reakcji. Jeszcze raz omiotłam wzrokiem pokój, aby upewnić się, że nie ma w nim nikogo innego, a następnie podeszłam do siedzącej postaci. Kiedy się zbliżyłam, spostrzegłam, że ręce ma przewieszane przez oparcie. Na nadgarstkach zauważyłam żółty sznurek.

- Dano - powiedziałam półgłosem, lecz odpowiedziała mi tylko cisza.

Przytknęłam palce do jej szyi. Skóra była lekko ciepła w dotyku, ale nie dlatego, że kobieta żyła. Wsunęłam glocka do kabury, a potem pode-

szłam do okna i uchyliłam żaluzje. Kiedy się odwróciłam, w drzwiach pojawił się Harrison.

- Sukinsyn - mruknął pod nosem.

Rozlany wybielacz maskował zapach śmierci, który, jak teraz zauważyłam, wypełniał pokój. Przez chwilę przyglądałam się zwłokom, próbując skupić uwagę na analizie szczegółów i nie patrząc ofierze w twarz, żeby zachować spokój. Jej dżinsy zostały opuszczone do kolan, zielona koszula była rozpięta i rozchylona.

- Wezwij LAPD... - powiedziałam, lecz spojrzałam w twarz ofiary i zmieniłam zdanie. -Nie, LAPD może jeszcze chwilę poczekać.

- Dlaczego?

- Bo to nie jest DanaCourson.

Miała ciemne włosy sięgające do ramion. Oceeniłam jej wzrost na metr sześćdziesiąt. Pośmiertny obrzęk zdeformował nieco rysy twarzy, ale nie miałam wątpliwości, że to nie jest kobieta, którą spotkałam w mieszkaniu brata.

Harrison podszedł do zwłok, rzucił na nie okiem, a potem szybko się odwrócił i wyrzwał przez okno. Chociaż od wstąpienia do wydziału zabójstw bardzo się starał, wciąż nie potrafił patrzeć obojętnie na martwe ciała. A kiedy ofiarą była kobieta, domyślałam się, że często widział w niej swoją zamordowaną żonę.

- Jesteś pewna, że to nie ona? - zapytał.

- Nigdy wcześniej nie widziałam tej kobiety - odparłam.

- To kto to jest?

Wzruszyłam ramionami.

- Nie wiem.

Rozejrzałam się szybko po pokoju. Na toalecie stało małe zdjęcie w ramce. Kobieta, która obejmowała ramieniem mojego przyrodniego brata, uśmiechała się radośnie do obiektywu. Była tą samą osobą, która teraz siedziała martwa na krześle.

- Wydaje mi się, że już widziałam to zdjęcie w mieszkaniu brata.

- Jesteś pewna?

Usiłowałam przypomnieć sobie, co wtedy widziałam, ale wspomnienia były niewyraźne. Tyle się ostatnio wydarzyło, że miałam wrażenie, jakbym oglądała film odtwarzany w przyspieszonym tempie.

- Tylko na nie zerknęłam. Przyjrzałam się bardziej bratu niż jej. Później zauważyłam zdjęcie ojca, które pamiętałam z dzieciństwa. A tuż potem Dana wyszła z sypialni i wymierzyła do mnie z pistoletu.

- Podniosłam zdjęcie i poparzyłam na twarz brata. - Zapamiętałam jego uśmiech. Jest taki sam jak na fotografii w jego mieszkaniu, ramka może być inna. Dana zabrała zdjęcie ze sobą, kiedy wychodziła.

- Ale kobieta, którą spotkałaś w mieszkaniu brata i która przedstawiła się jako Dana, nie jest kobietą ze zdjęcia.

- Nie. Miała krótsze włosy i co najmniej metr sześćdziesiąt pięć wzrostu.

Harrison zbliżył się do mnie i spojrzał na zdjęcie.

- Jesteś pewna?

- Owszem. Tego akurat tak.

Popatrzyłam na zwłoki na krześle.

- Kim ona jest? - zapytał Harrison.

- Czy na blacie w kuchni nie leżała torbka?

- Jej dokumenty.

Pobiegliśmy z powrotem do kuchni. Odkąd znaleźliśmy martwą ofiarę w sypialni, rozsypane po podłodze zakupy nabrały zupełnie nowego znaczenia. Wydarzenia dawały się odtworzyć ze straszliwą dokładnością.

- Zabójca musiał już być w środku i zaszedł ją od tyłu, kiedy odwróciła się, żeby pójść po drugą torbę do samochodu - powiedziałam.

- Możliwe, że pchnęła torbę w jego kierunku albo napastnik zrzucił zakupy z blatu, kiedy zaatakował. Potem zawłókł ją do salonu, a ona broniła się, rozbijając oprawę plakatu, przesuwając stół i przewracając krzesła.

Harrison wpatrywał się przez chwilę w zakupy na podłodze.

- Ale to nic nie dało - mruknął.

Torbka z czarnej skóry przypominała kształtem plecak. W środku było trochę cukierków miętowych, zamykane na suwak etui na tamponsy, szminka, lakier do paznokci, piesek z plastiku, trochę drobniaków, telefon komórkowy i zielony portfel obszyty na brzegach fioletową nicią.

Jej prawo jazdy znajdowało się w kieszonce z „okienkiem” z przezroczystego plastiku. Na zdjęciu uśmiechała się szeroko do obiektywu - ten sam uśmiech miała na zdjęciu z moim bratem. Spojrzałam na nazwisko i adres, a potem podałam dokument Harrisonowi.

- Dana Courson? - powiedział, przeczytawszy dane.

Pokiwałam głową.

- Kobieta, na którą się natknęłaś w mieszkaniu brata, nie była jego dziewczyną.

- Nie - przyznałam.
Harrison zastanawiał się przez chwilę, próbując ułożyć to sobie w głowie.

- Jeśli nie była jego dziewczyną, to kim?
- Nie mam pojęcia. Znała jego sytuację rodzinną, wiedziała, czym się zajmował... wiedziała wszystko, co powinna wiedzieć narzeczona. Wydaje mi się, że nawet fakt, iż miał siostrę, nie był dla niej zaskoczeniem - wyjaśniłam.

Patrzyliśmy na siebie w milczeniu.

- Co się tu, do cholery, dzieje? - wyszeptałam.

Analizowałam problem pod każdym kątem, usiłując znaleźć rozwiązanie. Mój wzrok zatrzymał się na zakupach rozrzuconych po podłodze. Było wśród nich kilka dużych pojemników lodów, owoce, warzywa, świece, którymi dekoruje się torty urodzinowe.

- Kto organizuje przyjęcie urodzinowe po otrzymaniu wiadomości o śmierci narzeczonego? - zapytałam.
- Nikt - zauważył Harrison.
- W takim razie nie wiedziała raczej o śmierci Johna. A mimo to zginęła, ponieważ zabójca sądził, że mój brat coś jej powiedział albo coś zobaczyła.

Cisza, która nas ogarnęła, miała złowróżbny nastrój koszmarnego snu.

- To dlaczego kobieta, którą spotkałam w jego mieszkaniu, przedstawiła się jako Dana Courson?

Harrison się zamyślił.

- Żebyś nie wiedziała, kim naprawdę jest - stwierdził.
- Dlatego wzięła ze sobą zdjęcie: żebyś nie mogła jej zidentyfikować.
- Wciąż jednak nie wiemy, skąd wiedziała to, co wiedziała - zauważył.
- Cokolwiek robiła w tamtym mieszkaniu, tkwi w tym po uszy - powiedziałam. - Bała się i to nie tylko dlatego, że ją zaskoczyłam.
- Myślisz, że to ona zadzwoniła do komendy, żebyśmy znaleźli ciało? - spytał Harrison.
- Ktoś to zrobił. Ktoś, kto zna nazwisko Powell.
- Nazwisko, które wymienił Lopez tuż przed śmiercią.
- Nazwisko, którym mógł się posłużyć mój ojciec.
- Ale dlaczego zadzwoniła do ciebie? Mogła zadzwonić na którykolwiek posterunek policji.

- Wtedy w mieszkaniu nie musiała mi mówić tego, co powiedziała, a jednak to zrobiła. Starła się nam pomóc, ale tak, żebyśmy nie wiedzieli, kim jest.

Harrison zastanawiał się nad tym przez chwilę, ale nie dało się tego w prosty sposób uporządkować. Wróciliśmy do sypialni, żeby jeszcze raz rzucić okiem na miejsce przestępstwa, zanim zawiadomimy LAPD. Wcześniej nie próbowałam ustalić przyczyny zgonu, więc zrobiłam to teraz. Paznokcie u rąk wyglądały na czyste. Jeśli podczas szamotaniny zadrapała napastnika i utkwily pod nimi fragmenty tkanki, lekarz sądowy z łatwością je znajdzie.

Chociaż spodnie i majtki miała ściągnięte do kolan, a koszulę rozpiętą, nie było widać żadnych oczywistych śladów kontaktu seksualnego.

- Jak myślisz, od ilu dni nie żyje? - spytał Harrison.

- Prawdopodobnie została zabita nie później niż dzień po moim bracie, przed przybyciem patrolu, który miał obserwować dom. Jeśli znajdziemy paragon z zakupów, powinniśmy ustalić moment zgonu z dokładnością do paru godzin - podesunęłam.

Przez szyję, w miejscu, gdzie zacisnął się sznurek, biegła cienka linia posiniałej skóry. Sądząc po wgłębieniu na gardle, podczas duszenia prawdopodobnie pękła tchawica. Dana Courson straciła przytomność zapewne w ciągu minuty od ataku. Zgon nastąpił trzy, cztery minuty później. A jeśli trafnie oceniliśmy to, co się stało, w ogóle nie wiedziała, dlaczego umiera.

- Kto zadzwonił, żeby nas tutaj ściągnąć? - zapytał Harrison.

- Ktoś, kto chciał, żebyśmy wiedzieli, że Dana Courson nie żyje.

- Ale dlaczego? Żeby nam pomóc czy żeby pochwalić się swoim wyczynem?

Rozłożyłam ręce, a Harrison wyjął swój telefon.

- Co chcesz powiedzieć LAPD?

Przypomniał mi się Lopez upadający na ziemię niczym szmaciana lalka. Nie zamierzałam dopuścić, żeby coś takiego się powtórzyło.

- Powiemy im, że została zamordowana młoda kobieta, która po winna wciąż żyć - odrzekłam.

Zostaliśmy na miejscu przestępstwa do przybycia funkcjonariuszy LAPD, a potem odjechaliśmy, udzieliwszy tylko mglistych wyjaśnień, żeby jak najbardziej utrudnić skojarzenie tego morderstwa ze śmiercią mojego brata. Łatwo mi było sobie wyobrazić, że w uporządkowanym świecie detektywów LAPD mój brat mógłby okazać się jakoś odpowiedzialny za śmierć Dany Courson - jego samobójstwo znalazłoby więc oczywiste wytłumaczenie. Nie mogłam ich powstrzymać od dojścia do takiej konkluzji, ale też nie zamierzałam im pomagać.

Jeśli Hazzard zdołał zasiać we mnie wątpliwości, czy mój ojciec żyje, czy nie, zabójstwo Dany Courson ostatecznie utwierdziło mnie w przekonaniu, że to nie brat pociągnął za spust pistoletu, który odebrał mu życie. Courson zginęła, ponieważ morderca wierzył, że stanowiła dla niego zagrożenie podobnie jak John. Fakt, że umarła, nie rozumiejąc dlaczego, czynił tragedię jeszcze trudniejszą do zniesienia.

Wieczorem zawiozłam Harrisona z powrotem do Santa Monica. Po raz pierwszy od dnia, w którym zabito mojego brata, wiatr Santa Ana przestał wiać, choć synoptycy przepowiadali, że „zjawisko”, jak to nazywali, powróci nazajutrz o świcie.

Harrison upichcił prostą kolację i spróbowaliśmy nadać jakiś sens temu, czego nie wiedzieliśmy. Patrzyłam, jak słońce zanurza się w oceanie. Cienka warstwa dymu z wciąż płonących pożarów nadawała horyzontowi barwę ognia.

- Musimy znaleźć kobietę, którą spotkałam w mieszkaniu Johna.

- Jutro - odparł Harrison. - Powiniennem zmienić ci bandaż.

Spojrzałam mu w oczy i pokręciłam głową.

- Muszę zobaczyć, czy mój dom wciąż stoi - powiedziałam, ledwo zdając sobie sprawę z własnych słów.

Chciałam spacerować się po pokojach, dotknąć swoich rzeczy i sprzętów. Chciałam znaleźć się w miejscu, które przynajmniej na razie dawałoby namiastkę trwałości. Chociaż wiedziałam, że to tylko złudzenie.

- I muszę to zrobić razem z córką.

- Nadal nie powinnaś być sama - zaproponował Harrison.

Ostatni fragment słońca zniknął za widnokresem.

- Jeśli się spalił, wrócimy tutaj albo zanojuję u Lacy w akademiku.

Harrison podszedł do mnie od tyłu i położył dłoń na bandażu owiniętym wokół moich żeber.

- Ale i tak powinienem sprawdzić opatrunek.

Wsunął rękę pod moją koszulę i delikatnie zbadał napięcie bandaża. Kiedy to robił, położył dłoń na moich plecach, a potem ją cofnął.

Kiedy wjechałam na campus UCLA, Lacy czekała już na rogu przy akademiku. Nie widziałam jej, odkąd rozpoczęła studia. Gdzieś w głębi oczekiwałam, że się zmieniła, ale gdy ją zobaczyłam, szybko zdałam sobie sprawę, że wydorosłała ponad wiek, jeszcze zanim trafiła na uczelnię.

- Domyślałam się, że nie mogłaś z tym zaczekać - powiedziała, kiedy odjeżdżałyśmy.

Pokręciłam głową.

- Naprawdę muszę zobaczyć, czy nadal tam jest, i muszę to zrobić z tobą.

- Powinnaś wrócić do akademika najpóźniej za parę godzin.

Kiwnęłam na znak, że tak będzie.

Lacy zaczęła coś mówić, ale urwała.

- Dlaczego musisz zobaczyć dom akurat teraz? Coś się stało, mam rację? Dlatego nie zadzwoniłaś do mnie wczoraj wieczorem. Przedwczoraj zresztą też.

Obiecałyśmy sobie, że po jej wyprowadzce co wieczór będziemy rozmawiać przez telefon. Mieszkała w akademiku zaledwie tydzień, a ja już dałam plamę.

- Uznałam, że codzienne telefony to lekka przesada - odparłam, łamiąc naszą drugą obietnicę: „koniec z kłamstwami”.

- Chodzi o coś więcej. Masz tę minę.

To tyle jeśli chodzi o wykręty.

- Jaką znowu minę?

Lacy spojrzała na mnie tak, jak rodzice patrzą zwykle na nastolatka, który próbuje wcisnąć im kit.

- Co się stało?

Musiałam jej powiedzieć.

- Wczoraj wieczorem doszło do nieszczęścia. Policjanci z LAPD zastrzelili podejrzanego, kiedy oddawał się w nasze ręce.

Wjechałam na Sunset i ruszyłam w kierunku drogi 405, zastanawiając się, ile jej powiedzieć. Gdzieś w głębi wciąż chciałam chronić ją

przed złem tego świata, choć doświadczyła go już więcej niż większość ludzi przez całe życie.

- Nic mi nie jest - zapewniłam. - Opowiedz mi o college'u.

Podczas jazdy opowiedziała o zajęciach, na które uczęszcza, o akademiku, o koleżance, z którą mieszka, o jedzeniu w stołówce i o facetach, którzy ją podrywali. Chciałam, żeby była jak inne dzieciaki na studiach. Ale wiedziałam, że to niemożliwe.

- Choćbym nie wiem jak się starała, mam poczucie, że i tak będę inna od pozostałych - powiedziała. - Nie wymyśliłam jeszcze, jak powiedzieć facetowi na pierwszej randce, że zostałam porwana przez szaleńca, który przywiązał mi bombę do szyi.

Nie szukała współczucia. Wiedziała, że ją zrozumie. To była dla niej po prostu rzeczywistość - nasza rzeczywistość. Obarczanie jej w tej chwili kolejnymi problemami wydało mi się niepotrzebne i szkodliwe. Wiadomości o tym, jakim człowiekiem jest mój ojciec, jeśli w ogóle żyje, mogły poczekać, przynajmniej dopóki sama nie będę pewna, co jest prawdą, a co fałszem.

Gdy dotarliśmy do Mariposy, okazało się, że w okolicy wciąż nie ma elektryczności. Kiedy przejeżdżałam obok domów sąsiadów, księżyc oświetlał przede wszystkim to, czego już nie było. Tu brakowało ścian, tam dachu, gdzie indziej zostały tylko popiół i kupa cegieł albo sterczące z dymiących zgliszczy nietknięte okno. Ani ja, ani Lacy nie odzywałyśmy się słowem.

Przejechałam przez łagodny zakręt i światło moich reflektorów omiotło zaułek uliczki. Z domu sąsiadującego z naszym od północy pozostał tylko komin i leżący na boku bojler. Budynek po przeciwnej stronie ulicy wciąż stał, ale brakowało mu południowej ściany, a odsłonięte belki konstrukcyjne dachu wyglądały jak kości śródreńca. Zaparkowałam na naszym podjeździe i wysiadłam z samochodu, nie gasząc świateł. Powietrze wypełniał gorzki aromat zwęglonego drzewka cytrynowego sąsiadów.

Lacy podeszła i wzięła mnie za rękę.

- Nie przypuszczałam, że będzie mi tak zależeć - powiedziała cicho.

Bluszcz, który porastał zbocze wzgórza, był wypalony do samych korzeni. Z trawnika został tylko popiół. Zatrzymałam się na ścieżce prowadzącej do domu i serce podeszło mi do gardła. Myślałam, że przygotowałam się na każdą ewentualność. Myliłam się. Ogień prześlizgnął się obok mojego domu, zupełnie go nie naruszywszy.

Wróciłam do samochodu, zgasiłam światła i wzięłam latarkę. Stałam przed frontowymi drzwiami z kluczem w ręku i wpatrywałam się w zamek prawie przez minutę, zanim wsunęłam go do dziurki.

Dlaczego ze wszystkich domów przy tej ulicy akurat nasz wciąż stał? Nie potrafiłam sobie nawet wyobrazić odpowiedzi. Na pewno nie dlatego, że tym, co się w nim wydarzyło przez lata, zasłużyliśmy na większą łaskę niż sąsiedzi. Sterta gruzu obok należała do małżeństwa z dwójką dzieci, które chodziły jeszcze do podstawówki. Matka była nauczycielką, a ojciec lekarzem pogotowia. Nie zdołało ich to ochronić. Lekarz mógł to zrozumieć. Widywał to każdego dnia podobnie jak ja. Dobrym ludziom działa się krzywda, a nawet umierali, podczas gdy źli mieli się świetnie. Dla jego żony mogło się to okazać trudniejsze. Jako nauczycielka będzie się odwoływać do pojęcia sprawiedliwości. I im dłużej będzie się zastanawiać, tym mniej będzie rozumieć.

- Nie wydaje się... - zaczęła mówić Lacy, ale urwała.

Otworzyłam drzwi i weszliśmy do przedsiionka. W pokoju unosiły się drobiny popiołu. Powietrze miało metaliczny posmak i zdawało się równie martwe, jak krajobraz przed domem. Wszystko było pokryte warstwą popielatego pyłu.

Weszłam do jadalni. Szyba, która pękła od gorąca, wyjaśniała obecność popiołu. Nylonowa siatka na oknie roztopiła się i jej resztki zwiisały z ramy niczym nitki makaronu. Już miałam przejść do kuchni, gdy stanęłam jak wryta.

Na blacie stołu zobaczyłam odcisk dłoni w popiele, tylko odcisk, nic więcej. Dłoń musiała być większa od mojej o parę numerów rękawiczki. Palce były długie i smukłe.

- O mój Boże - powiedziała Lacy.

Włączyłam latarkę i omiotłam pokój snopem światła. Na podłodze było pełno śladów stóp. W ciemności tego nie zauważyłam, ale ściany pokoju, meble, nawet sufit pokrywało graffiti. Metaliczny zapach, który wyczułam w powietrzu, pochodził od farby w sprayu. Nasz dom przetrwał pożar tylko po to, by paść ofiarą wandalii.

- Skurwysyny - rzuciła pod nosem Lacy.

Zgasiłam latarkę i miałam właśnie usiąść, gdy usłyszałam przytłumiony łoskot, który dobiegł z ciemnego korytarza, prowadzącego do sypialni. Sięgnęłam do kabury przy pasie, wyciągnęłam pistolet i ostrożnie przekradłam się przez salon w stronę korytarza.

- Idź do samochodu i zablokuj zamki w drzwiach - poleciłam.

Lacy spojrzała na mnie, jakby chciała zaprotestować, ale się powstrzymała.

- Jeśli usłyszysz coś niepokojącego albo nie będę wychodzić, zadzwoń po policję i poczekaj na radiowóz.

Skinęła głową i wybiegła na zewnątrz.

Z latarką w jednej ręce i pistoletem w drugiej odwróciłam się i poświeciłam na drzwi swojej sypialni. Korytarz wyglądał jak oddany na pastwę grafficiarzy wagon nowojorskiego metra.

Rozległ się ten sam stłumiony łoskot, który usłyszałam wcześniej. Dobiegał z mojej sypialni. Poświeciłam latarką na podłogę. Ślady pozostawione przez parę stóp znikwały pod drzwiami pokoju.

Świecąc latarką prosto na klamkę i obserwując, czy się nie porusza, przeszłam przez całą długość korytarza, mijając łazienkę i pokój Lacy. W mojej sypialni znów rozległ się łoskot, a potem coś załomotało, gdy zacisnęłam dłoń na klamce.

„Teraz - usłyszałam głos w głowie. - Ruszaj”.

Pchnęłam drzwi z całej siły. Uderzyły o ścianę z głośnym trzaskiem, gdy uniosłam latarkę i broń. Coś przeleciało w ciemności koło mnie, mijając na chwilę w świetle latarki. Wycelowałam glocka w tamtą stronę, zaciskając palec na spuście. Coś znowu przefrunęło obok i poczułam na twarzy pęd powietrza. A potem z łopotem skrzydeł uderzyło w okno.

W kręgu światła z latarki zobaczyłam małego oszłomionego ptaszka siedzącego na parapecie. Ściskając broń w dłoni, omiotłam wzrokiem pokój, a potem rozluźniłam uchwyt i opuściłam pistolet. Ślady butów w popiele prowadziły do okna, przez które próbował się wydostać ptaszek, a potem zawracały.

Wsunęłam glocka do kabury, zgasilałam latarkę i otworzyłam okno. Ptak nawet nie spróbował odlecieć. Wyciągnęłam rękę, delikatnie wzięłam go w dłonie i wystawiłam na dwór. Wróbel obrócił łepkę, orientując się w przestrzeni. Potem otrzepał skrzydła z popiołu i odfrunął w ciemność. Na trawie za domem dostrzegłam ledwo widoczne ślady stóp znikające za rogiem.

Zamknęłam okno i rozejrzałam się po sypialni. Ściany wyglądały tak samo jak w salonie i korytarzu. Smugi farby znaczyły łóżko, zagłówek, ściany, sufit. Pokój wydawał mi się równie nierozpoznawalny jak ruiny i zgliszcza domu sąsiadów. Oparłam się plecami o ścianę i podniosłam wzrok na sufit. Powinnam obejść dom, sporządzić spis strat, sprawdzić, czy wandalę czegoś nie ukradli, lecz wpatrywałam się tylko w kreski i pętle pomarańczowej, czerwonej i czarnej farby.

- Sukinsyny... - zaczęłam mówić, lecz urwałam. Spomiędzy smug farby wyzierało coś innego. Zdawało się ciągnąć przez cały sufit.

Podeszłam do kąta pokoju, gdzie znajdował się początek, i zapaliłam latarkę. Miałam wrażenie, jakbym patrzyła na rysunkową zagadkę: znajdź królika w twarzy wiedźmy.

- Litery - wymamrotałam pod nosem.

Wyglądały, jakby napisano je ołówkiem albo szarym flamastrem. Pierwszą literą było „T”, drugą „A”, każda miała około pół metra wysokości. Przebiegłam wzrokiem całą długość sufitu, odczytując całe zdanie.

„Tak jest w mojej głowie”.

To nie były znaki gangów ani robota nudzącego się nastolatka. Ale w takim razie co? Wpatrywałam się w napis przez moment, a potem spostrzegłam następne litery skryte pod farbą. Były o połowę mniejsze od poprzednich i rozsiane dosłownie wszędzie: po całym suficie i ścianach. Farba okrywała je niczym kamuflaż, literę po literze, setki słów. Prześledziłam linię tekstu, która biegła przez sufit, a potem w dół po ścianie, aż kończyła się nad zagłówkiem łóżka. Gdy przyjrzałam się jej bliżej, zdałam sobie sprawę, że nie wszystkie litery łączyły się w słowa. Większość układała się po prostu w esy-floresy, jakby narysowało je dziecko, które starało się naśladować charakter pisma rodzica. Ale nie było w tym nic z niewinnej zabawy, wyczuwałam raczej rodzaj rozgorączkowania, jak w automatycznym piśmie kogoś w religijnej ekstazie, mamrocącego w niezrozumiałych językach.

Poświeciłam latarką na środek sufitu i prześledziłam napis biegnący wzdłuż ściany. Tuż nad moim łóżkiem gryzmoły znowu zmieniały się w słowa. Zajął mi chwilę, zanim rozpoznałam kształty liter wśród zawijasów farby.

„Pomóż mi, pomóż, pomóż”.

Przyglądałam się tekstowi jeszcze przez chwilę, aż upewniłam się, że dobrze go odczytałam.

- Kim jesteś? - rzuciłam w ciemność.

Wijące się smugi farby zdawały się wirować i falować wokół mnie. Potem odcyfrowałam następne słowa, wypisane pośrodku sufitu.

- „Powstrzymaj ich” - wyszeptałam.

Przeszedł mnie zimny dreszcz. To były nie tylko poplątane linie farby i pisma, lecz przede wszystkim najbardziej wyrazisty obraz szaleństwa, jaki zdarzyło mi się oglądać. Moja sypialnia zmieniła się we wnętrze udręczonej psychiki. Zgasiałam latarkę i usiadłam na łóżku.

Czy to był świat mojego ojca? Czy właśnie te dwa głosy rozkazywały mu w głowie, gdy włókł młodą aktorkę po scenie? Pierwszy przepelniony strachem, a drugi, cichszy, błagający o wybaczenie. Czy patrzyłam na koszmarnie kłębowisko wizji, które przez osiemnaście lat skrywał przed światem, aż wreszcie nie mógł dłużej zapanować nad potworem rozkazującym mu zamordować własnego syna?

Czy też było to dzieło udręzonego umysłu Danny'ego Fishera? Rozpaczliwe wołanie o pomoc?

Rozejrzałam się dookoła w poszukiwaniu czegoś, co mogłam prze-gapić - jakiegoś znaku, który pozwoliłby jednoznacznie zidentyfikować autora. Zygzaki i kłębowisko linii szybko zmieniły się w tysiące krzy-czących głosów domagających się mojej uwagi, głosów, których nie mogłam uciszyć. Zamknęłam oczy, ale i to nie pomogło. Zobaczyłam ojca trzymającego matkę za gardło, jej stopy dyndające w powietrzu.

- Mamo.

Odwróciłam głowę. W drzwiach stała Lacy.

- Dobrze się czujesz?

Potwierdziłam, a Lacy podeszła i usiadła obok mnie.

- Myślę, że twój pokój jest nietknięty - powiedziałam.

Lacy rozejrzała się dookoła.

- Może już czas kupić nowy dom - zauważyła. - Tutaj zbyt wiele się wydarzyło.

Powiodłam wzrokiem po pokoju, który kiedyś był moją sypialnią, i nie mogłam powstrzymać się od myśli, że przypomina moją rodzinną przeszłość.

- Miałam przyrodniego brata, o którego istnieniu w ogóle nie wie-działam - oznajmiłam. - Został zamordowany cztery dni temu.

Lacy popatrzyła na mnie z niedowierzaniem.

- Nie rozumiem. Jak to możliwe?

- Mój ojciec... - zaczęłam wyjaśniać, ale zdałam sobie sprawę, że rozumiem z tej historii równie mało, jak z gryzmołów na ścianach sypialni. Wzięłam córkę za rękę i pokręciłam głową. - Mój ojciec jest tajemnicą - rzekłam.

Lacy spoglądała przez moment na sufit.

- To ma z tą sprawą coś wspólnego, prawda? To coś więcej niż przypadkowy akt wandalizmu.

Przytaknęłam.

- Myślę, że to zostaje z człowieka, który ma same tajemnice.

- Chodźmy stąd - powiedziała Lacy.
- Za sekundkę do ciebie dołączę.

Lacy trzymała mnie za rękę jeszcze przez chwilę, a potem wyszła. Rozejrzałam się po pokoju, starając się znaleźć jedno dobre wspomnienie, które mogłabym stąd zabrać, ale na próżno.

Ostatni raz rzuciłam okiem na pokój, a potem podążyłam za Lacy. Kiedy wychodziłam z domu, usłyszałam jej głos. Mówiła niemal szep-tem.

- Możesz mi powiedzieć, jak masz na imię? - zapytała.

W ciemności ledwo widziałam mężczyznę, który stał na ścieżce półtora metra od Lacy. Miał rozpostarte ramiona, jakby chciał ją złapać. Sięgnęłam do kabury i wyciągnęłam broń.

- Odsuń się od niej - rozkazałam.

Lacy popatrzyła na mnie i pokręciła przecząco głową.

- Odsuń się - powtórzyłam.

Postać podeszła do niej jeszcze o krok.

- Odsuń się od mojej córki - powiedziałam.

Mężczyzna zbliżył się jeszcze bardziej, stał teraz niecały metr od niej.

- Nie rób tego.

Wyciągnął ręce do Lacy.

- Mamo! - podniosła głos.
- Odsuń się od niej - powtórzyłam.

Mężczyzna pokręcił głową.

- Odsuń się natychmiast!

Jego ręce zawisły parę centymetrów od Lacy. Danny Fisher był bez koszuli. Dłonie, ramiona i klatkę piersiową miał umazane jaskrawopomarańczową i czarną farbą. Wyglądał jak widmo. Jego szeroko otwarte oczy miały dziki, spłoszony wyraz, jakiego nigdy wcześniej nie widziałam u człowieka. Jeśli przez ostatnie dni w ogóle spał, to najwyżej przez kilka godzin.

- Nie zrobi mi krzywdy - stwierdziła Lacy, odwracając się do niego.

Danny popatrzył na moją córkę, jakby to były pierwsze słowa, jakie usłyszał w swoim życiu. Potem spuścił wzrok na własne dłonie, jakby nie miał pojęcia, skąd wzięła się na nich farba.

- Nie zrobisz mojej córce krzywdy, Danny? - zapytałam.

Otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale nie wydał żadnego głosu.

- Nie, nie zrobi mi krzywdy - odrzekła cicho Lacy. Przyglądała mu się przez moment. - Chce nam coś powiedzieć, dlatego tu jest, prawda? Ma jakiś sekret.

Oczy Danny'ego zaszkliły się od łez i wyszeptał coś ledwo słyszalnym głosem, a potem powtórzył to samo głośniejsz.

- Powstrzymajcie to... powstrzymajcie. Niech to się skończy.

Opuściłam pistolet, a on powtarzał w kółko te same słowa.

- Powstrzymam to, Danny - zapewniłam.

Lacy wzięła go za rękę i umilkł.

- Obiecuj - wyszeptał.

- Obiecuję - przyrzekłam.

Spojrzał na rękę Lacy. Potem osunął się na kolana, objął się ramionami i zaczął drżeć, kiwając się w przód i w tył.

- Przyniosę mu koc - oznajmiła Lacy i pobiegła do domu.

Schowałam pistolet do kabury, podeszłam do Danny'ego i ukucnęłam przed nim. Miał błękitne oczy podobne do kamieni szlachetnych i blond włosy o tym samym jasnym odcieniu, który widziałam na zdjęciu u jego matki. Rozpoznawałam w jego twarzy jej rysy. W chwili śmierci Victoria była zaledwie kilka lat starsza niż on teraz.

- Powstrzymam to, Danny - powtórzyłam.

Sprawił wrażenie, jakby mnie nie usłyszał. Po chwili zaczął cichutko nucić piosenkę. W pierwszym momencie jej nie poznałam, ale gdy powtórzył tę samą melodię, zdałam sobie sprawę, że to dziecięca wyliczanka pochodząca z zamierzchłego średniowiecza, gdy w Europie szalała zaraza.

- Wszystko będzie dobrze - zapewniłam.

Zaczął kręcić głową, piosenka stawała się coraz głośniejsza.

- „Z prochu w proch, wszyscy padają”.

- Kto pada? Kto? - zapytałam łagodnie.

Przestał kręcić głową i odpowiedział:

- Wszyscy.

Położyłam rękę na jego kolanie.

- Dlaczego wszyscy padają?

Danny spojrzał mi w oczy.

- On żyje - wyszeptał.

- Kto? - spytałam.

Patrzył na mnie jeszcze przez chwilę, a potem utkwiał wzrok gdzieś w dali.

Babka Danny'ego spotkała się z nami w szpitalu, gdzie przyjęto go na obserwację. Kiedy wiozliśmy go na miejsce, nie odezwał się ani słowem. Czy kiedy powiedział, że „on żyje”, miał na myśli mojego ojca albo mordercę znad rzeki? Zadzwoiłam do Harrisona, zdałam mu sprawę z tego, co się stało, i powiedziałam, że resztę nocy spędzę z Lacy w akademiku.

W drodze na campus UCLA opowiedziałam córce wszystko, co wiedziałam o życiu przyrodniego brata. Była to jednak wiedza policjantki, a nie siostry: znałam jego wiek, zawód i przybliżony czas śmierci na betonowych brzegach tego, co mieszkańcy Los Angeles nazywają rzeką.

Jedynym szczegółem, zrozumiałym dla siostry, był fakt, że mieliśmy ojca, który zniknął z naszego życia i że przez to obojgu nam czegoś zabrakło. Możliwe, że przez ostatnie godziny albo zaledwie minuty życia Johnowi udało się odkryć tę tajemnicę. Świadomość, że wtedy o mnie pomyślał, zbliżała mnie do niego bardziej niż cokolwiek innego.

W rozmowie z córką przemilczałam szczegóły dochodzenia, które sugerowały, że jej dziadek był mordercą. Byłam gotowa powiedzieć tylko tyle, że miał ze sobą problemy. Przypuszczam, że i tak wielu rzeczy się domyśliła.

Dla Lacy, jedynaczki, nagłe odkrycie krewnego było jak przewrócenie kartki w książce tylko po to, by przekonać się, że następna strona jest pusta. Obietnica czegoś więcej spełniła się, by zaraz potem ulecieć. A wszystkie pytania, z jakimi człowiek w takiej sytuacji zostaje, nie zastąpią nigdy możliwości, które tak łatwo mogły się ziścić.

Współlokatorka Lacy przenocowała u koleżanki, a ja spędziłam noc w ciasnym pokoiku akademika, leżąc zaledwie parę metrów od córki. Przez krótką chwilę miałam wrażenie, jakby znowu była małym dzieckiem, a problemy świata za ścianami nie mogły nas dosięgnąć. Ale to poczucie nie trwało długo - po prostu nie mogło. Tuż przed zaśnięciem Lacy powiedziała coś, co dręczyło mnie od chwili, gdy ujrzałam twarz brata w kostnicy.

- Ciekawe, jak bardzo był do ciebie podobny - powiedziała cicho.
- Z wyglądu przypominał twojego dziadka - odparłam, choć wiedziałam, że nie o to tak naprawdę pytała.

- Był detektywem. Ty jesteś policjantką. Wasze drogi musiały się w końcu skrzyżować - zauważyła.

Wpatrywałam się w mrok ze świadomością, że ma rację, przynajmniej częściowo. Lecz jednocześnie nie rozumiała czegoś, o czym ja wiedziałam doskonale: moment, do którego to wszystko rzeczywiście prowadziło, jeszcze nie nadszedł.

Sen, w który na moment zapadłam, przypominał mi noce, jakie spędziłam na łodzi, gdy fale oceanu to kołysały mnie, to wyrwały z drzemki, a potem czułam się jeszcze bardziej zmęczona niż przed położeniem się spać. Parę minut przed szóstą wstałam z łóżka i pocałowałam Lacy w czoło na pożegnanie.

Na dworze było już ciepło. Przepowiadany przez synoptyków wiatr Santa Ana nie dotarł jeszcze blisko wybrzeża, ale patrząc na góry widoczne w oddali w krystalicznie czystym powietrzu, wiedziałam, że poranek tak piękny, jak większość rzeczy w południowej Kalifornii, jest tylko złudzeniem i nie potrwa długo.

Kiedy szłam do samochodu, rozglądałam się po okolicy, upewniając się, czy nikt nie śledził mnie i Lacy w drodze na campus. Ścieżkami spacerowało kilku studentów. Strażnik z agencji ochroniarskiej patrolował teren na trójkołowym skuterze, ale nie działało się nic niepokojącego.

Jazda z powrotem do Pasadeny zajęła mi około czterdziestu pięciu minut, ruch uliczny nie zgęstniał jeszcze na tyle, by utworzyły się korki, które miały się stać utrapieniem kierowców przejeżdżających tędy godzinę później. W kawiarni Starbucks przy Colorado kupiłam sobie kawę i obwarzanka, a potem przejechałam przez plac do komendy.

Kiedy zatrzymałam się na parking, odbywała się właśnie zmiana patrolów. Świeżo upieczeni funkcjonariusze i starzy wyjadacze, którzy lubili emocje nocnej służby, ruszali właśnie do domów. Ci, którzy mieli rodziny i świadomość własnej śmiertelności, rozpoczynali nowy dzień służby.

Weszłam po schodach do sali odpraw na drugim piętrze i skierowałam się do swojego gabinetu, lecz zatrzymałam się, gdy mijałam pokój konferencyjny. W środku siedział samotnie Harrison, wpatrując się w ścianę, gdzie rozwiesiliśmy mapę świata Danny'ego. Przystąpiłam próg, lecz Harrison nie odwrócił się, tylko nadal patrzył w skupieniu na mapę przed sobą.

- Jak długo tu siedzisz?

Drgnął zaskoczony, odwrócił się i spojrzał na mnie. Wyglądał, jakby w ogóle nie spał.

- Większość nocy.

Poczułam niespodziewane wypieki. Miałam wrażenie, jakby serce podskoczyło mi w piersi. Zamknęłam drzwi i podeszłam do niego, podczas gdy on powoli podniósł się z krzesła. Nasze ciała przytuliły się do siebie, zanim zdążyłam zdać sobie z tego sprawę. Zamknęłam oczy i objęłam go mocno.

- Tak mi przykro - powiedział Harrison.

- To tylko dom - odparłam.

Harrison pokręcił głową.

- Gdyby to były tylko ściany, podłoga i dach, byłoby ci znacznie łatwiej.

Popatrzył mi w oczy. Jasnowłosy surfer, który po straszliwej zbrodni znalazł ukojenie w rozbijaniu bomb, zniknął. W jego oczach rozpoznałam coś, czego od lat nie widziałam w swoich, gdy spoglądałam w lustro. Jeśli uczepiwszy się wspomnienia zamordowanej żony, zachował jakiś rodzaj nadziei, to jej wymiana na fatalizm powszechny w wydziale zabójstw zupełnie się nie opłacała.

- Powinłam była spędzić noc z tobą - powiedziałam.

Wziął mnie za rękę.

- A ja powinienem zaciągnąć cię do swojego łóżka... Czas, tego nauczyłem się przy rozbijaniu bomb, jest najważniejszy.

Odwrócił się i spojrzał na mapę Danny'ego.

- Odkryłeś coś? - spytałam.

- Może.

Podeszedł do ściany, gdzie przypięte do tablicy zdjęcia fragmentów mapy układały się w całość.

- Jeżeli, jak powiedział ci wczoraj Danny, „on żyje”, to wydaje się logiczne, że umieścił tę informację także tutaj.

Przyglądałam się mapie przez chwilę.

- „Logika” to wielkie słowo w odniesieniu do młodego człowieka, którego widziałam wczoraj wieczorem.

- Przypomniało mi się, że w różnych miejscach na okręgach znajdowały się cyfry.

Podeszłam bliżej, a on wskazał mi je palcem. W tym, jak orbity świata Danny'ego zataczały coraz większe kręgi, nie było widać porządku czy logiki. Harrison odkrył, że cyfry zostały wypisane w kilku

podobnych do planet obiektach, które były połączone kreskami z „centrum galaktyki”. Były to piątka, ósemka, szóstka i trójka.

- Te cyfry mogą oznaczać cokolwiek, mogą symbolizować coś, co istnieje tylko w jego głowie - powiedziałam.

- Ale mogą też oznaczać coś bardzo konkretnego, coś, co mamy pod samym nosem - odrzekł Harrison.

Wpatrywałam się w mapę jeszcze przez chwilę, powtarzając sobie po cichu ciąg cyfr.

- Pięć tysięcy osiemset sześćdziesiąt trzy - powiedziałam.

- Jak ci to brzmi? - zapytał Harrison.

- Jak adres.

- Tak właśnie pomyślałem.

- Ale bez nazwy ulicy jest bezużyteczny - odparłam. - Zresztą może chodzić o numer 8536. Skąd wiesz, że porządek nie został zmieniony?

- Nie wiedziałem tego, więc wypróbowałem wszystkie możliwe konfiguracje. A potem zacząłem dopasowywać je po kolei do każdego słowa na mapie. Niektóre pary łatwo było wyeliminować, na przykład nazwiska: Manning, Hazzard, Delillo. O trzeciej w nocy udało mi się zawęzić poszukiwania tylko do słów, które zdawały się nie pełnić w schemacie żadnych oczywistych funkcji.

Zauważyłam na stole otwarty plan miasta.

- Znalazłeś go.

Pokiwał twierdząco głową.

- Nie do wiary.

Skinął na plan miasta.

- Spójrz na otwartą stronę.

Pochyliłam się nad planem.

- To mapa zachodniego Hollywood - wyjaśnił Harrison.

- W zachodnim Hollywood mieszka mnóstwo aktorów - zauważyłam.

Potwierdził skinieniem głowy.

- Gdzie mam konkretnie szukać?

- D7.

Odnalazłam na planie podane współrzędne i zaczęłam wodzić palcem po labiryncie ulic, aż natrafiłam na tę, którą chciał mi pokazać. Przez moment wpatrywałam się w nią z niedowierzaniem, a potem spojrzałam znowu na rysunek Danny'ego.

- Kiedy pierwszy raz to zobaczyłem, pomyślałem, że Danny porównywał po prostu swoją misję do eposu Homera, ale okazało się, że byłem w błędzie. To nazwa ulicy - powiedział Harrison.

Ulica „Iliady” 5863.

25

Kiedy w Silver Lake wjechaliśmy na Sunset i ruszyliśmy na zachód, Hollywood budziło się dopiero ze snu. Ludzkie wraki nie zostały jeszcze uprzątnięte po minionej nocy. W bramie bezdomny mężczyzna leżał pod żółtym kocem wydanym przez straż pożarną, jego bosa, szerniała od brudu stopy wзираły spod spodu. W pobliżu drogi numer 101 grupka czterech nastolatków, którzy puciekali z domów, opuściła nocną kryjówkę pod mostem w poszukiwaniu drobniaków i śniadania ze śmietnika.

W innej epoce dokładnie w tej okolicy Mary Pickford wybudowała studio filmowe. Tam, gdzie D.W. Griffith nakręcił arcydzieło *Narodziny narodu*, cztery prostytutki z kajdankami na rękach siedziały na krawężniku. Jedna z nich, która wyglądała na nie więcej niż szesnaście lat, miała podbite oko i obtarte do krwi kolano pod rozerwaną czerwoną pończochą.

Dom, którego adres znaleźliśmy na mapie Danny'ego, stał dwie przecznice od Sunset, na skraju Beverly Hills. Zachodnie Hollywood było osobnym miastem o powierzchni dziesięciu kilometrów kwadratowych, gdzie rozciągała się jurysdykcja szeryfa, a jego funkcjonariusze zgryźliwie nazywali je Miasteczkiem Chłoptasiów. Odbywająca się tu co roku parada z okazji Halloween mogła zawstydzic nawet Nowy Orlean.

Zjechałam z Sunset, stoczyłam się po stromym zboczu, mijając dwie przecznice, a potem skręciłam w lewo. Zatrzymałam się mniej więcej pośrodku ulicy, naprzeciwko domu pod numerem 5863.

- Apartamenty „Iliada” - przeczytał Harrison.

Nazwa była wypisana ozdobnymi srebrnymi literami nad szklanymi drzwiami. Po bokach od wejścia rosły wysokie na pięć metrów strelacje. Przez szklane drzwi widać było dziedziniec, gdzie jak się domyślałam,

znajdował się basen. Budynek miał cztery piętra i wyglądał na postawiony w późnych latach siedemdziesiątych.

- Przypuszczam, że inwestor uznał, że nazwa przyciągnie gejojską klientelę - zauważył Harrison.

Pokiwałam głową.

- Ale ten element raczej nie łapie się w obręb spiskowej teorii Danny'ego.

Minął nas mężczyzna z małym czarnym pieskiem na smyczy. Rzucone nam z ukosa spojrzenie nie pozostawiało wątpliwości, że rozpoznał w nas gliniarzy - był to rozpowszechniony wśród mieszkańców zwyczaj zrodzony z niezbyt przyjaznych wieloletnich stosunków z departamentem szeryfa.

- Victoria Fisher mieszkała w Valley, pracowała w centrum, a zginęła nad rzeką. Może w ogóle chodzi o coś innego, może to nic nie znaczy - powiedział Harrison.

- To dlaczego to miejsce znalazło się na mapie?

Przyjrzałam się fasadzie budynku, próbując znaleźć jakiś rzeczywisty związek ze światem, który Danny wyrysował na swojej ścianie, ale na próżno.

- Czy chodzi o coś z przeszłości, czy z teraźniejszości? Czy jest w ogóle jakaś różnica? Czy znajdziemy w środku mojego ojca?

- Danny powiedział „on żyje”, ale nie sprecyzował, o kogo chodzi.

Pokiwałam głową.

- Ale powiedział to w moim domu, po wymalowaniu na ścianach prośby o pomoc. Czemu miałby się zjawiać akurat u mnie, jeśli nie miało to związku z moim ojcem?

- Może lekarze zdołają wyciągnąć od niego jakąś odpowiedź.

- Kiedy rano zadzwoniłam do jego babki, Danny wciąż nie odezwał się słowem. Rozmawiał z psychiatrami i przechodził rozmaite terapie od piętnastego roku życia. Dlaczego teraz miałby się nagle przed nimi otworzyć? Wątpię, żeby postrzegał lekarzy jako sprzymierzeńców.

- Przyglądałam się budynkowi jeszcze przez chwilę. - Chcę się dowiedzieć o tym domu wszystkiego, co można: kto był właścicielem, kto zarządzał budynkiem i kto w nim mieszkał w czasie, gdy zamordowano Victorię - powiedziałam.

Wysiedliśmy z volva, przeszliśmy przez ulicę i wkroczyliśmy do holu. Windy były po prawej stronie, za zamkniętymi na elektryczny

zamek szklanymi drzwiami, które musiałyby nam otworzyć ktoś z wewnątrz. Skrzynki pocztowe i domofon znajdowały się po lewej. W holu, obok wind, stała gipsowa replika greckiego torsu. W powietrzu unosił się ledwo wyczuwalny zapach chloru z basenu na dziedzińcu.

- Myślę, że powinnaś to zobaczyć - powiedział Harrison.

Stał przy interkomie i czytał nazwiska mieszkańców obok numerów lokali.

- Mieszkanie trzysta sześć.

Spojrzałam na nazwisko lokatora.

- Powell.

Nazwisko, które Lopez podał mi tuż przed śmiercią, i postać grana przez mojego ojca w filmie.

- Czy Danny umieścił gdzieś na swojej mapie nazwisko Powell?

- Nie przypominam sobie, że bym je widział, ale to nie znaczy, że go tam nie ma - odparł Harrison.

Otworzyła się jedna z wind i wysiadł z niej mężczyzna. Miał pod czterdziestkę, był ubrany w elegancki ciemny garnitur i rozmawiał przez komórkę. Kiedy otworzył szklane drzwi, poprosiłam, żeby je przytrzymał, a on łypnął na nas podejrzliwie.

Odchyliłam połą marynarki i pokazałam odznakę.

- Departament Policji w Pasadenie.

Miałam wrażenie, że gdy dowiedział się, że nie jesteśmy z urzędu szeryfa, spojrzał na nas z większą sympatią.

- Zna pan lokatora o nazwisku Powell? - zapytałam.

Pokręcił głową i rzucił do telefonu kilka słów, jednym z nich był „scenariusz”. Podejrzewałam, że jest agentem artystycznym. Weszliśmy do holu i pojechaliśmy windą na trzecie piętro. Mieszkanie znajdowało się za rogiem, na końcu pomalowanego na jasnoróżowy kolor korytarza oświetlonego kinkietami w kształcie greckich kolumn. Ciemnobordowy dywan pachniał świeżością po niedawnym czyszczeniu.

Skreśliśmy za róg i stanęliśmy przed drzwiami mieszkania. Już wyciągałam rękę, żeby nacisnąć dzwonek, kiedy znieruchomiałam. Warstwa farby przy zamku została zdarta, a drewno było wklęsnięte.

- Ktoś próbował sforsować zamek.

Harrison wyciągnął z kabury swoją dziewięćmilimetrówkę, przykucnął i przyjrzał się dywanowi.

- Te dywany były czyszczone najpóźniej parę dni temu. Włamanie nastąpiło wcześniej. Odpryski farby zostały uprzątnięte - oznajmił.

Z bronią przy nodze zajął pozycję przy drzwiach. Nacisnęłam dzwonek i zaczęłam nasłuchiwać odgłosu kroków po drugiej stronie. Cisza. Zadzwoiłam jeszcze raz, efekt był ten sam. Położyłam rękę na klamce, a ona ustąpiła. Ktokolwiek się tu włamał, nie zadał sobie trudu, żeby po wyjściu zamknąć drzwi.

- Chcesz poczekać na nakaz sądowy? - spytał Harrison.

Zaprzeczyłam.

- I tak nie wiedziałabym, co powiedzieć sędziemu - odparłam.

Wejście bez nakazu mogło oznaczać, że wszelkie dowody znalezione w środku zostaną odrzucone przez sąd. Chyba że wtargnięcie było umotywowane troską o bezpieczeństwo mieszkańców.

- Zniszczony zamek daje nam dostateczną podstawę - orzekłam.

Wyciągnęłam glocka z kabury, pchnęłam klamkę, a potem pozwoliłam, żeby drzwi się otworzyły.

- Policja.

Zachowaliśmy swoje pozycje, czekając na odpowiedź, ale żadna nie padła. Weszłam pierwsza, z Harrisonem tuż za plecami, i z uniesioną bronią rozejrzałam się po mieszkaniu. Przez werwickale, które zasłaniały okno w głębi, sączyło się słabe światło. Salon wyglądał na pusty. Po lewej stronie znajdowała się mała kuchnia i przestrzeń jadalna. Korytarz po prawej prowadził zapewne do łazienki i sypialni.

Sięgnęłam do kontaktu i zapaliłam światło. Mieszkanie zostało splądrowane. Wszystkie meble były poprzewracane albo wybebeszone. Harrison ruszył korytarzem, a ja za nim. Włączył światło i gdy ja czekałam, sprawdził łazienkę oraz sypialnię. Wrócił do salonu i wsunął pistolet do kabury.

- W obu jest to samo co tutaj. Schowałam glocka i rozejrzałam się dookoła.

- To nie była zwykła kradzież z włamaniem. Popatrz na meble - powiedziałam.

Tapicerka kanapy została pocięta na strzępy. Krzesła były połamane, lustro na ścianie rozbite. Weszłam do kuchni. Drzwiczki wszystkich szafeczek były pootwierane. Wszystkie szklanki, talerze, miski - wszystkie naczynia - zostały potłuczone. Wyjęłam długopis i użyłam go do otworzenia jednej z szuflad. Każdy ze sztućców został zgięty na pół. Aluminiowy rondel na kuchence był pęknięty. Wnętrze lodówki wyglądało tak, jakby ktoś porozwalał wszystko kijem bejsbolowym. Nawet rolka papierowych ręczników pod zlewem została podarta.

- Na co ci to wygląda? - spytałam.
Harrison zastanawiał się przez chwilę, patrząc na bałagan.

- Na szaleństwo.
Skinęłam głową.

- Ale czyje?

Przemierzyłam korytarz i zatrzymałam się w drzwiach do łazienki. Na wieszaku wisiały strzępy dwóch ręczników. Pojemnik z pianką do golenia został roztraskany o podłogę, wyschnięta pianka przylepiła się do boku wanny. Tubka pasty do zębów została rozcięta, a jej zawartość wyciśnięta do umywalki. Obok niej leżała szczoteczka z obciętym włosiem, z którego ktoś usypał przy kranie osobny stosik. Lustro szafeczki nad umywalką było poznaczone pajęczyną rozchodzących się od środka pęknięć od uderzenia.

Otworzyłam ją w nadziei, że znajdę jakieś lekarstwo z nazwiskiem lokatora na pojemniku. Słoik z aspiryną został napełniony wodą, która zmieniła zawartość w zaschniętą pienistą białą masę. Pudełko antyhistaminy zmiądzono. Nie było tam jednak żadnego leku na receptę, wszystko wydawało się anonimowe.

Podeszłam do wanny i kabiny prysznicowej. Ktoś umazał ścianki szamponem, sama butelka została rozcięta na pół. Na dnie wanny leżały strużyny po kostce mydła, zmieszane z popiołem i petami z popielniczki.

- Zniszczył nawet papier toaletowy - zauważył Harrison, który stał w drzwiach.

Schyliłam się i podniosłam z podłogi nożyczki do paznokci. Ostrza zostały powyginane tak, żeby nie dały się zacisnąć.

- To mi coś przypomina - powiedziałam. - Odwróciłam się do Harrisona. - Ta metodyczna dokładność. Nie oszczędził niczego oprócz lamp.

- Potrzebował ich, żeby się upewnić, czy niczego nie przegapił - zauważył Harrison.

- Przypomina mi wnętrze mojego domu: każdy cal został pomalowany albo pokryty pismem. Tylko że tutaj dała o sobie znać nienawiść.

- Albo Danny nie potrafił nad nią zapanować.

Patrzyliśmy na siebie przez chwilę.

- Więc kto tu mieszka? - zapytał Harrison.

Ruszyliśmy do sypialni i stanęliśmy w drzwiach. Żaluzje były zaciągnięte jak w pozostałej części mieszkania. Pościel i koc pocięto na pasy. Z wybebeszonego materaca sterczały sprężyny i wyściółka.

- Prawdopodobnie zrobił to w ciągu dnia. W sąsiednich mieszkaniach było mniej ludzi, którzy mogliby coś usłyszeć - zauważył Harrison.

Po podłodze poniewierały się podarte ubrania, pety i strzępy gazet. Harrison uklęknął i przyjrzał się gazetom.

- Wszystkie są sprzed prawie dwóch tygodni, więc zostały kupione ponad tydzień przed śmiercią twojego brata - oświadczył.

Podeszłam do komody naprzeciwko łóżka i odsunęłam szufladę. W środku znalazłam strzępy skarpet, koszulek i bielizny. Zawartość pozostałych szuflad wyglądała tak samo.

- Myślę, że powinnaś to zobaczyć - odezwał się Harrison. - Kłęcz przy nocnej szafeczce po drugiej stronie łóżka, i trzymał w ręce dwa małe oprawione zdjęcia. - Ktokolwiek to zrobił, musiał je przeoczyć. Wpadły za łóżko.

Podeszłam bliżej i przyjrzałam się fotografiom. Pierwsza przedstawiała ciemnowłosą dziewczynkę w sukience z niebieskim wzorkiem i półbutach. Patrzyła gdzieś na lewo od osoby trzymającej aparat i miała obojętny, jakby nieobecny wyraz twarzy. Na drugim zdjęciu znajdował się chłopiec z szerokim uśmiechem na buzi, trzymający rękawicę bejsbolową. Patrzyłam na fotografie z rosnącym przerażeniem. Czułam, że przestają panować nad oddechem.

- O Boże - wyszeptałam. - Danny miał rację.

- Twój ojciec? - spytał Harrison.

Próbowałam zaczerpnąć tchu, ale nie mogłam. Harrison wziął mnie za rękę i posadził na łóżku.

- Skąd wiesz? - zapytał.

Jeszcze przez chwilę wpatrywałam się w fotografię.

- Bo jestem tą dziewczynką na zdjęciu - odparłam. - Aż do tej pory łudziłam się, że ojciec jednak nie żyje, że cały ten koszmar ma inne zakończenie. - On żyje - powiedziałam.

- To jeszcze nie znaczy, że jest winny - zauważył Harrison.

Spojrzałam ponownie na swoje zdjęcie, a potem zamknęłam oczy.

- Nie pamiętam tego zdjęcia, ale pamiętam dzień, w którym zostało zrobione - oznajmiłam. - Dopóki go nie zobaczyłam, nie zdawałam sobie z tego sprawy, ale teraz pamiętam. - Ostrożnie, jakbym stąpała po cienkiej tafli lodu, comęłam się myślami w przeszłość. - Miałam cztery lata, może pięć. Ktoś z sąsiedztwa zorganizował piknik. Bawiłam się z innymi dziećmi i podbiegłam do naszego samochodu. Rodzice

siedzieli w środku. Postanowiłam podkraść się do nich od tyłu i ich zaskoczyć. Ojciec trzymał matkę za nadgarstek i wykręcał go, jakby otwierał wieczko ze słoika. Mama kiwnęła głową, a on ścisnął coraz mocniej, aż wreszcie kiwnęła potakująco, zgadzając się na to, co do niej szeptał.

Odetchnęłam głęboko, próbując zatamować falę zalewających mnie wspomnień, ale te wciąż napływały. Przypomniały mi się zapach pieczonego na grillu kurczaka, odgłos kija uderzającego w piniatę i szelest wysypujących się cukierków. Żółta sukienka, którą miała na sobie matka. Jak przez resztę pikniku trzymała za plecami rękę, którą wykręcił jej ojciec, żeby nikt nie zauważył zaczerwienienia.

- Zdjęcie musiał zrobić ktoś inny niż moi rodzice - powiedziałam.

- Pamiętasz, na co patrzyłaś? - spytał Harrison.

Spuściłam wzrok na fotografię, a potem kiwnęłam głową. Pokój zaczął się kurczyć wokół mnie, zupełnie jakbym siedziała w samochodzie na miejscu matki, a ojciec wykręcał mi nadgarstek. Wyszłam do salonu i otworzyłam szklane, rozsuwane drzwi na balkon. Suche gorące powietrze nie przynosiło ulgi. Poczułam się, jakbym wsiadła do zatłoczonej windy i nie było czym oddychać.

Harrison stanął obok mnie na balkonie. Na dziedzińcu w dole latynoski mężczyzna powolnymi ruchami wyląwiał z basenu liście. Coś na dnie głębokiej części basenu zalśniło w ciemnej wodzie.

- Właściciel mieszkania na pewno będzie miał jego dane w umowie najmu - powiedziałam.

- Zajmę się tym - zapewnił Harrison.

- Weźmiemy te zdjęcia, może uda się zdjąć odciski palców.

Harrison pokiwał głową.

Odwrociłam się i spojrzałam w głąb mieszkania.

- Gdyby ktoś uważał, że można zabić konkretne miejsce, jakby było żywą istotą, i chciał przy tym zadać jak najwięcej bólu, to takie miejsce wyglądałoby tak jak to mieszkanie - zauważyłam.

- Myślisz, że Danny zjawił się tu po to, żeby zabić twojego ojca?

- Albo nie mógł się na to zdobyć, albo też go nie zastał i zrujnował mu w zamian mieszkanie - odparłam.

Harrison rozglądał się przez chwilę po pokoju.

- A jeśli to był ktoś inny? - zasugerował.

Byłam tak bardzo zaaferowana faktem, że ojciec zajmował to mieszkanie, że nie wzięłam pod uwagę żadnych innych możliwości. Zastanawiałam się nad tym przez chwilę.

- Ta sama osoba, która zabiła mojego brata? - Pokręciłam głową.
- To robota Danny'ego. Wczoraj wieczorem dał mi to - na swój sposób
- do zrozumienia.

Błądziłam wzrokiem po pokoju, usiłując znaleźć coś, co wiązałoby się z ojcem, lecz zdałam sobie sprawę, że nie ma tu niczego oprócz bałaganu, który po sobie pozostawił, tak jak zawsze.

- W głębi ducha chciałam, żeby Hazzard miał rację - powiedziałam.
- Gdyby mój ojciec nie żył, wiedziałabym, że nie zabił własnego syna.
- Nie wiesz... - zaczął Harrison, ale urwał, nie dokończywszy zdania. - Na co patrzyłaś na tamtym zdjęciu? - zapytał.

Już miałam powiedzieć, że nie pamiętam, ale nie potrafiłam powstrzymać cisnących się wspomnień. Serce zabiło mi gwałtownie i poczułam się, jakbym znów miała na sobie niebieską sukienkę i półbuty. Dzień był gorący, jak dzisiaj. W parku, gdzie odbywał się piknik, rosły eukaliptusy. Przypomniało mi się, że zastałam matkę siedzącą samotnie w samochodzie dwadzieścia minut po tym, jak ojciec wykręcił jej rękę. W aucie wciąż unosił się zapach jego wody kolońskiej, gdy patrzyła apatycznie przez okno, z makijażem rozmazanym od łez.

- Szukałam sposobu, żeby stać się kimś innym - powiedziałam.

26

Żaden z sąsiadów, których zastaliśmy w domu, nie wiedział zbyt wiele o lokatorze spod trzystaszóstki. Kobieta, która mieszkała o dwoje drzwi dalej, opisała go jako mężczyznę w średnim wieku, średniego wzrostu, o zwyczajnym wyglądzie. Lokator spod trzystadziewiątki myślał, że mieszka tam młoda dziewczyna, ale nie był pewien. Reszta sąsiadów nie potrafiła dodać do rysopisu niczego, co mogłoby nam w jakikolwiek sposób pomóc. Nikt nie widział też ani nie słyszał niczego, co pozwoliłoby nam ustalić dzień, kiedy doszło do zrujnowania mieszkania.

Było już dobrze po południu, kiedy zaparkowaliśmy przy bulwarze Santa Monica 7928 u zbiegu z Fairfax. Biuro Abraham's Property Management, administratora Apartamentów „Iliada”, mieściło się na drugim piętrze budynku w stylu hiszpańskim z lat trzydziestych. Biały tynk dawno zdążył zszarzeć ze starości. Dekoracyjne niegdyś wejście

z kamienia i płytek ceramicznych było teraz prawie czarne od spalin, które osiadały na nim od siedemdziesięciu lat. Terakotowe dachówki wyglądały tak, jakby wystarczył wstrząs trzech stopni w skali Richtera, żeby wszystkie poleciały na ulicę.

Na parterze mieścił się sklep z antycznymi meblami. Jako że wiek był w Los Angeles pojęciem względnym, za witryną prezentowano czerwony stolik do kawy w kształcie ziarna fasoli, kociołek do fondue, szklanki do martini i koktajlowe serwetki Dean Martin.

Harrison zadzwonił domofonem, ciężka brama z kutego żelaza otworzyła się z bzykiem i ruszyliśmy po skrzypiących drewnianych schodach na górę. Na drugim piętrze znajdował się gabinet chińskiej medycyny naturalnej, z którego wydobywała się dziwna mieszanka zapachów, oraz biuro podróży, które, jeśli sądzić po reklamach porozklejanych na szybie drzwi, nie zabukowało ani jednej wycieczki, odkąd w samolotach zaczęto stosować silniki odrzutowe zamiast śmigieł.

W siedzibie Abraham's drewniany kontuar z wahadłowymi drzwiczkami oddzielał poczekalnię od biurka recepcjonistki i trzech gabinetów. Na ścianach wisały zdjęcia rozmaitych budynków mieszkalnych i duża mapa Los Angeles z czerwonymi gwiazdkami oznaczającymi lokalizację domów wynajmowanych przez firmę. Kobieta, która miała prawdopodobnie po sześćdziesiątce, ale mocno starała się wyglądać na pięćdziesiąt, wstała zza biurka i podeszła do kontuaru. Jej farbowane na rudo włosy sprawiały, że dziwnie przypominała Lucille Bali. Była ubrana w jaskrawozieloną sukienkę i nosiła na szyi okulary ze złotym łańcuszkiem. Podejrzałam, że kiedyś próbowała zostać aktorką, ale udało jej się tylko załapać na statystkę. Na tabliczce stojącej na biurku widniało nazwisko: „Panna Waters”.

Kobieta przyglądała nam się przez chwilę.

- Państwo chyba z policji - powiedziała donośnym głosem, w którym wciąż słychać było ślady nowojorskiego akcentu.

W jednym z gabinetów mężczyzna z długą brodą ortodoksyjnego Żyda wstał zza biurka, podszedł do drzwi i je zamknął.

Pokazałam kobiecie odznakę, którą miałam przypiętą do paska spodni.

- O który budynek chodzi? - spytała panna Waters.

- O „Iliadę”, lokal numer 306.

Podeszła do kartoteki, otworzyła szufladę i przesunęła palcem po grzbietach dokumentów, aż znalazła ten, którego szukała.

- Jedna sypialnia, wykładzina na podłodze, balkon, widok na basen, z miejscem parkingowym na ulicy, tysiąc dwieście za miesiąc. Wynajęliśmy ten lokal szesnaście miesięcy temu. Pieniądze wpływają terminowo, przelewem, nie ma żadnych skarg, nic nie wymagało naprawy.

- Jak długo przechowujecie dokumenty? - spytałam.

- Przez pięć lat od ostatniej wpłaty - odparła panna Waters.

- Od jak dawna firma administruje budynkiem? - zapytał Harrison.

Popatrzyła na niego i uśmiechnęła się filuternie, jakby wierzyła, że gdzieś w głębi pozostała ładną dwudziestoletnią aktoreczką, która przyjechała tu z Queens, żeby zostać gwiazdą ekranu.

- Od początku świata, złotko - powiedziała.

- Czy którykolwiek z lokatorów mieszka tam od osiemnastu lat? - spytałam.

Panna Waters westchnęła dramatycznie.

- Musiałabym sprawdzić.

- Przy okazji chciałabym zobaczyć umowę najmu - dodałam.

- Wolelibyśmy traktować tego rodzaju dokumenty jako poufne.

- A ja wolałabym, żebyście państwo okazywali pomoc organom ścigania, gdy chodzi o zabójstwo - odparłam.

Zajrzała do teczki z dokumentami.

- Zabójstwo, w naszym budynku?

- Nie.

Zastanawiała się przez chwilę, choć najwyraźniej chodziło jej tylko o większą dramaturgię.

- Ubiegałam się kiedyś o rolę w *Sieci zbrodni* - oznajmiła. - Reżyser uznał, że za bardzo przypominam Maureen O'Hare.

- Rzeczywiście, widać podobieństwo - zauważył Harrison.

Posłała mu szeroki uśmiech, a potem wyjęła umowę z teczki i podała mi ją. Był to standardowy dokument, jaki musiał podpisać każdy, kto pragnął wynająć mieszkanie. Szybko przebiegłam wzrokiem tekst umowy, szukając czegokolwiek, co pozwoliłoby zidentyfikować lokatora jako mojego ojca.

- Spójrz na nazwisko - powiedziałam.

- Powell - przeczytał Harrison.

Do dokumentu dołączone było kiepskie ksero nowojorskiego prawa jazdy. Na pierwszy rzut oka mężczyzna na zdjęciu nie wydał mi się znajomy. Lecz gdy zaczęłam przyglądać mu się bliżej, wspomnienia

powróciły, nabierając ostrości niczym odbitka zdjęcia w kuwecie fotografa.

Rysy twarzy stały się łagodniejsze, bardziej zaokrąglone. Ciemne włosy posiwiały, a na czole pojawiły się zakola. Prawdopodobnie przytył o jakieś piętnaście kilo. Wszystko to się zmieniło, ale nie oczy. Wciąż były takie same, jak je zapamiętałam z odcinka *Bonanz*y i filmu o cyklopie, czarne jak węgiel i wyraziste. Zadrżała mi ręka. Tymi samymi oczami patrzył na moją matkę w dniu pikniku, kiedy wykręcał jej nadgarstek.

Zacząłam o coś pytać, lecz nagle zabrakło mi słów. Podałam ksero Harrisonowi, a potem utkwiałam wzrok w czerwonej gwiazdce na planie Los Angeles, która oznaczała miejsce, gdzie znalazłam odpowiedź, której wolałabym nigdy nie poznać.

Panna Waters zbliżyła się znowu do kontuaru.

- Lokatorzy spod czterystadwójki i stoósemki mieszkają tam od osiemnastu lat. O ile się nie mylę, w obu wypadkach są to małżeństwa emerytów - oznajmiła.

Usiłowałam odnaleźć się znowu w terażniejszości, ale nie byłam w stanie.

- Będą nam potrzebne kserokopie tych dokumentów - powiedział Harrison.

Pokiwała głową i podeszła z nimi do kserokopiarki przy ścianie.

- To on, prawda? - zapytał Harrison.

- On - wyszeptalam sama do siebie. Zdałam sobie sprawę, że wciąż trzęsie mi się dłoń, więc skrzyżowałam ręce na piersiach, chowając ją pod drugie ramię. - Tak, to on - potwierdziłam.

Zalał mnie natłok obrazów i wspomnień, które musiałam wypierać ze świadomości przez te wszystkie lata. Żadne z nich nie było wyraźne, przypominały raczej szept z drugiego końca pokoju, nie do końca zrozumiałe strzępy pojedynczych słów. Ale były i dotyczyły właśnie jego.

Odwróciłam się do Harrisona. Patrzył na mnie ze współczuciem jak ktoś, kto rozumie, jak to jest, gdy człowiek znajdzie się we władaniu natarczywych wspomnień. Spojrzałam na umowę najmu, szukając szczegółów, na których mogłabym skupić uwagę.

- Nic w jego danych osobowych się nie zgadza. Urodził się w Maryland, a nie w stanie Nowy Jork.

Poczułam, że drżenie ręki ustępuje.

- Płaci przelewami z poczty, więc nie możemy namierzyć numeru konta. Przypuszczam, że list polecający i poprzedni adres także są fałszywe. Jeśli prawo jazdy jest autentyczne, to możemy założyć, że przez jakiś czas mieszkał w Nowym Jorku.

Rozpaczliwie uczepliłam się tego toku rozumowania. Rwący potok obrazów zmienił się w cienką strużkę, ale wspomnienia wciąż mnie nie odstępowały, wciąż czały się tuż pod powierzchnią.

- Po osiemnastu latach nadal się ukrywa, a mimo to wrócił - powiedziała. - Odkręciłam się i spojrzałam na Harrisona. - Dlaczego? - zapytałam.

- Wynajął mieszkanie półtora roku temu - zauważył Harrison, pozwalając mi dokończyć myśl.

- Mniej więcej wtedy, gdy Danny zaczął dostawać wiadomości od swojego anioła - zauważyłam.

Patrzyliśmy na siebie przez chwilę.

- Mam wrażenie, że wyparłam z pamięci pewne rzeczy dotyczące ojca - przyznałam.

- Byłaś tylko dzieckiem, nie miałaś innego wyboru.

Panna Waters podeszła do kontuaru z fotokopiami w dłoni.

- O mało nie zapomniałam, ale jest pani już drugą osobą, która ostatnio pytała o to mieszkanie - powiedziała.

Odwróciłam się do niej.

- Kto jeszcze o nie pytał?

- Kobieta, która przedstawiła się jako detektyw.

- Nie policjantka?

Pokręciła głową.

- Pokazała mi legitymację. Chodziło o niepłacone alimenty.

- Pokazała jej pani umowę najmu? - zapytałam.

Zmieszała się.

- Chodziło o dobro dziecka, więc uznałam, że nie będzie w tym nic złego. Ale okazało się, że szukała kogoś innego - odparła.

- Pamięta pani jej nazwisko?

- Przykro mi, ale nie.

- Jak wyglądała? - zapytałam.

- Była ładna, miała jasną karnację. I chyba ciemne włosy... James. Nazywała się chyba James. Dała mi wizytówkę. - Wróciła do biurka i poszperała w szufladzie, aż znalazła to, czego szukała. - Tutaj jest

napisane Agencja Detektywistyczna Sloan, ale jestem prawie pewna, że przedstawiła się nazwiskiem James.

Żaluzje w oknie zaklekotały od podmuchu wiatru i do biura wdarło się gorące powietrze. Waters wpatrywała się przez chwilę w okno, po czym przeniosła wzrok na nas, gdy ruszyliśmy do drzwi.

- Wierzy pani, że pogoda może zwiastować trzęsienie ziemi? - za pytała.

Pokręciłam głową.

- Nie.

- A ja tak - przyznała, odwracając głowę do okna. - Kiedy tak wie- je, zawsze wydarza się coś złego.

Gdy wyszliśmy na dwór, nie czułam na twarzy podmuchów wiatru ani tego, że gorąco wysuszało usta przy każdym oddechu. Nie słyszałam przejeżdżających samochodów i nie zobaczyłam na niebie pierwszych kłębow dymu z nowych pożarów. Stałam wpatrzona w szklanki do mar- tini i koktajlowe serwetki na wystawie sklepu, jakbym właśnie przybyła z innej planety i nie wiedziała, co to takiego. Świat, który znałam, a przynajmniej ten, w którym dotąd żyłam, był zbudowany na przeko- naniu, że mój ojciec zniknął, a potem umarł.

Ksero prawa jazdy i zdjęcie, które zrobiono mi w dzieciństwie, prze- wróciły ten świat do góry nogami. Teraz zdawało mi się, że nie panuję nawet nad własnymi wspomnieniami.

Cichy podmuch wiatru wzbiał z chodnika chmurę kurzu i śmieci, które zawirowały wokół moich nóg, zanim zniknęły za rogiem budyn- ku. Uliczny hałas powrócił i poczułam na twarzy suche powietrze. Przez chwilę spoglądałam na dokumenty, które trzymałam w ręku.

„Skup się na śledztwie”, upomniałam się w duchu.

Szyba wystawy sklepowej zadrzała od wiatru.

- Myślę, że ona się ukrywa - powiedziałam.

- Chyba nie nadażam - odezwał się Harrison.

- Jeśli to ta kobieta, o której myślę, to na pewno wie, że on jej szuka.

Zamyślił się.

- Sądzisz, że to ta sama kobieta, którą spotkałaś w mieszkaniu brata.

Pokiwałam głową, a potem odwróciłam się i ruszyłam do samocho- du. Kiedy sięgałam do klamki, na tylnym siedzeniu mignęła mi postać dziewczynki w niebieskiej sukience.

- Co chcesz teraz zrobić? - spytał Harrison.
 - Musimy znaleźć panią James.
- Spojrzałam na zdjęcie.
- I chcę się dowiedzieć, co się przytrafiło tej małej dziewczynce.

27

W okręgu Los Angeles był tylko jeden Sloan zarejestrowany jako prywatny detektyw: Agencja Detektywistyczna Sloan w San Pedro. Wjechaliśmy na autostradę 110 i ruszyliśmy na południe w kierunku portu.

Ma się wrażenie, że San Pedro nie przynależy do Los Angeles, w każdym razie nie do Los Angeles, które zna większość z nas. San Pedro jest raczej związane z oceanem niż z aglomeracją rozciągającą się na północy.

Wielkie floty rybackie dawno już stąd zniknęły, a na ich miejscu pojawił się największy port towarowy w kraju. Mocno zżyte japońskie i meksykańskie wspólnoty rybackie przeniosły się w głąb lądu albo wyrzekły się tradycyjnego zajęcia w zamian za pracę od dziewiątej do piątej. Teraz szerzyła się tu przemoc rywalizujących gangów i strach, że któregoś dnia do wody przedostanie się jakaś toksyczna substancja, która wywoła katastrofę ekologiczną.

Na Gaffey zjechaliśmy z autostrady i minęliśmy sześć kolejnych przecznic. Agencja Detektywistyczna Sloan mieściła się przy małej uliczce handlowej i sąsiadowała po bokach z budką, gdzie sprzedawano taco, i z pralnią chemiczną. Zaparkowaliśmy samochód i wysiedliśmy. Gorący wiatr Santa Ana nie dotarł jeszcze tak daleko na południowe wybrzeże. W powietrzu czuło się zapach oceanu, smażonych ryb i chemikaliów z pralni.

- Czemu ktoś postanowił wynająć prywatnego detektywa rezydującego tak daleko od miasta do pracy w centrum? - zapytał Harrison.

- Właśnie dlatego, że rezyduje tak daleko od miasta.

Kiedy weszliśmy do biura, przy drzwiach zadźwięczał dzwoneczek. Recepcjonistką była grubokoścista Latynoska, która nazywała się Fuentes. W poczekalni siedziała kobieta z dwójką dzieci bawiących się na podłodze. Miała podbite oko i żaloszny wyraz twarzy osoby, która

potrzebowała więcej pomocy, niż prawdopodobnie mogła uzyskać w takim miejscu jak to.

Pokazałam recepcjonistce odznakę. Kobieta zadzwoniła do jednego z dwóch gabinetów za poczekalnią i wprowadziła nas do środka. Właścicielem i szefem agencji był dobiegający pięćdziesiątki facet, który nazywał się Lester Sloan. Na górnej wardze nosił cienki wąsik, który wyglądał, jakby został narysowany kredką. Na jego biurku stał talerz niedojedzonych taco. Miał na sobie jednoczęściowy trykotowy strój podobny do tych, w których w latach sześćdziesiątych występował Jack La Lanne, promując zdrowy styl życia.

- Szukam pani detektyw, która być może dla pana pracuje - zaczęłam.

Sloan wytarł podbródek z sosu ał pastor. Na ścianie za biurkiem zauważyłam zdjęcie, na którym stał obok dawnego menedżera Dodgersów.

- Jest zamieszana w jakieś przestępstwo? - zapytał.

- Z tego, co wiem, nie - odparłam.

- Więc byłaby pani skłonna stwierdzić, że ta firma również nie jest zamieszana w żadne przestępstwo - powiedział.

- Póki nie znajdę dowodów, które by temu przeczyły - odrzekłam.

Sloan odetchnął z widoczną ulgą, odwrócił się razem z fotelem do komputera, kliknął myszką i nacisnął kilka klawiszy.

- W tej chwili pracuje dla mnie tylko jedna kobieta, Andi James.

- Czy ktokolwiek wypytywał o nią tutaj ostatnio?

Pokręcił przecząco głową i obrócił monitor w naszą stronę. Na płaskim ekranie pojawiło się jej zdjęcie i licencja detektywa. Przez chwilę wpatrywałam się w jej twarz.

- To ona? - spytał Harrison.

Przytaknęłam.

- Pracuje w centrum - poinformował nas Sloan. - Musiałem zająć się innym zleceniem tu, w porcie, więc oddelegowałem ją.

- Potrzebuję jej adresu i numeru telefonu - oświadczyłam.

Sloan wyraził dezaprobatę.

- Jest ważnym świadkiem w sprawie o zabójstwo - wyjaśniłam. - Jedna z ofiar została przywiązana do krzesła, uduszono ją i rozebrano.

- Zaraz sprawdzę ten adres.

- I będę potrzebować nazwiska klienta - dorzuciłam.

Sloan pokręcił głową.

- Zaliczka została zapłacona gotówką. Zlecenie przyjęliśmy telefonicznie. Nie znam nazwiska.

Zapisał adres i numer telefonu Andi James na karteczce, którą mi następnie wręczył.

- Może ona poda wam to nazwisko. Jeśli oczywiście uda wam się ją znaleźć.

- Jak to?

- Od trzech dni nie daje znaku życia i nie odpowiada na moje telefony.

- Czy to niezwykle?

Sloan przytaknął.

- Chyba że nie żyje.

28

Kiedy jechaliśmy z portu na północ, zapadł zmierzch. Gdy zbliżaliśmy się do wieżowców w centrum, prędkość wiatru dochodziła w porywach do osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. W oddali, gdzie przebiegały linie wysokiego napięcia, ciemność rozświetlały jasnozielone błyski. Na Figueroa wóz kempingowy został zwiany na betonowy murek, gdzie chybotął się teraz niebezpiecznie. Znak drogowy, który wygiął się pod naporem wichru, trząsał się niczym pies próbujący zerwać się ze smyczy. Przebiegło mi przez myśl, że właśnie tak musi widzieć świat mój ojciec.

Skręciliśmy w Szósta i pojechaliśmy na wschód w kierunku dzielnicy magazynów, gdzie mieszkała Andi James. Na Flower podmuch wiatru przewrócił wózek sprzedawcy lodów, które wysypały się na ulicę. Kobiety idące chodnikiem przytrzymały mocno spódnice. Strzępy śmieci i płachty gazet frunęły ulicą co i rusz podrywane wysoko w niebo, gdzie znikwały w ciemnościach.

Na Grand zatrzymałam wóz przy krawężniku i spojrzałam na południe, w stronę Siódmej.

- Co się stało? - spytał Harrison.

Różowa ulotka z reklamą lekcji tanga zaczęła się o antenę samochodową a potem zniknęła z następnym podmuchem wiatru.

- Musiał tędy przebiegać - odparłam.

Przecznicę dalej na południu widać było kamienny biurowiec na rogu Siódmej.

- Biuro Gavina - powiedział Harrison.

Skinęłam głową. Nie pomyślałam o tym przedtem, ale najprawdopodobniej przebiegł właśnie tą drogą.

- Ulica musiała być o tej porze pusta - zauważyłam.

- Niezupełnie - sprostował Harrison.

Przytaknęłam. Był na niej także morderca.

Po drugiej stronie Grand z piskiem opon zatrzymał się samochód. Mężczyzna w ciemnym biznesowym garniturze zaczął walić pięściami w maskę i wrzeszczeć na kierowcę.

- Nawet jeśli ktoś akurat przejeżdżał obok, na pewno się nie zatrzymał - powiedziałam. - Nikt by się nie przejął bosym mężczyzną biegnącym wyludnioną ulicą w środku nocy. Każdy najwyżej spojrzalby na niego przelotnie, a potem pojechał dalej.

Siedziałam przez chwilę, usiłując wyobrazić sobie twardość chodnika, który czuł pod stopami mój brat, gdy zdyszany, na bosaka pędził na północ.

Spojrzałam na drugą stronę ulicy. Bezdomny mężczyzna kulił się w bramie, próbując uciec przed wiatrem. Jego twarz, broda i ubranie miały tę samą barwę co ciemny kamień budynku, pod którym stał.

- Byłby niemal niewidzialny - powiedziałam.

Harrison milczał przez chwilę, przyglądając się w skupieniu czemuś po drugiej stronie Grand.

- Nie do końca - odrzekł.

- Co masz na myśli? - spytałam.

Skinął na drugą stronę ulicy.

- Hotel Standard - rzuciłam.

- Spójrz na lewo od budynku.

Brama podziemnego garażu właśnie zaczęła się unosić.

- Możliwe, że przy wjeździe do garażu jest kamera skierowana na ulicę - powiedział Harrison.

Przejechałam na drugą stronę i zatrzymałam samochód przy wjeździe do hotelowego garażu. Pod sufitem umieszczona była kamera skierowana w stronę ulicy. Harrison przyjrzał się jej, oceniając kąt i rozmiar obiektywu.

- Powinna rejestrować obraz najbliższego pasa ruchu, może trochę więcej - orzekł.

- Wystarczy, żeby zobaczyć samochód, który za nim jechał?
- Warto sprawdzić - potwierdził.
- Jeśli tędy przebiegał, ochrona hotelu powinna mieć kasetę z nagraniem... - powiedziałam.

Harrison patrzył na kamerę jeszcze przez chwilę.

- To nowa kamera. Jeśli cały system jest równie nowoczesny, to znaczy, że nie ma kasety, tylko wersja zdigitalizowana.

- Ja wciąż wywołuję zdjęcia w najbliższej drogerii. Nie znam się na tych nowinkach - odparłam.

- Obraz jest zapisywany na twardym dysku, a nie na kasecie wideo. Dzięki temu można przechowywać nieograniczoną ilość danych bez konieczności wykorzystywania w kółko zestawu tych samych kaset.

- Czyli że mogą wciąż mieć to nagranie.

Harrison pokiwał głową.

Kierownik ochrony na nocnej zmianie spotkał się z nami na pierwszym poziomie parkingu, a potem zaprowadził nas do centrum monitoringu, które mieściło się w pokoiku tuż za pralnią i szatniami dla pracowników.

Harrison miał rację: system był cyfrowy. W pokoiku znajdował się tuzin monitorów, które przekazywały obraz z kamer umieszczonych w różnych częściach hotelu. Kierownik ochrony wskazał ekran, na którym było widać wjazd do garażu.

- Która noc państwa interesuje? - zapytał.

Przez chwilę wpatrywałam się w obraz na monitorze. Chodnikiem przeszedł jakiś pieszy, sekundę później mignął mi przejeżdżający samochód.

- Noc cztery dni temu, od godziny pierwszej począwszy - odparł Harrison.

Kierownik przemówił po hiszpańsku do podwładnego, który siedział przy konsolce, a ten wystukał na klawiaturze stosowne komendy.

- Obraz pojawi się tutaj - oznajmił kierownik, wskazując inny monitor.

Ekran mrugał przez chwilę, a potem ustabilizował się, pokazując statyczny obraz wjazdu do garażu i pustej ulicy. Licznik w rogu odmierzał mijające sekundy i minuty.

- Może pan przyspieszyć? - zapytałam.

Operator kiwnął głową i wklepał następną komendę. Minuty mknęły teraz jak przy przewijaniu na podglądzie kasety wideo, choć przy

braku ruchu obraz wyglądał na statyczny. Po dziesięciu minutach przed kamerą przystanąła para kochanków, którzy pocałowali się i poszli dalej. Trzy minuty później chodnikiem przebiegł amator joggingu. Biały sedan wyłonił się z garażu i wyjechał w noc, jego tylne światła wypaliły w obrazie białe smugi.

- Czego państwo szukacie? - spytał kierownik.
- Szczęścia - odparłam.

Przez dwadzieścia następnych minut nic się nie działo. W dwudziestej trzeciej ulicą przemknął samochód. Dwadzieścia cztery minuty, dwadzieścia pięć. Następny samochód.

- Proszę zatrzymać - odezwał się Harrison. Przez chwilę w skupieniu wpatrywał się w ekran.

- Coś tam było.
- Nic nie widziałam - powiedziałam.

Harrison spojrział znowu na ekran i kiwnął głową.

- Proszę cofnąć o trzydzieści sekund.

Operator cofnął nagranie. Trzydzieści, dwadzieścia, piętnaście sekund.

- Tam - rzucił Harrison.

Operator pokręcił głową.

- Niczego nie widziałem.
- Ja też nie - przyznałam.

Kierownik ochrony pokiwał głową, że on też nie.

- Proszę jeszcze raz cofnąć o dziesięć sekund, a potem odtworzyć nagranie w normalnym tempie - polecił Harrison.

Operator cofnął i wznowił odtwarzanie.

- Może pan zrobić stopklatkę?

- Tak.

Wpatrywałam się w pustą ulicę na ekranie, czekając, aż coś się pojawi, ale na próżno.

- Co takiego zobaczyłeś? - zapytałam. Harrison zbliżył się do monitora.

- To.

Wciąż niczego nie widziałam.

- Niech pan przewinie do tyłu w zwolnionym tempie. Operator wykonał polecenie.

- Stop - powiedział Harrison.

Patrzyłam na ekran i wciąż nie widziałam żadnej zmiany.

- U góry ekranu - wyjaśnił Harrison.

W prawym górnym rogu zobaczyłam dwie ciemne plamy, których w pierwszej chwili nie dostrzegłam.

- Skarpetki - wyszeptałam.

Harrison pokiwał głową.

- Przebiegał przez jezdnię i załapał się na moment w kadr.

Przez moment wpatrywałam się w ekran, a potem zamknęłam oczy i wyobraziłam sobie tę scenę. Musiał być zdyszany, każde uderzenie bosej stopy o asfalt wywoływało ból w kościach, ale on nic nie czuł. Ważna była tylko ucieczka i głos, który powtarzał w głowie: „Biegnij”. Aż zobaczył żółty napis jarzący się w ciemności i pomyślał o mnie.

- Jeśli ktoś go w tym momencie śledził, w ciągu minuty, najwyżej dwóch minut, powinien przejechać tędy samochód - powiedział Harrison.

Patrzyłam na skarpetki brata i nie mogłam uciec od innej straszliwej prawdy. Czy ścigał go nasz ojciec? Niczym w zabawie w chowanego, w której John był dzieckiem biegnącym przez tylne podwórko w samych skarpetkach.

- Proszę odtworzyć nagranie dalej, w normalnym tempie - zacydowałam.

Operator wcisnął klawisz i John zniknął z ekranu po dwóch krokach. Uplęło trzydzieści sekund i nie pojawił się żaden samochód. Następne dziesięć sekund, potem dwadzieścia.

Przednie światła wypaliły na chwilę białe dziury w ekranie, wreszcie u góry kadru przejechał biały sedan. Było widać tylko lewy bok.

- Proszę cofnąć i zatrzymać w momencie, gdy samochód pojawi się w kadrze - polecił Harrison.

Operator cofnął nagranie, aż wóz znalazł się w środku górnej części ekranu.

- Nie odczytamy tablicy rejestracyjnej - stwierdził Harrison.

Było widać pół okna od strony pasażera, ale odbite światło uniemożliwiało zajrzenie do wnętrza samochodu.

- Wiesz, jaki to model? - zapytałam.

Harrison pokręcił głową.

- Wygląda na buicka - odezwał się kierownik. - Chyba Le Sabre.

Operator wskazał na róg przedniej szyby.

- Tam coś jest.

- Niech pan zrobi zbliżenie - poprosił Harrison.

Operator powiększył obraz.

- Może pan to wyostrzyć? - zapytałam.

Kierownik pokręcił głową.

Wpatrywałam się w róg przedniej szyby. Coś za nią było: jaśniejszy kształt na tle ciemnego wnętrza, ale nic więcej nie dało się o tym powiedzieć.

- Mogę jedynie przegrać to na dyskietkę - zaproponował kierownik.

- Możemy zgłosić się z tym do Caltech - powiedział Harrison.

Obraz skarpetek mojego brata na chodniku znów pojawił się na ekranie.

- Czy chce pani, żeby to też zapisać? - spytał kierownik.

Odwrociłam się i zaprzeczyłam.

29

Kod adresem, gdzie mieszkała Andi James, znajdował się surowy, szary pięciopiętrowy magazyn. Na sąsiednich ulicach nie było ludzi ani modnych knajpek. Na rogu następnej przecznicy stał skromny hotelik, jego wyblakły szyld i czerwone drzwi wyglądały jak ponura kopia obrazu Hoppera.

Wysiedliśmy i przeszliśmy przez ulicę. Dźwięki saksofonu grającego gdzieś w ciemności to stawały się głośniejsze, to cichły niesione podmuchami wiatru. James mieszkała na trzecim piętrze. Okna budynku były ciemne z wyjątkiem kilku na górnych piętrach, które jaśniały rozproszonym światłem świec.

- Wichura odcięła dopływ prądu - zauważył Harrison.

Pchany porywem wiatru pojemnik na śmieci poturlał się w ciemności prosto na nas, nabierając prędkości, a potem ni stąd, ni zowąd się zatrzymał.

Wejście do budynku zamykały ciężkie zbrojone drzwi z dwiema szybami. Między nie a framugę była wetknięta kantówka, która nie pozwalała im się zamknąć. Domofon nie działał, bo nie było prądu. Na każdym piętrze znajdowało się po szesnaście mieszkań. James mieszkała pod numerem 414.

Weszliśmy na klatkę schodową i zapaliłam latarkę. W ciemności słyszałam stłumione głosy, które dobiegały z jednego z mieszkań. W powietrzu rozchodził się smród bezdomnego, który zapewne schronił się tu przed wiatrem.

Ruszyliśmy korytarzem w głąb budynku, a potem po schodach na górę. Gdzieś nad nami otworzyły się drzwi i rozległ się stukot kroków na metalowych schodach; ktoś schodził niżej, kroki były coraz głośniejsze. Potem otworzyły się inne drzwi i kroki ucichły. Mieszkanie James znajdowało się w północno-wschodnim narożniku, przy ulicy. Wstępu do środka broniły ciężkie stalowe drzwi.

- Jeśli nam nie otworzy, nie ma mowy, żeby udało nam się wejść - zauważył Harrison.

- Gdyby chciała z nami porozmawiać, już by to zrobiła - odparłam.

- Widać nie wie, komu może zaufać.

Wyciągnęłam komórkę i wstukałam jej numer. Z mieszkania dobiegł nas dzwonek telefonu. Po piątym sygnale włączyła się automatyczna sekretarka. Nagrany głos należał do kobiety, którą spotkałam w mieszkaniu brata.

- Tu porucznik Delillo - przedstawiłam się. - Już czas, żebyśmy porozmawiały. Będę u pani za dziesięć minut.

Rozłączyłam się, a Harrison pochylił się do drzwi i zaczął nasłuchiwać.

- Kroki... Zdaje się, że zareagowała.

Harrison odsunął się od drzwi, gdy w budynku zaczęły zapalać się światła. Po drugiej stronie usłyszałam brzęk kluczy, a potem zgrzyt zasuw. Gdy tylko drzwi się uchyliły, James zobaczyła mnie i zrobiła krok w tył.

- Wszystko w porządku - zaczęłam mówić, lecz ona już uciekła w popłochu w głąb mieszkania.

Harrison pchnął drzwi, otwierając je szerzej.

- Przychodzę w dobrych zamiarach - oświadczyłam, wchodząc do środka.

Rząd okien w północnej ścianie prezentował widok na centrum miasta. W mrugającym świetle usiłowałam wypatrzeć kobietę w dużym, przestronnym pokoju, ale nie mogłam.

- Potrzebuję pani pomocy - powiedziałam.

Harrison skinął na drzwi w głębi pomieszczenia. Podeszłam do nich.

- Mogę zapewnić pani ochronę - dodałam.

Z wnętrza dochodził jej gwałtowny oddech, kadencja strachu.

- Kto z panią jest? - wykrztusiła James.
- Mój policyjny partner.
- Skąd mogę wiedzieć?
- To pani odkryła zwłoki Dany Courson, prawda? I zadzwoniła do mnie pod pretekstem spotkania, żebym je znalazła. Zaufała mi pani na tyle, żeby zadzwonić. Proszę mi zaufać i teraz.

Po drugiej stronie zapadła cisza. Po chwili drzwi się otworzyły.

Andi James weszła do pokoju, gdy światła przestały mrugać i zapaliły się na dobre. Sądząc po wyrazie jej twarzy, wątpiłam, czy przez ostatnie cztery dni zmrużyła oko na dłużej niż dziesięć minut. W obu dłoniach, na poziomie bioder, ścisnęła ten sam rewolwer, który widziałam w mieszkaniu brata.

Zanim opuściła bezpieczne schronienie, instynktownie obrzuciła wzrokiem pokój, upewniając się, czy nie ma żadnych zagrożeń. Kiedy uznała, że jest bezpieczna, usiadła po turecku na kanapie i położyła rewolwer na stoliku przed sobą.

- Jak mnie pani znalazła? - spytała w końcu.
- Poprzez sekretarkę firmy, która zarządza apartamentowcem „Iliada”. A potem przez Sloana.

W jej oczach znów pojawiła się panika.

- Czy ktoś jeszcze pytał o mnie Sloana?

Pokręciłam głową.

- Na pewno?
- Tak - zapewniłam.

Panika zaczęła mijać.

- Muszę się dowiedzieć, na czyje zlecenie pani pracowała.

James odetchnęła i zamknęła oczy.

- Myślę, że pracowałam dla zabójcy. - Otworzyła oczy i popatrzyła na mnie, ale nie była w stanie podtrzymać kontaktu wzrokowego. - Myślałam, że przez to, co robiłam, zginęli ludzie.
- Potrzebuję nazwiska - rzuciłam.
- Nie znam go. Nigdy się nie spotkaliśmy. Nigdy z nim nie rozmawiałam, ale z tego, jak pisał, jakich używał słów, domyślałam się, że był gliniarzem.
- Jak dostarczała mu pani informacji?
- Na adres Hotmail. Ostatni list wysłałam w dniu śmierci pani brata.

- Czy próbowała pani nawiązać z nim kontakt później?
Pokiwała głową.

- Na próżno. Konto zostało zlikwidowane. - Wzięła długi, urywany oddech.

- Proszę opowiedzieć o tym zleceniu. Miała pani śledzić mojego brata? - zapytałam.

James zaprzeczyła.

- Śledziłam Gavina.

- Tego adwokata.

Przytaknęła.

- Jak długo?

- Trochę ponad tydzień.

Harrison popatrzył na mnie znacząco.

- Ostatnie wydanie gazety w „Iliadzie” było datowane na dzień przed rozpoczęciem inwigilacji.

- Śledziła ich pani w dniu ich śmierci?

Przytaknęła.

- Aż do szpitala. Potem zgubiłam Johna z oczu.

- Wie pani, z kim się tego dnia widzieli?

- Znam tylko adresy miejsc, które odwiedzili.

- Wciąż je pani pamięta?

Skinęła, a potem wstała i poszła do kuchni, gdzie otworzyła lodówkę i wyjęła karton mleka. Wylała je do zlewu i wyciągnęła z pudełka kartkę w szczelnie zamkniętej foliowej torebce. Wróciła do kanapy i wręczyła mi listę.

- Adresy miejsc, gdzie moim zdaniem z kimś się spotkali, są podkreślone.

Lista zawierała cztery adresy. Dwa pierwsze nic mi nie mówiły, ale dwa pozostałe owszem. Podałam kartkę Harrisonowi, który przeczytał ją z uwagą.

- Adres w Chatsworth. I w Eagle Rock.

Pokiwałam głową.

- Hazzard i aktorka Candice Fleming.

- Jest pani pewna, że właśnie tam byli? - dociekałam.

James przytaknęła.

- A pozostałe? - zapytałam.

- Oba są adresami budynków w centrum, ale myślę, że te wizyty dotyczyły jakiejś innej sprawy.

- Jak znalazła pani apartamentowiec „Iliada”?
- Gavin go znalazł. Myślę, że spotkał się z człowiekiem spod trzystaszóstki.

- Tylko raz?

Potwierdziła.

- W firmie zajmującej się wynajmem dowiedziałam się, że lokator nazywa się Lewis Powell, ale wciąż nie mam pojęcia, kto to taki. Nie udało mi się znaleźć żadnych jego danych. Zupełnie jakby nie istniał. A po śmierci pani brata przestałam szukać.

- Skąd wiedziała pani o nim to wszystko, co powiedziała mi w jego mieszkaniu? - zapytałam.

- Któręś wieczoru John i Gavin poszli do baru. Po odejściu Gavina pozwoliłam Johnowi postawić sobie drinka i poplirtowałam z nim trochę, żeby wypytać go o pracę... rodzinę... Podobał mi się. - Umilkła.

Podeszłam do okna i spojrzałam na góry San Gabriel na wschodzie. Pomarańczowa kreska przecinała ciemność w miejscu, gdzie wybuchł nowy pożar. Harrison stanął obok mnie i popatrzył na linię szczytów.

- Dlaczego Hazzard nie powiedział nam o tym spotkaniu?

- Nie wiem.

Odwróciłam się i spojrzałam na Jamesa.

- Raczej nie powinna tu pani zostawać. Możemy pani znaleźć bezpieczną kryjówkę.

- Dana nie żyje, mimo że niczego nie wiedziała. Jak zamierza mnie pani ochronić?

Zaczęłam mówić, ale urwałam. Nie mogłam jej ochronić tak samo, jak nie udało mi się ocalić Lopeza. Kogo próbowałam oszukać?

- Jest miejsce, gdzie mogę się zadekować. Nikt mnie tam nie znajdzie, nikt go nie zna.

Harrison ruszył do drzwi, a ja za nim.

- Pani porucznik - rzuciła James.

Zatrzymałam się.

- Pani brata i Gavina śledził także ktoś inny.

- Jest pani pewna?

- Tak, zresztą John też to zauważył. Do wypadku doszło, kiedy próbował zgubić ten drugi samochód.

Wyjęłam kserokopię nowojorskiego prawa jazdy ojca.

- Czy to mógł być ten mężczyzna?

Przyglądała się zdjęciu przez chwilę, zanim rozpoznała, kogo przedstawia.

- Mężczyzna z „Iliady”?

Pokiwałam głową.

- To możliwe, ale nie mogłabym przysiąc. Mignął mi tylko przez moment.

Jeszcze raz spojrzała na zdjęcie, a potem oddała mi kartkę.

- Pani wie, kto to taki, prawda? - zapytała.

Skinęłam głową.

- Jaki miał samochód?

- Buicka. Nie widziałam tablicy rejestracyjnej.

Wymieniłam z Harrisonem porozumiewawcze spojrzenia. Światła w mieszkaniu ponownie zaczęły mrugać.

- Myślę, że zniknę na jakiś czas - oznajmiła James.

Na dworze wiatr przybrał znowu na sile, niosąc lekki zapach dymu. Podeszliśmy z Harrisonem do samochodu, ale nie wsiedliśmy do środka.

- Każdy krok w śledztwie zdaje się mnie do niego przybliżać - powiedziałam. - Spojrzałam na stary magazyn i zobaczyłam sylwetkę James stojącej w oknie. - Okłamałam ją. Wcale nie wiem, kim on jest... Podrzucę cię z powrotem do Pasadeny, żebyś mógł się zająć dyskieta i adresami z listy.

Popatrzyłam na pomarańczową lunę nad górami.

- A ty dokąd się wybierasz? - spytał Harrison.

- W przeszłość.

30

Wysadziłam Harrisona w Pasadenie, a potem ruszyłam dwójką pod górę w kierunku doliny San Gabriel. Przez jezdnię przelatowały szarłaty, zalegając przy barierkach, aż nawiało ich tyle, że podmuch wicheru porywał je wszystkie na drugą stronę niczym falę przelewającą się przez molo.

Tuż nad wzgórzami Glendale na wschodzie jaśniała luna nowego pożaru. Ciemność rozbłyskiwała co jakiś czas rozżarzonymi węgielkami, które przelatowały mi przed szybą.

Kiedy wjechałam na szczyt wzgórza za Glendale, zobaczyłam przed sobą błyskające światła wozów straży pożarnej i drogówki. Na lewym pasie leżał dorodny jelen, a dwadzieścia metrów dalej na poboczu, przewrócona ciężarówka, z której wysypał się ładunek, tysiące pomarańczy.

Żółta płachta okrywała roztrzaskaną kabinę ciężarówki, gdzie stracił życie kierowca. Kiedy mijałam miejsce wypadku, owoce zaczęły mi pękać pod kołami, a zadymione powietrze wypełniło się na chwilę słodkim zapachem pomarańczowego soku.

Przy Foothill skręciłam na zachód i wjechałam do La Crescenta. Półtora kilometra dalej skręciłam w prawo. Domy stojące wzdłuż ulicy były skromne, postawiono je tuż po wojnie. Zatrzymałam się przy krawężniku na rogu Carlotty.

Nie pamiętam, żebym wcześniej tu przyjeżdżała, ale znalazłam to miejsce bez mapy. Nic nie wydawało się znajome, choć domy w stylu farmerskim wyglądały zupełnie tak jak setki innych rozsianych w rozmaitych dzielnicach Los Angeles.

Ale trafiłam bezbłędnie. Wiedziałam, że numer 3829 jest o dwie przecznice dalej, na wzgórzu po prawej, że za domem mieści się pralnia chemiczna, a zawsze ilekroć wieje od gór tak jak teraz, dom wypełnia się zapachem eukaliptusa i *chaparralu*. Mieszkałam tam z ojcem.

Zjechałam z krawężnika i objechałam kwartał, żeby dostać się do domu od przeciwnej strony. Kiedy wróciłam na Carlottę, zatrzymałam się i wyłączyłam światła, gdy tylko zobaczyłam dom.

Był zaciemniony, nie paliła się nawet lampka nad drzwiami. W małym ogródku od frontu, gdzie okryty bluszczem pagórek schodził do Carlotty, ustawiono tabliczkę z napisem: „Na sprzedaż”. Otworzyłam drzwiczki i wysiadłam z wozu. Powietrze wypełniał zapach eukaliptusów, tak jak zapamiętałam. Za domem, gdzie rosły, widziałam ich ciemne rozkołysane przez wiatr sylwetki.

Przeszłam przez ulicę i przystanąłam na podjeździe. Zaczęły się ukazywać szczegóły, których wcześniej nie dostrzegałam. Ściany szalowane pomalowanym na jasną zieleń gontem i białe listwy wykończeniowe. W oknach od frontu nie było zasłon, jakby dom zapraszał mnie do środka. Przeszłam po kamiennej ścieżce do drzwi. Pod wycieraczką leżały ulotki z reklamami usług ogrodniczych. Dom był niezamieszkały. Obróciłam gałkę i otworzyłam drzwi. Już miałam przestąpić próg, gdy usłyszałam głos matki.

- Bądź grzeczną dziewczynką, proszę - szepnęła.

Obejrzałam się za siebie, ale nikogo nie było. Tylko wspomnienie. Odwróciłam się i zajrzałam do holu, a potem weszłam do środka. Teraz w powietrzu unosiła się woń środków czyszczących, ale mnie wnętrze kojarzyło się z innym zapachem. Zrobiłam krok w kierunku pustej jadalni i przystanąłam. Perfumy. Perfumy, których używała matka. Zerknęłam do salonu i na kominek z polnych kamieni. Wyciągnęłam rękę i nacisnęłam kontakt, ale światło się nie zapaliło. Prąd był odłączony.

Zrobiłam następny krok i zapach perfum powrócił. Przez chwilę chciałam się odwrócić i wybiec z domu. Serce zabiło mi szybciej, a potem błysk wspomnienia rozjaśnił pokój i zobaczyłam, jak matka stoi do mnie plecami i wygląda przez okno. Miała na sobie obcisłe spodnie i sweter, a ciemne włosy upięte na czubku głowy.

Szeptala w kółko te same słowa, trzymając coś w ramionach. Przystąpiłam próg salonu i znów usłyszałam jej głos, lecz tym razem niespokojny, ponaglący.

- Bądź grzeczną dziewczynką bądź grzeczną dziewczynką - powtarzała.

- Dość - powiedziałam na głos. Na czoło wystąpiły mi kropelki potu. Wspomnienia napływały coraz szybciej, nie byłam w stanie ich powstrzymać. Słyszałam głosy, włączony telewizor, wszystkie dźwięki zwyczajnego domowego życia, tylko że żaden nie był wyraźny.

W odległym zakątku domu usłyszałam zamykanie drzwi. Odwróciłam się i spojrzałam w głąb ciemnego korytarza, który prowadził do sypialni. Sypialnia rodziców znajdowała się na samym końcu. Pierwsze drzwi po lewej należały do mojego pokoju. Na ścianach korytarza wisiały kiedyś zdjęcia. Wpatrzyłam się w puste miejsca po ramkach i obrazy zaczęły wracać. Te zdjęcia nie zostały mi później przekazane i w ogóle zniknęły z rodzinnej pamięci. Na wszystkich był mój ojciec: na zdjęciu ślubnym; jak chwali się złowioną w Meksyku żaglicą jak stoi obok matki, która leży w szpitalnym łóżku i trzyma na rękach niemowlę.

Przeszłam przez cały korytarz i zajrzałam do pustego pokoju, gdzie mieściła się kiedyś sypialnia rodziców, ale nie wywołał we mnie żadnych wspomnień. Żadnego dźwięku ani głosu, nie pamiętałam nawet, jak wyglądało ich łóżko. Widać nie było sensu szukać tu odpowiedzi, po którą przyjechałam. Wycofałam się na korytarz i przystanąłam. Drzwi do mojego dawnego pokoju były zamknięte.

- Gdzie ona jest? - usłyszałam głos ojca.

Zbliżyłam się do drzwi, zawahałam się przez moment, a potem je pchnęłam. Otworzyły się na oścież. Wspomnienia wróciły niczym podmuch wiatru. Ściany były pomalowane na jaskrawożółty kolor, łóżko stało w głębi, a przy oknie toaletka i bujany fotel. Szafa wnekowa była otwarta. Matka klęczała przed nią i powtarzała w kółko te same słowa, które usłyszałam, gdy stała przy oknie.

- Bądź grzeczną dziewczynką, bądź grzeczną dziewczynką.

Ale teraz mówiła innym tonem. To nie był łagodny głos matki kołyszącej dziecko do snu. Ona błagała.

Powtórzyła te słowa jeszcze kilka razy, a potem wstała. W szafie na kocyku siedziała pięcioletnia dziewczynka z oczami wpatrzonymi w matkę. Spojrzałam na jej buzię i zobaczyłam siebie, ale zupełnie nie pamiętałam podobnej sceny. Matka powiedziała coś, czego nie zrozumiałam, a potem roztrzęsionymi rękami zamknęła szafę.

Podeszłam bliżej i popatrzyłam na szafę. Zupełnie tego nie pamiętałam. Dlaczego matka miała mnie zamykać w ciemnej szafie?

- Co się tutaj stało? - wyszeptalam.

Usiłowałam rozwiązać zagadkę tak, jakbym rozpracowywała miejsce przestępstwa, ale nie mogłam. Język dowodów rzeczowych nie wystarczał. Puste ściany pokoju milczały. Spojrzałam jeszcze raz na szafę, wzięłam głęboki wdech i weszłam do środka.

- Pamiętam to - powiedziałam w duchu, a potem usłyszałam w głowie głos, który zawsze tam był, choć nigdy nie rozumiałam słów: „Nie wchodź tam”.

Wnętrze szafy pachniało świeżo wypraną wełną i pastą do butów. Wiedziałam, jaki jest w dotyku kocyk na podłodze. Wiedziałam, jak daleko wyciągnąć rękę, żeby dotknąć ściany, i wiedziałam, że w jednym rogu wykładzina jest odklejona.

Matka stała przy drzwiach i patrzyła na mnie ze źle skrywaną paniką w oczach.

- To nasza tajemnica - powiedziała i zaczęła zamykać drzwi.

Wyciągnęłam rękę do smugi światła, która kładła się na podłodze, jakbym mogła ją schwycić. Rozległ się zgrzyt zamka i smuzka światła na mojej dłoni znikła. Przez chwilę siedziałam zupełnie nieruchomo, a potem usłyszałam własny oddech. Najpierw powolny, jakbym nie była pewna, czy w ciemności jest w ogóle powietrze. Potem przyspieszył, aż nabrał tempa silnika motocyklowego na rozruchu, gdy nie może zaskoczyć.

Ciemność za drzwiami przeszył trzask tłuczonego szkła. Wstrzymałam oddech i zaczęłam nasłuchiwać. Rozległy się krzyki, jeden głos się awanturował. Usiłowałam zrozumieć słowa, ale oczywisty był tylko ton. Wściekłość.

Ojciec przeszukiwał dom, chodził z pokoju do pokoju. W salonie roztrzaskał lampę, ze stołu w jadalni poleciały talerze. Usłyszałam urywany głos matki: „Nie... nie... to moja wina... to ja... Nie...

Drewniane krzesło w jadalni pękło jak od uderzenia siekierą.

- Boże, nie - jęknęła matka.

Usłyszałam stłumiony odgłos ciała rzuconego o ścianę, a potem ojciec ruszył znowu przez korytarz. Szybka od oprawionego zdjęcia stłukła się z brzękiem, a później drzwi od łazienki otworzyły się z trzaskiem i rozpoznałam szelest odgarnianej, a potem zdzieranej z drążka zasłony prysznicowej.

Spróbował otworzyć drzwi do mojej sypialni, ale były zamknięte na klucz. Potem dom zatrzęsł się w posadach, jakby strzelił w niego piorun, gdy ojciec rzucił się całym ciężarem na drzwi. Część framugi pękła z hukem, jakby ktoś wystrzelił z pistoletu, ale drzwi wytrzymały. Ojciec walił w nie raz za razem, pęknięcia w drewnie powiększały się przy każdym kolejnym uderzeniu. Wreszcie przy czwartej próbie drzwi ustąpiły.

Zapadła chwila ciszy, a potem usłyszałam, jak staje w progu, dysząc ciężko z wysiłku. Wszedł do pokoju, a ja utkwiałam wzrok w cienkiej linii światła pod drzwiami, gdy minął szafę i zbliżył się do mojego łóżeczka. Zaczął zdzierać z niego pościel i kapę niczym pies rozkopujący zajęczką norę.

Łóżko trzasnęło o ścianę, a potem rozległ się głos ojca. Niski pomruk, prawie warkot. Z początku nie rozumiałam słów, lecz powtarzał je na okrągło, aż wreszcie do mnie dotarły: „Gdzie jesteś? Gdzie jesteś?”

Usłyszałam kroki, gdy ruszył z powrotem w kierunku korytarza, lecz po chwili przystanął. Dobiegły mnie dwa krótkie sapnięcia, potem cisza. Wreszcie następny gwałtowny oddech. W szparze pod drzwiami zobaczyłam jego cień. Zatkaną ręką usta, żeby nie wydać żadnego dźwięku. Bałam się nawet oddychać.

Gałka u drzwi zaczęła się przekręcać. Wyciągnęłam do nich rękę, ale mrok w głębi szafy, który jeszcze przed chwilą wydawał się tak przerażający, otulił mnie i pociągnął do tyłu, za sukienki i płaszcze, które zwisały prawie do podłogi, aż niewyraźne światło pod drzwiami zniknęło i ogarnęła mnie ciemność.

Drzwi zaskrzypiały w zawiasach, kiedy je otwierał. Znów słyszałam jego oddech, lecz tym razem krótki i płytki jak u biegacza. Chwytał jeden z płaszczy i zdarł go z wieszaka, lecz przez otaczający mnie mrok nie przedostało się światło. Ojciec ściągnął jeszcze jeden płaszcz, a potem następny. Zbliżał się, a jego oddech stawał się coraz szybszy i szybszy, gdy przesuwiał wieszaki na drążku.

Potem rozległo się ciężkie, stłumione łupnięcie, od którego zadrgało powietrze. Ojciec zanurzył rękę w głąb szafy, coraz bliżej mnie, lecz po chwili ją cofnął.

Jego kroki były mechaniczne jak u robota, który się zepsuł i stracił koordynację. Runął ciężko na toaletkę, rozbijając lustro, a potem ruszył przez pokój - trzy szybkie kroki, a potem jeszcze jeden. Pociągnięta w dół zasłona w oknie zaczęła się zrywać z karnisza. Potem ciało ojca runęło na podłogę i w pokoju zaległa cisza.

Czekałam przez chwilę, nasłuchując najdrobniejszych oznak ruchu, ale była tylko cisza.

Mrok łagodnie wypuścił mnie z objęć i stanęłam w drzwiach szafy. Ojciec leżał na podłodze przy oknie, jego prawa ręka wciąż zaciskała się na zasłonie, którą zdarł częściowo z karnisza. Na środku pokoju stała matka. Kij golfowy wysunął się jej z dłoni i uderzył o podłogę. W jej oczach zobaczyłam dziką wściekłość, o jaką nigdy bym jej nie podejrzewała. Popatrzyła na mnie i gniew zniknął.

- To będzie nasza tajemnica - powiedziała - nasza tajemnica... nasza.

W jej głosie nie było lęku, ale nie było też siły. Wspomnienie mojej matki zaczęło się rozplýwać, a potem przeszłość wróciła do swojej kryjówki. Otarłam wilgoć z policzka i zdałam sobie sprawę, że trzęsie mi się ręka.

Zamknęłam drzwi szafy. Łagodna księżycowa poświata zalewała pokój. Wyszłam na środek pomieszczenia i spojrzałam na podłogę. Małe wgłębienie wielkości brzegu monety albo kija golfowego wciąż było widoczne pod warstwami lakieru. Przykucnęłam, przesunęłam po nim palcami i drżenie ręki ustało. Czyżbym miała być pierwszą ofiarą ojca? Czy od tego losu uchroniła mnie tamtego wieczoru matka - ile ją to mogło kosztować? Czy właśnie ten wieczór na zawsze oddalił nas od siebie? Czy zamiast złączyć matkę i córkę mocniejszą więzią wytworzył między nami barierę? Tajemnica, która niszczyła wszystko, czego dosięgła?

Podeszłam do okna i popatrzyłam na ciemne kształty eukaliptusów gnących się na wietrze za płotem. Rusz głową, powiedziałam sobie w duchu. Myśl jak policjantka. Ale nic z tego, w tym domu nie byłam policjantką. Byłam małą dziewczynką. Mój oddech stawał się coraz szybszy, nie mogłam nad nim zapanować. Miałam wrażenie, jakby ściany pokoju zamykały się wokół mnie.

Wybiegłam z domu i nie zatrzymałam się, dopóki nie stanęłam pośrodku ulicy, zdyszana.

- Ty sukinsynu - mruknęłam.

Spojrzałam na dom, który na tyle lat wymazałam z pamięci, a który stał teraz przede mną rzeczywisty i namacalny jak miejsce świeżo popełnionej zbrodni, która czeka na rozpracowanie, a może jak otwarta rana, którą trzeba opatrzyć. Ruszyłam z powrotem, żeby zamknąć frontowe drzwi, lecz znieruchomiałam, gdy weszłam na chodnik.

Nogi miałam jak z waty i nie byłam w stanie zrobić nawet kroku. Znalazłam się znowu w krainie wspomnień, jakby przeszłości i teraźniejszości nie dzielił już żaden dystans. Matka stała na ścieżce przed domem, zerkając nerwowo przez ramię na otwarte drzwi. Ja byłam dokładnie tam, gdzie teraz. Matka mówiła coś do mnie, a ja kręciłam głowę. Powiedziała jeszcze raz to samo, a ja spróbowałam do niej podejść, ale nie mogłam. Usłyszała coś we wnętrzu domu, jeszcze raz obejrzała się przez ramię, a potem odwróciła w moją stronę.

- Uciekaj!

Chciałam ją zawołać, ale nie mogłam wydać żadnego dźwięku. Chciałam podejść, ale nogi odmawiały mi posłuszeństwa.

- Uciekaj - powiedziała błagalnie. - Uciekaj tak szybko, jak potrafisz.

Zeszłam z chodnika i usłyszałam cichy odgłos rozpędzonych kroków, ale nie swoich. Biegł w samych skarpetkach, oglądając się przez ramię na człowieka, który go ścigał i był tuż za nim.

Wspomnienie matki rozplynęło się. Czyjej posłuchałam? Czy tamtego dnia uciekłam? Czy okazałam się dość szybka? Czy obejrzałam się przez ramię i zobaczyłam tego samego człowieka, którego widział mój brat tuż przed śmiercią?

- Uciekaj - wyszeptałam. - Uciekaj tak szybko, jak potrafisz, John.

Przenocowałam na kanapie w swoim gabinecie, ale za każdym razem, gdy udało mi się zasnąć, po piętnastu minutach budziłam się, słysząc zgrzyt przesuwanych po drążku wieszaków.

Jeśli wcześniej nie pojmowałam w pełni świata, w jakim żył Danny od śmierci matki, widok z wnętrza szafy uczynił go aż nazbyt rzeczywistym. Było to uczucie, którego zaznał prawie każdy mieszkaniec Kalifornii przynajmniej na kilka chwil w trakcie trzęsienia ziemi. Nic, do czego przyzwyczailiśmy się w życiu, nie trwa wiecznie. Nasze marzenia mogą w każdym momencie legnąć w gruzach, a każdy koszmar może się spełnić.

Jako matka wierzyłam dotąd niezachwianie przynajmniej w jedno. Rodzice zawsze kochają swoje dzieci, nawet jeśli ponieśli wychowawczą porażkę albo stracili kontakt z rodziną. Nawet lata pracy w wydziale zabójstw nie zachwiały we mnie tego przekonania. Nawet gdy prowadziłam dochodzenie w sprawie zabójstwa dziecka przez któregoś z rodziców, wiedziałam, że to nie brak miłości doprowadził do tragedii. Były to raczej narkotyki albo alkohol. Albo jeden straszliwy moment o nieodwracalnych skutkach.

Ale w co miałam wierzyć teraz? Będąc policjantką, wiedziałam, że pamięć jest najmniej wiarygodnym świadectwem. Wspomnienia wypaczają się i zmieniają upływem czasu i przez nagromadzenie późniejszych wydarzeń, aż wreszcie z rzeczywistością łączy je tylko najwęższa z nici.

Gdy patrzyłam na wschód słońca nad górami San Gabriel, tylko jednego mogłam być pewna. Słowa, które Danny wypisał na suficie mojej sypialni, były ostrzeżeniem: nic nie trwa wiecznie.

Kiedy policjanci zaczęli się stawiać na dzienną służbę, wsiadłam do swojego volvo i pojechałam na zachód w kierunku Eagle Rock. Pożary, które wczoraj zajęły wzgórze nad Glendale, powygasały. Dym widać było tylko na horyzoncie: zawisł nad Pacyfikiem, gdzie przez noc przewiał go wiatr.

Przejechawszy przez kręte uliczki Eagle Rock, zatrzymałam się o przecznicę przed małym bungalowem w stylu hiszpańskim, właśnie gdy z przeciwnej strony nadjechał szkolny autobus. Stojąca na krawężniku Candice Fleming pomogła synkowi wsiąść, a potem odprowadziła wzrokiem odjeżdżający autobus i zawróciła do domu.

Przed laty znała mojego ojca. I okłamała mnie, i Harrisona, kiedy ją przesłuchiwałam. Każdy z tych faktów z osobna mógł nic nie znaczyć, lecz razem nie można ich było zignorować, podobnie jak wspomnień, od których uciekałam, odkąd byłam dziewczynką w niebieskiej sukience.

Podjechałam pod dom i zaparkowałam samochód. Zadzwoiłam do drzwi i po chwili mi otworzyła.

- Opowiedziałam pani wszystko, co wiem - oświadczyła. - Niech mnie pani zostawi w spokoju.

- Proszę - nalegałam.

- Przykro mi, nie mam nic do dodania.

- Sześć dni temu adwokat nazwiskiem Gavin i detektyw, który dla niego pracował, przyjechali do pani na rozmowę.

Skrzywiła się jak ktoś, kogo przyłapano na kłamstwie, ale szybko się opanowała.

- Jeśli nawet, to co? Powiedziałam im to samo, co pani.

- Obaj nie żyją - odparłam.

Pokręciła głową.

- Nie rozumiem, co to ma wspólnego ze mną. Powiedziałam pani wszystko, co wiem, a teraz proszę mi dać spokój.

- Detektyw nazywał się John Manning.

Dźwięk tego nazwiska zdawał się ją przytłaczać, jej plecy przygarbiły się pod frotowym szlafrokiem.

- Nie mam nic do powiedzenia.

- Myślę, że wręcz przeciwnie. I myślę, że bardzo chce pani to powiedzieć.

- Nic pani o mnie nie wie.

- Wiem, co może zrobić z człowieka długo skrywana tajemnica.

- Miałam wrażenie, jakby uszło z niej powietrze. - Proszę opowiedzieć o Thomasie Manningu i o tym, co wydarzyło się w tamten wieczór osiemnaście lat temu.

Wzięła głęboki wdech i pokręciła głową.

- On nie żyje. Więc jakie to ma znaczenie? Pokazałam jej kserokopię nowojorskiego prawa jazdy ojca.

- Proszę się przyjrzeć tej twarzy.

Spojrzała na zdjęcie i zobaczyłam błysk przerażenia w jej oczach, gdy rozpoznała człowieka, którego znała wiele lat temu.

- On żyje?

Potwierdziłam.

- Dlaczego mi to robicie? -jęknęła głucho. - Dlaczego po prostu nie zostawicie mnie w spokoju?

- Syn Thomasa Manninga został zamordowany. To, co wydarzyło się osiemnaście lat temu, ma z tym zabójstwem coś wspólnego. Próbuję się dowiedzieć co.

Spuściła powieki i utkwiała wzrok w podłodze.

- To stare dzieje. Nie ma sensu do nich wracać.

Zaprzeczyłam.

- Myli się pani.

Pani Fleming otworzyła żelazną kratę, a potem zaprowadziła mnie do kuchni. Nalała sobie kubek kawy i wyjrzała przez okno, nawet nie zerknąwszy w moją stronę.

- Chcę się dowiedzieć, co się stało tego wieczoru, gdy wyszliście razem z teatru - powiedziałam.

Zacisnęła dłoń na kubku.

- Już mówiłam.

- Nieprawda.

- Niech mnie pani do tego nie zmusza. Błagam.

- Do czego mam pani nie zmuszać?

Przez dłuższą chwilę kręciła milcząco głową, a potem wyszeptała:

- Do odgrzebywania wspomnień.

Pani Fleming oparła się o kuchenny blat, jakby tylko tak była w stanie utrzymać się na nogach.

- Myślę, że będzie lepiej, jeśli uporamy się z tym tutaj, a nie w komisariacie - powiedziałam.

Wzięła głęboki wdech.

- Powiedział, że nigdy nie będę musiała o tym opowiadać. Obiecał mi to.

- Kto?

- Policjant.

Podeszłam do kuchennego blatu.

- Jaki policjant?

- Detektyw, który ze mną wtedy rozmawiał.

- Hazzard? - zapytałam.

Potaknęła.

- Powiedział, że nikt się nigdy nie dowie.

- A pani żyła z tą tajemnicą przez te wszystkie lata.

Odwróciła się, popatrzyła na mnie i skinęła głową.

- Ale nie uprzedził, że ten sekret będzie panią dręczył przez całe życie, prawda? - odgadłam.

- Czasami mam wrażenie, jakby to się wydarzyło zaledwie wczoraj.

- Co się stało tamtego wieczoru? - zapytałam.

Podniosła kubek, ale odstawiła go z powrotem, gdy zorientowała się, że drży jej ręka.

- Już wcześniej słyszałam o nim od innych aktorów z kursu i pracowników teatru.

- O Manningu?

Fleming pokiwała głową.

- Mówiło się, że próbował obmacywać niektóre aktorki. Jedni w to wierzyli, inni nie.

- Pani nie.

- Był takim dobrym nauczycielem... to się po prostu wydawało niemożliwe. Chciało się przebywać w jego towarzystwie, chciało się, żeby człowieka lubił.

- I panią lubił.

Spostrzegłam zawstydzenie w jej oczach.

- Tak myślałam.

- Więc po lekcji wyszła z nim pani tamtego wieczoru z teatru i nie pojechała do domu sama.

Westchnęła i popatrzyła na mnie.

- Miałam tylko dziewiętnaście lat. Myślałam, że ktoś tak utalentowany musi być również dobry.

- Dokąd poszliście?

Podeszła do stołu i usiadła, podciągając kolana do piersi.

- Poszliśmy do jego mieszkania w Hollywood. Otworzył butelkę wina. Przez lata wmawiałam sobie, że doszło do tego, bo za dużo wypiałam.

- Ale to nieprawda - powiedziałam.

- Nie. Opowiadał mi o pracy przy filmie... A potem kazał mi się rozebrać. - Zawahała się, wspominając tamten wieczór. - „Jeśli chcesz być aktorką - powiedział - musisz się rozebrać”. - Zerknęła na mnie i łzy popłynęły jej po policzkach. - Przypuszczam, że poszłam do niego, bo myślałam... Próbowałam wyjść, usiłowałam się bronić, ale... zgwałcił mnie. - Straciła na chwilę dech. - Kiedy było po wszystkim, wybiegłam od niego bez butów. Wróciłam do domu na bosaka.

Przed oczami mignął mi obraz brata biegnącego w samych skarpetkach i zaczęło mnie dusić. Wstałam od stołu i wyglądałam przez okno tak długo, aż się uspokoiłam.

- Wie pani, o której godzinie pani wyszła? - spytałam.

Zaprzeczyła.

- To wszystko zdawało się trwać bardzo długo. Wiem tylko, że do domu dotarłam tuż przed północą. A potem nikomu o tym nie powiedziałam, nawet najbliższym przyjaciółkom. Parę dni później zjawił się policjant, który mnie przesłuchał, i myślałam, że wszystko będzie dobrze.

- Hazzard?

Potaknęła.

- Opowiedziałam mu, co się stało.

- I wcale nie było dobrze?

- Powiedział, że skoro poszłam do jego mieszkania dobrowolnie, nie uda mi się udowodnić, że mnie zgwałcił. Powiedział, żebym nigdy z nikim o tym nie rozmawiała. To by tylko skomplikowało śledztwo o morderstwo, które było ważniejsze od tego, co przytrafiło się mnie.

- Nie mógł popełnić morderstwa, jeśli był z panią w swoim mieszkaniu - stwierdziłam.

Pochyliła głowę i przytaknęła.

- Myślałam, że dzięki mojemu milczeniu zostanie skazany i ukarany za to, co zrobił... Ale stało się inaczej.

- I tak jak Hazzard o to prosił, nikomu pani o tym nie opowiedziała. Ani Gavinowi, ani komukolwiek innemu.

Pokiwała głową.

- Ten drugi policjant też mnie o to wypytywał i powiedziałam mu to samo.

- Jaki drugi policjant?

- Zjawił się dzień albo dwa po Gavinie. Nie pamiętam, jak się nazywał. Był czarny.

- Williams?

- Chyba tak.

Oparła podbródek o kolana i zaczęła się powoli kiwać w przód i w tył.

- Myślałam, że pewnego dnia to minie, jakby nigdy naprawdę się nie wydarzyło. - Podniosła na mnie wzrok i pokręciła głową. - Myślałam się... On nie miał prawa powiedzieć, żebym milczała - wyszeptala.

- Nie miał prawa.

Zostałam z nią, aż opowiedziała wszystko, co musiała z siebie wyrzucić, a przynajmniej tyle, ile była w stanie. Żaden ze szczegółów się nie zmienił, lecz im więcej razy powtarzała swoją historię, tym ostrzejsze stawały się emocje i ból, które przedzierały się z przeszłości do teraźniejszości.

Kiedy otworzyła drzwi, żeby mnie wypuścić, zatrzymała mnie jeszcze w progu.

- Dlaczego pani? - zapytała. - Dlaczego po tych wszystkich latach przyszła do mnie akurat pani?

Słyszałam w głowie słowa odpowiedzi. Mówiły o niebieskiej sukience, odgłosie, z jakim kij golfowy zostawia wklęsnięcie w drewnie podłogi, ale nie wypowiedziałam ich na głos.

- Po prostu trafiła mi się ta sprawa - odparłam.

Jazda z powrotem do Pasadeny powinna była mi zająć nieco ponad kwadrans, ale wydłużyłam ją do godziny, klucząc po bocznych uliczkach. Jeśli przedtem miałam jakieś wątpliwości, czy mój własny ojciec byłby zdolny do zabójstwa, to teraz się ich pozbyłam. Ale czy fakt, iż zgwałcił młodą aktorkę, potwierdzał moje przypuszczenia, czy też raczej stawiał go poza kręgiem podejrzanych? Czy skrzywdzona kobieta, którą zostawiłam w Eagle Rock, była ofiarą w mniejszym stopniu niż Victoria Fisher? I co to oznaczało dla mnie? Czy w dniu, gdy matka schowała mnie w szafie, wszystko się skończyło, czy też zaczęło?

Harrison i Chavez czekali na mnie, gdy weszłam do gabinetu.

- Miałś wyłączony telefon - powiedział Chavez.

- Rozmawiałam z Candice Fleming.

Harrison podał mi kubek kawy i podeszłam do okna. Błękit nieba wyblakł od słońca. Nad górami wisiała cienka warstewka dymu.

- Co właściwie wiemy o Hazzardzie? - zapytałam.

- Wielokrotnie odznaczony, zakończył służbę jako najwyższy stopniem detektyw wydziału kryminalnego - odparł Chavez.

- Możliwe, że świadomie ukrył dowody, które mogły oczyścić mojego ojca z podejrzeń o zabójstwo Victorii Fisher.

- Jesteś tego pewna?

- Tego, że ukrył dowody, owszem. Tego, czy oczyściłyby mojego ojca z podejrzeń, już mniej. Trzeba by dokładniej prześledzić przebieg zdarzeń.

- Jakie dowody? - spytał Chavez.
Odwróciłam się od okna.
- W wieczór, gdy zamordowano Victorię Fisher, mój ojciec zgwałcił Candice Fleming.
Słowa wyraźnie zabolaly Chaveza, który zawsze starał się mnie chronić przed wszelkim złem. Myślę, że gdzieś w głębi nadal pragnął widzieć we mnie tę samą naiwną nowicjuszkę, którą spotkał przed laty.
- Ona ci to powiedziała? Twój ojciec naprawdę to zrobił?
Pokiwałam głową.
- Wierzysz w jej historię?
- Tak.
- Dlaczego?
Popatrzyłam na Harrisona.
- Przekonała mnie do tego wczoraj dziewczynka w niebieskiej sukience.
Widziałam po jego oczach, że zrozumiał. W przeciwieństwie do Chaveza, który pokręcił głową i zapytał:
- Co to znaczy?
- Ojciec zaczął przejawiać w domu agresję, kiedy byłam mała.
Chavez wyglądał jak ktoś, kto właśnie usłyszał o śmierci członka najbliższej rodziny. Zacisnął mocno zęby, a potem usiadł na krawędzi krzesła.
- Nic mi nie jest - zapewniłam.
Usiłował kiwnąć głową, ale był to zaledwie cień ruchu.
- Może się względem niego mylisz.
- Nie wydaje mi się... Ale masz rację, może.
- Dobrze, „może” to już coś - powiedział Chavez. Ujął mnie za rękę i uściskał ją, a potem puścił.
- Chciałabym, żebyś czegoś się dla mnie dowiedział - zwróciłam się do niego.
- Dla ciebie wszystko.
- Detektyw Williams rozmawiał z Candice Fleming wkrótce przed śmiercią. Musiał mieć jakieś informacje o tym, co się stało przed osiemnastu laty. Gdybyśmy wiedzieli, co to było, mogłoby to nam pomóc.
- Podzwonię po ludziach - obiecał, a potem wstał i wyszedł.
Na ścianie mojego gabinetu wisiała pomniejszona wersja mapy Danny'ego. Zbliżyłam się do niej i przez chwilę patrzyłam na rysunek w nadziei, że nagle wszystko stanie się jasne. Bez powodzenia.

- Około południa informatycy z Caltech powinni mieć dla nas poprawiony obraz z hotelowej kamery - oznajmił Harrison.
- Może któryś z nich powinien rzucić okiem także na to - powiedziałam.
- Jakiś specjalista od teorii chaosu - stwierdził Harrison.
- Nie ma tu nic, co mogłoby nam pomóc. To po prostu obraz świata, jaki ma w głowie Danny.
- Wspomniałaś coś o dokładniejszym prześledzeniu przebiegu zdarzeń.
- Mój ojciec zabrał Candice Fleming do swojego mieszkania w Hollywood, a z teatru wyszli około siódmej. Spacer do jego mieszkania zajęły im co najmniej dwadzieścia minut. Potem pili wino i rozmawiali.
- W głowie mignął mi obraz ojca jako nieszczęsnego sprzedawcy rowerów z *Gunsmoke*, lecz nie byłam w stanie zatrzymać go na dłużej. Im więcej się o nim dowiadywałam, tym trudniej było mi wrócić do wizji przeszłości, którą pielęgnowałam w sobie przez lata. - Fleming mogła tam być przez godzinę, dwie, może nawet trzy, nie potrafiła dokładnie tego określić.
- A Victoria Fisher wyszła z restauracji na Melrose około dziewiątej - powiedział Harrison.
- Pokiwałam głową.
- Musiałby się naprawdę śpieszyć.
- Próbowałam przypomnieć sobie raport z sekcji zwłok, ale szczegóły wyleciały mi z głowy.
- Czy na ciele albo ubraniu Victorii Fisher znaleziono ślady nasienia? Harrison zaprzeczył.
- Nie, tylko u pierwszych dwóch ofiar.
- To by się zgadzało, gdyby napastnik niewiele wcześniej zgwałcił inną kobietę.
- Albo po prostu Victoria Fisher mocno się broniła.
- A jeśli powód był inny?
- Zastanawialiśmy się nad tym przez chwilę.
- Zabójcą Victorii i twojego brata nie był ani twój ojciec, ani morderca znad rzeki.
- Tak jak w spiskowej teorii Crossa. - Harrison pokiwał głową. - W dniu swojej śmierci John i Gavin odwiedzili cztery miejsca. Najpierw udali się do domu Candice Fleming. Na koniec spotkali się z Hazzardem. A te dwa pozostałe adresy? Sprawdziłeś je?

- Po wizycie u Fleming pojechali do gmachu sądu okręgowego. Usiłowałam dopasować ten element do układanki, ale bez powodzenia.

Harrison pokiwał głową.

- Ja też nie mogłem tego rozgryźć. Później udali się do Centrum imienia Parkera.

- Na komendę policji.

- Gdzie znajduje się siedziba wydziału kryminalnego.

- Co prowadzi nas z powrotem do Hazzarda.

Podeszłam do drzwi. Z sali odpraw dobiegały odgłosy codziennej policyjnej roboty: stukot klawiszy, szum drukarek, rozmowy telefoniczne. Zamknęłam drzwi i spojrzałam na Harrisona.

- Więc albo mogę uznać, że chronologia zdarzeń się zgadza i mój ojciec jest zabójcą, albo...

Milczeliśmy przez chwilę, osuwając się z tą myślą.

- Albo wielokrotnie odznaczony detektyw najbardziej elitarnego wydziału LAPD i prawdopodobnie ludzie z prokuratury okręgowej są zamieszani w zabójstwo co najmniej trzech osób - powiedział Harrison.

- Czterech, jeśli liczyć Victorię Fisher.

- Razem z zastrzelonym przez policję Hectorem Lopezem, pięciu.

- To ci dopiero wybór.

Dopiero teraz zdaliśmy sobie sprawę z zakresu możliwych implikacji.

- Może byłoby lepiej, gdybyś zostawił tę sprawę - powiedziałam.

- Dla kogo lepiej?

- Ja nie mam wyboru, ale ty owszem.

Harrison spróbował się uśmiechnąć.

- Ktoś musi ci przewijać bandaż.

- Powinniśmy to zachować tylko dla siebie, nikt inny nie może się dowiedzieć.

Harrison potwierdził.

Rozległo się pukanie i do pokoju wszedł Chavez. Zaczął coś mówić, lecz zamilkł, gdy zobaczył nasze miny.

- Coś się stało.

Pokręciłam głową.

- Po prostu analizowaliśmy szczegóły śledztwa.

Chavez zamknął drzwi i oparł się o nie, krzyżując ręce na pierśsiach.

- Weiskanie kitu szefowi może ci zaszkodzić w karierze.
- Uśmiechnęłam się z wysiłkiem.
- Tylko jeśli dam się przyłapać.
- Chavez przeniósł wzrok na Harrisona.
- Dla kogoś, kto nie ma stopnia porucznika, konsekwencje mogą być jeszcze poważniejsze.
 - Zawsze mogę wrócić do rozbijania bomb - odparł Harrison.
- Chavez postanowił odpuścić nam na jakiś czas.
- Przed wstąpieniem do wydziału kryminalnego Williams służył przez siedem lat w sprawach wewnętrznych.
 - W wydziale spraw wewnętrznych LAPD?
 - Jeśli chcesz się dowiedzieć więcej, skontaktuj się z kapitanem Larsonem.
 - Gdzie rezyduje?
 - W centrum.
- Popatrzyłam na Harrisona.
- W Centrum imienia Parkera.

33

Centrum imienia Parkera mieściła się Komenda Departamentu Policji Los Angeles, a sam gmach nazwano na cześć legendarnego komendanta LAPD Williama H. Parkera. Kiedy w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku Parker objął stanowisko, poziom korupcji w policji Los Angeles dorównywał temu w dużych miastach na wschodzie.

Parker stworzył nowoczesny departament, który stawiano za wzór w całym kraju aż do dnia, gdy drobny przestępca Rodney King, znajdując się pod wpływem alkoholu, wyruszył na przejażdżkę swoim samochodem. Pęknięcia, które pojawiły się wtedy w fundamentach Centrum imienia Parkera, były głębsze i poważniejsze od tych w czaszce poturbowanego policyjnymi pałkami Rodneya, i wciąż jeszcze nie w pełni się zasklepiły.

Larson zgodził się na rozmowę, ale nieoficjalnie i nie w swoim biurze. Odpowiadanie na pytania zewnętrznej agencji w sprawie niedawno zamordowanego detektywa nie leżało w jego najlepiej pojętym

zawodowym interesie. Po tym, jak skandale zrujnowały reputację departamentu, funkcjonariusze zabici na służbie byli jedynymi świętymi krowami, których nikt nie ważył się tknąć. Fakt, że to właśnie ja zadawałam pytania, policjantka, której tylko potłuczono żebra, podczas gdy ich detektyw skończył z podejrzanym gardłem, nie zostałyby dobrze przyjęte w żadnym komisariacie policji w mieście.

Kiedy Harrison i ja stanęliśmy przed wejściem do niedużej restauracyjki przy Alpine w Chinatown, dochodziło południe. Gdy weszliśmy do środka, swąd dymu, który od czasu do czasu wyczuwało się jeszcze w podmuchach wiatru, ustąpił intensywnym aromatom imbiru, czosnku i parzonej herbaty. Podobne do ławek w wagonie kolejowym miejsca siedzące były ustawione wzdłuż kiszkowatej sali. Wszyscy klienci wyglądali na Chińczyków. Nie było widać nikogo, kto mógłby się okazać angloamerykańskim gliniarzem. Zbliżył się do nas chudy kelner w czerwonej kamizelce, powiedział coś po kantońsku i żywo gestykulując, pokazał, żebyśmy poszli za nim.

Poprowadził nas przez całą długość sali aż do kuchni, gdzie stojący nad wokami i palący papierosy kucharze oderwali się od swoich zajęć i zaczęli się nam przyglądać. Kelner skinął na drzwi w głębi pomieszczenia i weszliśmy w wąską uliczkę, na której stał zaparkowany nieoznakowany policyjny samochód.

Larson wysiadł z wozu i rozejrzał się dookoła, upewniając się, że nikt go nie śledzi. Wyglądał na faceta, który dawno już przekroczył wiek, gdy służba gdzie indziej niż w wydziale spraw wewnętrznych wchodziła w rachubę. Był łysawy i poruszał się jak człowiek, który nigdy nie jest pewien, czy przy następnym kroku wciąż znajdzie grunt pod stopami. Zaczęłam się przedstawiać, ale mi przerwał.

- Odniosłem wrażenie, że będziemy sami - powiedział, ani razu nie zerknąwszy na Harrisona.

- Jesteśmy sami. To mój partner.

- Nie lubię świadków spotkań, które się nigdy nie odbyły.

Jak większość funkcjonariuszy spraw wewnętrznych nie ufał nikomu, a zwłaszcza innym gliniarzom.

- Kto oprócz Chaveza wie, że tu jesteście?

- Nikt.

- I jest pani pewna, że nikt was nie śledził?

Kiwnęłam głową.

- Chce mnie pani zapytać o Williamsa?

Drzwi na zapleczu restauracji otworzyły się, jeden z kelnerów wychylił głowę i powiedział coś po chińsku do Larsona. Ten pokręcił głową, a kelner wrócił do środka.

- Sytuacja wygląda tak - zwrócił się do mnie Larson. - Jest pani tutaj tylko i wyłącznie dzięki Chavezowi. Komendant mówił mi, że nie ponosi pani winy za śmierć Williamsa. Przyjmuję to do wiadomości, ale mogę pani poświęcić tylko tyle czasu, ile będzie konieczne. Pani zadaje mi pytanie, ja odpowiadam, ale nic ponad to, żadnych podpowiedzi z mojej strony.

- Co to? Gra w dwadzieścia pytań? - powiedziałam.

- Takie są moje warunki. Albo je pani przyjmuje, albo się rozstajemy.

Larson zerknął przez ramię na otwarte drzwiczki samochodu, jakby miał się za chwilę ulotnić.

- Pracował pan z Williamsem? - zapytałam.

- Nadzorowałem jego pracę przez cztery lata, zanim przeniósł się do wydziału kryminalnego.

- Czy Williams zgłaszał się z jakimiś pytaniami do spraw wewnętrznych w dniu swojej śmierci albo dzień wcześniej? - kontynuowałam.

Larson tylko przez moment dał po sobie poznać zaskoczenie.

- Tak, w dniu, gdy został zamordowany - odparł.

- Czy miało to coś wspólnego z dochodzeniem w sprawie mordercy znad rzeki sprzed osiemnastu lat?

Larson pokręcił głową.

- Nie.

- A z przesłuchaniem ofiary gwałtu o nazwisku Fleming albo z podejrzanym o nazwisku Manning?

Znów zaprzeczył i zerknął na zegarek.

- Coś jeszcze?

- Czy w takim razie pytał o detektywa Hazzarda z wydziału kryminalnego?

Larson popatrzył na mnie z mieszaniną zaskoczenia i niepokoju.

- Skąd pani wie?

- Czy pytał o Hazzarda? - powtórzyłam.

- Tak, o czasy, gdy służył w patrolu, zanim awansował na detektywa.

- O jakie śledztwo chodziło?

- O użycie przez funkcjonariusza siły ze skutkiem śmiertelnym.

- Kto jeszcze był w to zamieszany?

- Jego partner z patrolu, ale tylko jako świadek.

- Cross - powiedziałam.

- Tak - potwierdził Larson. - To było rutynowe dochodzenie. Ustalono, że Hazzard działał zgodnie z regulaminem określającym użycie siły przez policjanta.

- Czy Williams był kiedykolwiek zaangażowany w dochodzenie w sprawie Hazzarda, kiedy jeszcze służył w wydziale spraw wewnętrznych?

- Myślę, że to by było na tyle - oznajmił Larson, ruszając do samochodu.

- Czego się pan boi? - zapytałam.

Larson się zatrzymał.

- Może pani zgadywać.

Harrison posłał mi przelotne spojrzenie.

- Wydziału kryminalnego?

Larson skrzywił się na sam dźwięk tej nazwy.

- Jak pani myśli, pani porucznik, czym tak naprawdę jest LAPD? Drużyną harcercską? To klan, w którym obowiązują więzi plemienne. A w tym klanie są mniejsze kliki, jedne potężne, inne niebezpieczne i jeszcze inne, które są i potężne, i niebezpieczne. A ja jestem tylko plastrem, którym departament zakleja rany, żeby obywatele lepiej się czuli. To wszystko. Wykonuję swoją robotę, wracam do domu, wypijam drinka, a potem wstaję rano i robię znowu to samo. Proszę uznać to, co powiedziałem, za darmową poradę zawodową.

- Czy adwokat nazwiskiem Gavin zwrócił się o te same informacje co Williams, tylko że dzień wcześniej?

Wyraz twarzy Larsona wystarczył mi za całą odpowiedź.

- Czy istnieje możliwość zobaczenia raportu? - spytałam.

- Jeśli zwróci się pani o to oficjalnymi kanałami, to sądzę, że przekona się pani, że ten raport już nie istnieje. - Niewesoła mina Larsona stała się jeszcze bardziej posepna. - Proszę pozdrowić ode mnie Chaveza. I niech się pani ze mną więcej nie kontaktuje.

Wsiadł do wozu i odjechał, nie oglądając się za siebie. Harrison i ja staliśmy przez chwilę w milczeniu, zastanawiając się nad tym, co powiedział.

- Co wewnętrzne dochodzenie sprzed dwudziestu lat, w którym Hazzarda oczyszczono z zarzutów, ma wspólnego ze śmiercią Victorii Fisher, twoim ojcem czy trzema zabójstwami, dokonanyimi wiele lat później?

Westchnęłam.

- Może wszystko.

Zawróciliśmy do restauracji i wyszliśmy z niej frontowymi drzwiami. Obok przejechał powoli czarno-biały radiowóz LAPD. Kierowca z okularami przeciwsłonecznymi na nosie popatrzył w naszą stronę, a potem spojrział prosto przed siebie i ruszył dalej.

- Na co ci to wyglądało? - zapytał Harrison.

Radiowóz zatrzymał się na sekundę, kiedy skręcał za róg, a potem zniknął nam z oczu.

- Na wielki wykrzyknik.

Bez względu na to, co wiedzieliśmy, wchodząc do restauracji, wyszliśmy z niej z zupełnie innym zestawem pytań.

Ze sklepu rzeźnika po przeciwnej stronie ulicy wyszedł mężczyzna niosący dwa ubite kurczaki, które wciąż słabowicie machały skrzydłami.

- Sądzisz, że te kurczaki wiedzą coś, czego my nie wiemy? - powiedział Harrison.

- Dokąd potem pojechali Gavin i mój brat? - zapytałam.

- Do gmachu sądu.

34

Aby dotrzeć do Sądu Okręgowego Los Angeles, wystarczyło przejechać przez Broadway na ulicę Waltera Temple'a 210. Zaparkowaliśmy w miejscu zarezerwowanym dla pojazdów policji i przez chwilę patrzyliśmy na szeroki strumień przysięgłych, którzy wracali do gmachu po przerwie na lunch. W okręgu, którego jurysdykcja obejmowała ludność o liczebności przekraczającej populację czterdziestu dwóch z pięćdziesięciu amerykańskich stanów, siedziba sądu wyglądała, jakby pękała w szwach.

- Wciąż nie rozumiem, dlaczego pojechali do sądu - odezwał się Harrison.

Wcześniej nie przyszło mi to do głowy, lecz teraz odpowiedź wydawała się aż nazbyt oczywista.

- W tym budynku mieści się nie tylko sąd - odrzekłam i wysiadłam z samochodu. - Ale i siedziba prokuratury okręgowej.

- Gdzie pracowała Yictoria Fisher - dopowiedział Harrison.

- Jeśli Gavin i mój brat przeszli przez te drzwi, musieli powiedzieć ochronie, dokąd idą.

W holu setki przysięgłych czekały na swoją kolej, żeby przejść przez jedną z bramek wykrywaczy metalu. Dalej nie mógł się przedostać nikt, kto nie miał przepustki, odznaki sędziego przysięgłego albo służbowej legitymacji. Okazaliśmy strażnikowi odznaki, a ten skierował nas do rzędu wind zarezerwowanych do użytku osób, które nie wybierały się do sądu.

Jako że gmach należał do hrabstwa, ochronę zapewniało biuro szeryfa, choć w środku nie brakowało umundurowanych funkcjonariuszy i detektywów LAPD w drodze na salę sądową albo do prokuratury i zdawało się, że każdy z nich zerkał w moją stronę, jakbym miała na plecach tarczę strzelniczą. Wyszliśmy z windy na osiemnastym piętrze i podeszliśmy do recepcji.

Jeszcze raz okazaliśmy odznaki, a potem podaliśmy nazwiska mojego brata i Gavina oraz datę ich wizyty. Urzędniczka wklepała dane do komputera i po chwili otrzymała informację.

- Zgłosili się do sali osiemnaście tysięcy sto dwadzieścia siedem.
- Czyli? - spytałam.
- Do Centralnego Biura Administracji.
- Czy pracownicy departamentu muszą się tu wpisywać?
- Nie, tylko goście.
- Czy na liście z tamtego dnia albo z dnia następnego znajduje się nazwisko Hazzard? - zapytałam.

Recepcjonistka przejrzała listę nazwisk i pokręciła głową.

- Nic takiego tu nie mam.

Przejście korytarzem do biura było jak wpadnięcie do króliczej nory, gdzie gnieźdzą się najgorsze koszmary. W tym pokoju przestępstwa na nieletnich, w następnym bandytyzm, a w ostatnim po prawej przestępstwa na tle seksualnym.

Weszliśmy do środka i natychmiast każdy w polu widzenia rozpoznał w nas gliniarzy. Poprosiliśmy recepcjonistkę o informację, a ta sprawdziła w komputerze wykaz wizyt.

- Nie przyszli się z nikim spotkać, poprosili tylko o udostępnienie dokumentów - oznajmiła.

- Z dochodzenia w sprawie użycia przemocy przez policjanta?

Pokręciła głową.

- Dokumenty dotyczące poszczególnych dochodzeń są przechowywane w archiwum danego departamentu.

- A może nam pani powiedzieć, o jakie dokumenty prosili?

Przytaknęła i wcisnęła kilka klawiszy.

- Chodziło o akta osobowe niejakiej Victorii Fisher.

- Chciałabym obejrzeć te dokumenty.

Recepcjonistka przekazała moją prośbę dalej i po paru minutach do recepcji weszła pięćdziesięciokilkuletnia Murzynka o nazwisku Robinson.

- Przykro mi, ale dokumenty, o które pani prosi, nie są już dostępne.

- Słucham? - zapytałam, myśląc, że się przesłyszałam.

- Akta nie są już dostępne.

- Jak to „nie są dostępne”?

- Tak stare dokumenty są przechowywane tylko na papierze. Więc, między nami, kiedy mówimy, że są niedostępne, to znaczy, że nie możemy ich znaleźć: na przykład dawno temu przeniesiono je do innego archiwum, zostały odłożone na niewłaściwą półkę albo Bóg raczy wiedzieć co jeszcze.

- Sześć dni temu zamówiono te same akta. Czy wtedy były dostępne?

- Mogę sprawdzić w wykazie sporządzonych duplikatów, czy zrobiono kopię.

Podeszła do innego biurka i po chwili wróciła ze zdziwioną miną.

- Wygląda na to, że rzeczywiście sporządzono kopię: tylko jedną stronę. Na żądanie niejakiego Gavina. Akta musiano przenieść w ciągu ostatnich kilku dni - powiedziała.

- A dokąd? - spytałam.

Uśmiechnęła się jak staruszka, której wnuki wciąż zadają to samo pytanie.

- To zależy od powodu, dla którego zostały przeniesione - odparła.

- A pani nie dysponuje takimi informacjami.

Uśmiechnęła się szeroko.

- Kochanie, kiedy czegoś nie wiem, po prostu zakładam, że musiał być jakiś powód, i przestaję zaprzętać sobie tym głowę.

- Dobra rada.

Robinson oddaliła się, a ja podeszłam znowu do recepcjonistki.

- Jaki okres obejmuje baza danych, z której można by się dowiedzieć, kto zwracał się z prośbą o udostępnienie dokumentów?

- Przeszliśmy na ten system operacyjny jakieś cztery lata temu. Dane z poprzednich pięciu lat powinny być na którymś z dysków, a wszystkie wcześniejsze są na papierze.

- Czy mogłaby pani sprawdzić, czy ktokolwiek zamawiał te akta przez cały ten czas?

Kiwnęła głową, nacisnęła kilka klawiszy i zaczęła przeglądać informacje. Po przeczytaniu paru stron oderwała wzrok od ekranu.

- Około półtora roku temu z tą samą prośbą zwrócił się inny obywatel.

- Jak miał na nazwisko?

- Fisher - odparła.

Popatrzyłam na Harrisona.

- Danny.

Podziękowałam recepcjonistce i wyszliśmy na korytarz, próbując dopasować nowe elementy układanki do tego, co już wiedzieliśmy.

- Chłopak, który pragnie odkryć tajemnicę morderstwa matki, prosi o udostępnienie jej teczek personalnej. Półtora roku później z tą samą prośbą zwracają się adwokat i syn człowieka, którego o to morderstwo podejrzewano.

Z pokoju za nami wyszedł detektyw, który oparł się o ścianę i zmierzwił nas wzrokiem.

- Ale dlaczego zamówili tylko jedną kopię? - spytał Harrison - Tylko jedną kartkę papieru?

Popatrzyliśmy na siebie.

- Faks.

Obejrzałam się przez ramię, detektywa już nie było.

- Tak jest w mojej głowie - wyszeptałam, a potem popatrzyłam na Harrisona. - Pamiętasz definicję chorobliwego powtarzania tej samej czynności?

- Osoba z zaburzeniem tego typu powtarza wciąż tę samą czynność, spodziewając się innego rezultatu.

Pokiwałam głową i znów obejrzałam się za siebie.

- Tak samo można też zdefiniować nadzieję.

Wyciągnęłam komórkę i wybrałam numer do biura Crossa. Po dwóch sygnałach odebrała telefonistka.

- Palmdale, pion dochodzeniowy. Z kim połączyć?

- Ze śledczym Crossem - powiedziałam.

- Przykro mi, pana Crossa nie ma w tym tygodniu w biurze.

- Jest pani pewna?

- Tak. Czy chciałaby pani porozmawiać z innym śledczym albo zostawić wiadomość z numerem telefonu?

Rozłączyłam się.

- Crossa przez cały tydzień nie ma w pracy.
- Dziwne, biorąc pod uwagę, że widziałas się z nim zaledwie dwa dni temu - zauważył Harrison.

Zza rogu dobiegły odgłosy kroków odbijających się echem od marmurowej posadzki. Po chwili zaległa cisza.

- Jeśli paranoję się sieje - powiedziałam - to mam wrażenie, że właśnie trafiliśmy na jedno z pól uprawnych.

Kiedy mineliśmy recepcję i poszliśmy w stronę wind, zauważyłam, jak urzędniczka podniosła do ucha słuchawkę. Na drugim piętrze winda zatrzymała się i do środka wsiadło dwóch detektywów w cywilu, którzy odwrócili się do nas plecami, blokując przejście.

Kiedy zjechaliśmy na parter, jeden z detektywów odchylił połę marynarki, ukazując pistolet przy pasie. Drzwi rozsunęły się i obaj stali w przejściu tak długo, że odczułam niepokój. Potem jak gdyby nigdy nic wysiedli.

Przed gmachem znowu wiał pustynny wiatr. Kawałki papieru i foliowe torebki sunęły wzdłuż krawężnika, jakby porwał je nurt rzeki.

Kiedy szliśmy do samochodu, przypomniało mi się, gdzie widziałam wcześniej jednego z detektywów.

- Oficer prowadzący akcję przeciwko Lopezowi... myślę, że właśnie jechał z nami windą.

- Pearce - rzucił Harrison.

- Zabawne, że znalazł się akurat w tej samej windzie.

Harrison skupił uwagę na czymś po drugiej stronie ulicy.

- Robi się coraz zabawniej - oznajmił.

Spojrzałam tam, gdzie on. Chodnik był pełen ludzi, którzy wyszli z sądu i wracali do swoich samochodów.

- Dlaczego? - zapytałam.

Harrison potrząsnął głową.

- Wydaje mi się, że właśnie zobaczyłem Crossa.

35

Danny został przeniesiony ze szpitala w Pasadenie na zamknięty oddział dla psychicznie chorych szpitala powiatowego i kliniki USC. Kiedy

zaparkuje się przed gmachem, z łatwością można zrozumieć, jak to się stało, że doświadczona detektyw Andi James straciła tu z oczu swojego brata,

Kompleks szpitala powiatowego i USC jest dla służby zdrowia tym, czym Barnum & Bailey dla cyrku. Wybudowano go jeszcze w czasach, gdy nakładano, że jeden ośrodek medyczny może zapewnić opiekę lekarską całemu Los Angeles. Jego olbrzymie białe gmachy na wschód od centrum miasta góruje nad całą okolicą, a ogromne oddziały mają w sobie coś z atmosfery powieści Dickensa. Codziennie leczy się tu prawie tylu pacjentów, ilu w największym szpitalu w kraju. Jedno na każde dwadzieścia siedmioro dzieci, które rodzą się w Stanach Zjednoczonych przychodzi na świat właśnie tutaj. Specjalnością ostrego dyżuru jest leczenie ran postrzałowych.

W środku ludzie czekający na przyjęcie przypominali tłum na jednym z bazarów we wschodnim Los Angeles. Mówiło się tu w kilkunastu różnych językach. Starcy w kowbojskich kapeluszach i na wózkach inwalidzkich, młode ciężarne kobiety, które zaczęły rodzić, dzieci z wysoką gorączką - wszyscy czekali na swoją kolej za ofiarami strzelanin, wypadków samochodowych i zawałów serca.

W przeciwieństwie do chaosu wokół, na oddziale dla psychicznie chorych panował spokój. A przynajmniej ten rodzaj spokoju, jaki zapewniają farmaceutyki. Zostawiliśmy broń u funkcjonariusza biura szeryfa w poczekalni, a potem zaprowadzono nas na oddział ogólny, który był po prostu dużą salą z łózkami ustawionymi przy ścianie. Kilku pacjentów gapiło się w ustawiony w kącie telewizor z wyłączonym dźwiękiem, inni siedzieli albo leżeli bez ruchu na swoich łózkach. Paru przechadzało się w tę i z powrotem, próbując zabić nudę.

Salowy wpuścił nas na oddział zamknięty i skierował do dyżurki. W korytarzu minęła nas pielęgniarka, która zaglądała przez okienka w drzwiach do każdego z pokoi. Rezydent pełniący dyżur wyszedł do nas do recepcji i się przedstawił. Kiedy szliśmy do pokoju Danny'ego, zaczął omawiać jego obecny stan.

- Zdarzają mu się momenty jasności umysłu, ale nie trwają zwykle dłużej niż kilka minut, a potem powraca skrajna paranoja granicząca z całkowitą utratą poczucia rzeczywistości.

- Nie bez przyczyny - zauważyłam.

Zatrzymaliśmy się przed drzwiami.

- Ostatniej nocy, około drugiej, był przekonany, że w ścianach są oczy, które go obserwują. Musieliśmy go skrepować. Wypróbujemy nowe metody leczenia, które mam nadzieję, poprawiają jego stan.

- Czy Danny wspominał o aniele albo ciemnym aniele?

Lekarz pokręcił głową.

- W ogóle z nami nie rozmawia. Nie sądzę, żeby uważał nas za przyjaciół.

- Jeśli widzi w panu wroga, to wolelibyśmy zobaczyć się z nim sami.

Lekarz wyraził swą zgodę.

- Możecie spróbować, ale będę zaskoczony, jeśli zacznie z wami rozmawiać.

Otworzył drzwi i wszedł z Harrisonem do środka. Pokój był niewiele większy od więziennej celi. Ściany pomalowano mdłym odcieniem żółci. Wszystko, czym pacjent mógłby zrobić krzywdę sobie lub innym, zostało usunięte.

Danny miał na sobie biały szpitalny ubiór i stał przy nieotwierającym się okienku z widokiem na zachód i wieżowce śródmieścia. Kiedy lekarz zamknął drzwi, chłopak odwrócił się i popatrzył na nas.

- Pamiętasz mnie, Danny? - zapytałam.

Spojrzał na mnie z obojętną miną.

- Jestem wariatem, a nie głupkiem. Pamiętam panią.

Przeniósł wzrok na Harrisona.

- Ale jego nie znam.

- To mój policyjny partner, Harrison.

- Skąd mam to wiedzieć?

- Chciałbyś zobaczyć moją legitymację? - spytał Harrison.

- Każdy może sobie zrobić fałszywkę.

- Jeśli wolisz, mogę poczekać na zewnątrz.

Danny uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Może pan zostać, nie ma sprawy.

- Możemy usiąść? - zapytałam.

- *Mi casa es su casa.*

Kiedy zbliżyliśmy się i usiedliśmy na łóżku, zauważyłam, że przy każdym naszym kroku Danny robił dokładnie pół kroku w tył.

- Chciałabym porozmawiać o twojej mapie i kilku innych rzeczach.

- Rozmawiała pani z moją babką, prawda?
- Nie mogłam porozmawiać z tobą, bo nie było cię w domu.
- Moja babcia jest stara. Myślę, że ma alzheimera.
- Półtora roku temu poszedłeś do archiwum prokuratury okręgowej i poprosiłeś o udostępnienie teczki personalnej swojej matki.
- Nie, to nieprawda - odparł, robiąc krok w tył. - Nie wiem, o czym pani mówi.
- Poszedłeś do gmachu sądu, wpisałeś się do rejestru i otrzymałeś akta. Pamiętasz? To miało coś wspólnego ze starym policyjnym dochodzeniem sprzed dwudziestu lat.
- Nie wiem, o czym pani mówi. Myślę, że powinna pani pójść do lekarza.
- Skrzyżował ręce na piersi i oparł się plecami o ścianę.
- Muszę się dowiedzieć, co było w tych aktach. To bardzo ważne.
- Dlaczego?
- Ponieważ człowiek, który zamordował twoją matkę, zabił również mojego brata.
- Danny wypuścił gwałtownie powietrze, a potem popatrzył na mnie. Miałam wrażenie, jakby zmętniało od psychotropów czy odzyskała blask.
- Więc jest pani taka, jak ja? - zapytał.
- Na chwilę znalazłam się z powrotem w mrocznej szafie i wsłuchiwałam się, jak ojciec przesuwa wieszaki na drążku.
- Tak, jestem taka, jak ty.
- Ma pani sny?
- Potwierdziłam. Opuścił ręce do boków i zamknął oczy.
- Wszystko pamiętam - wyszeptał.
- Uniósł powieki, oczy były pełne łez.
- Pamiętam wieczór, kiedy nie wróciła do domu. Pozwolili mi siedzieć przy oknie i czekać, aż zobaczę światła jej samochodu wjeżdżającego na podjazd, tylko że nigdy się nie pojawiły. Kiedy nie zjawiała się do rana, nikt nic nie mówił, aż zadzwonił telefon i dziadek odebrał po drugim sygnale. Właśnie wtedy zaczęły się sekrety: ludzie rozmawiali przy mnie szeptem, jakby nie było mnie w pokoju. Ale ja wszystko słyszałem, tak jak teraz.
- Pamiętasz to, Danny?
- Mówił bardzo cicho.
- Pamiętam. Było tam napisane, że wszyscy padli.

- Kto padł?
 Oczy Danny'ego znów zaszyły mgłą, sprawiał wrażenie, jakby nie usłyszał pytania. Spojrzałam na Harrisona i pokręciłam głową.

- Wszyscy padli na ziemię, tylko jeden nie - upierał się Danny.
- Kto nie padł na ziemię, Danny?
- Jeden z nich, jeden z nich nie chciał paść.

Harrison starał się coś z tego zrozumieć, ale bez powodzenia.

- Musisz powiedzieć nam więcej, Danny. To nie wystarczy - nalegałam.
- Wszyscy mieli paść na ziemię, ale ten jeden nie chciał.
- Dlaczego? Kto? - zapytałam.
- Przecież powiedziałem: on, on, on!

Harrison potrząsnął niecierpliwie głową.

- Widziałem to - powiedział Danny.
- Znasz nazwisko Hazzard? Czy on był przy tym, jak tamci nie chcieli paść na ziemię?
- Hazzard jest policjantem.
- Zgadza się.

Danny popatrzył na mnie, usiłując wyłowić z chaosu odpowiednią informację.

- Hazzard? Pamiętam to nazwisko. Szukał zabójcy mojej matki... Wy też jesteście z policji.

Słowa zdawały się go męczyć i powoli osunął się na podłogę. Podeszłam i uklękłam przed nim, próbując wyrwać go z otumanienia.

- Potrzebuję twojej pomocy, Danny.
- Pamięta pani wszystko, pani porucznik? - spytał Danny.

Odgłos kija golfowego, który uderzył mojego ojca, wstrząsnął mną jak huk pioruna.

- Prawie wszystko - odparłam.

Złapał się za głowę, jakby wspomnienia rozsadały mu czaszkę.

- Ja też.

Uciekł wzrokiem w bok i miałam wrażenie, że zaraz stracę z nim wszelki kontakt.

- Co się stało z tymi aktami, Danny? - spytałam, próbując przywołać go do rzeczywistości.
- Nie znajdzie ich pani.
- Dlaczego ich nie znajdę?
- Powiedziałem, pamiętam wszystko tak, jak pani.

- Powiedz mi, gdzie one są - poprosiłam.

Wskazał własną głowę.

- Tutaj. Są tutaj.

- W twojej głowie? - dopytywałam się.

- Tak... właśnie tam.

Przez chwilę siedział bez ruchu, tępo wodząc wzrokiem po pokoju. Pomogliśmy mu podejść do łóżka i się położyć. Mięśnie jego twarzy rozluźniły się i mogłam teraz dostrzec w nim pięcioletniego chłopca czekającego przy oknie na powrót matki. Poglądziłam go delikatnie po czole.

- Ona bardzo cię kochała - powiedziałam, ale leki zabrały go już daleko od ciasnego, młdożółtego pokoiku i smutnych wspomnień.

Kiedy opuściliśmy mury kliniki, słońce chyliło się już ku zachodowi. Idąc do samochodu, zauważyłam duży słup dymu buchający w niebo nad zachodnim Los Angeles i rozszerzający się u góry na kształt kowadła.

W czasie, gdy szliśmy ulicą do samochodu, dym przybrał pomarańczowoczerwoną barwę zachodzącego słońca. W oddali słychać było wycie syren.

- Danny widział te akta. „Wszyscy padli na ziemię” nie brzmi zbyt konkretnie, ale widać, że próbuje nam powiedzieć coś, czego sam nie potrafi zrozumieć.

Harrison pokiwał głową.

- Ale co?

Czarno-biały radiowóz LAPD wyjechał zza rogu i minął nas na pełnym gazie.

- Możemy chyba włożyć między bajki teorię Crossa, że doszło do rozległego spisku, który sięga szczytów władzy w tym mieście - powiedziałam. - Dwadzieścia lat temu żaden glina nie uznałby winnym przekroczenia uprawnień innego policjanta, jeżeli miałby inny wybór. Wystarczało, że funkcjonariusze wydziału spraw wewnętrznych nie wnikali za bardzo w sprawę.

- Ale ktoś to jednak zrobił.

Pokiwałam głową.

- Ambitna studentka prawa pracująca w prokuraturze okręgowej, Victoria Fisher. Odkryła coś, czego nie powinna, i schowała to w jedy-
nym miejscu, jakie przyszło jej do głowy, aż do momentu, gdy postanowiłyby, co z tym fantem dalej zrobić.

- I dokument pozostał w ukryciu, aż znaleźli go Danny, Gavin i twój brat - powiedział Harrison - Bez niego nie wiemy, dokąd to wszystko prowadzi.

- A nie znajdziemy go bez pomocy Danny'ego.

Spojrzałam jeszcze raz na szpital. Odbijające się w oknach refleksy wywoływały złudzenie, jakby w środku szalał pożar. Zabrzęczał pager. Harrison zdjął go z paska i przeczytał wiadomość.

- Informatycy z Caltechu poprawili obraz wnętrza samochodu.

36

Słońce zdążyło już zająć, gdy dotarliśmy na campus Caltech w Pasadenie. Dym, który wcześniej nadał niebu barwę krwi, wciąż wisiał w powietrzu, a wiatr niósł drobiny popiołu i sadzy, które zbierały mi się w kącikach oczu.

Kiedy zaparkowaliśmy przed budynkiem wydziału informatycznego, zauważyłam, że o jedną przecznicę za nami zatrzymał się szary sedan.

- Co się dzieje? - zapytał Harrison.

Jeszcze raz zerknęłam we wsteczne lusterko. Postać w samochodzie siedziała nieruchomo. Kierowca nie zamierzał wysiąść.

- Chyba ktoś nas śledzi.

Harrison popatrzył w boczne lusterko.

- Musimy być na dobrym tropie.

Otworzyłam drzwiczki i wysiadłam, spoglądając na szarego sedana.

- To, czy jest dobry, zależy od punktu widzenia.

Informatyk, który pracował nad obróbką obrazu z garażowej kamery hotelu, był doktorantem i wyglądał na dwadzieścia parę lat. Miał na sobie standardowy strój szkolnego geniusza komputerowego: T-shirt z hasłem *Byte me*, szorty i sandały. Wyjaśnił, że program, którym się posłużył, został pierwotnie napisany na potrzeby satelitów szpiegowskich, a potem zaadaptowany do obróbki obrazów przestrzeni kosmicznej z teleskopu Hubble'a.

Gdy obraz samochodu zaczął się pojawiać na ekranie, Harrison próbował mi wytłumaczyć, ile ma pikseli i jaka technologia została zastosowana, ale niewiele z tego rozumiałam.

- Tak wyglądał pierwszy wygenerowany obraz - powiedział chłopak.
Spojrzałam na zdjęcie samochodu mijającego wjazd do garażu.
- Interesuje mnie przednia szyba. Mieliśmy wrażenie, że coś w niej widać - odparłam.

Chłopak wcisnął parę klawiszy.

- Też tak z początku myślałem, ale uzyskałem tylko to.

Wcisnął kolejne klawisze i cienie zaczęły się rozjaśniać.

- Niczego nie widzę - stwierdziłam.

Młody informatyk kiwnął głową.

- Bo w tym cieniu nic nie ma. Szukamy nie tam, gdzie trzeba.

Stuknęła w kilka klawiszy i obraz znowu zaczął nabierać kontrastu.

- To, co widzieliście, nie znajdowało się w cieniu, tylko na szybie.

- Odblask?

Potaknęła.

- Myślę, że właśnie tego szukaliście - powiedział. Popatrzył po naszych twarzach i uśmiechnął się pod nosem. - Udało mi się coś rozwiązać, no nie?

Spojrzałam w ekran, usiłując zrozumieć, co właściwie znaleźliśmy i jak to dopasować do układanki, która teraz sięgała przeszłości sprzed dwudziestu lat. Wskazałam palcem plamę po prawej stronie przedniej szyby.

- Co to takiego?

Chłopak starał się, jak mógł, by ukryć podniecenie, że rozwiązał Bóg wie jaki problem.

- No, to jest naprawdę super - powiedział.

Pomanipulował myszką i wcisnął parę klawiszy, aż obraz na ekranie przesunął się i stopniowo nabrał ostrości. Z ciemności wyłonił się wyraźny kształt dłoni. Między palcami widać było niezapalonego papierosa.

Wpatrywałam się w nią przez chwilę, wyobrażając sobie, jak ta sama ręka wzięła pistolet i przystawiła go mojemu bratu do głowy.

- Co ci mówi ten papieros? - spytałam Harrisona.

- Kierowca jest zdenerwowany. Chce zapalić, żeby się uspokoić.

Skupiłam uwagę na palcach. Papieros zwisał między nimi luźno jak w dłoni osoby, która w drugiej ręce trzyma drinka.

- Mnie to nie wygląda na zdenerwowanie - odparłam.

Harrison pokiwał potakująco głową. Chłopak poprawił się na siedzeniu i odchrząknął, żeby zwrócić na siebie uwagę.

- Widzi pan coś innego? - spytałam.
Popatrzył na ekran, jakby analizował obraz odległej planety.
- To tylko taki pomysł.
- Tak?
- Papieros jest niezapalony. Kiedy mój ojciec rzucał palenie, potrafił całymi godzinami trzymać tak papierosa.
Harrison spojrział na mnie zaskoczony.
- Pamiętasz nasze pierwsze spotkanie z Hazzardem? Jak stał przed domem i patrzył na zbliżający się pożar?
- Trzymał w ręku papierosa - powiedziałam.
Harrison pokiwał głową.
- Był niezapalony.
- Może pan skopiować to na dysk? - zapytałam i wstałam z krzesła.
Chłopak kiwnął głową i wsunął dysk do stacji.
- To sprawa o morderstwo, prawda? - zainteresował się.
- Dlaczego pan tak mówi? - spytałam.
Popatrzył na nas i się uśmiechnął. Odniosłam dziwne wrażenie, jakby rozkładał mnie na części pierwsze, a potem znowu składał jak równanie matematyczne.
- Czy to nie oczywiste? - zauważył.
W jego oczach mignął błysk zrozumienia, jakiego nie spodziewałabym się u człowieka w tak młodym wieku. Potem odwrócił się do komputera.
„Oczywiste”, pomyślałam w duchu.
Nieśliśmy ze sobą śmierć, było ją widać w naszych oczach, w naszych ruchach, języku, a nawet marzeniach. A im bardziej staraliśmy się to ukryć, tym bardziej stawało się oczywiste.
- Rzeczywiście - przyznałam. - Dokładnie tak.

37

Po wyjściu z budynku wsiedliśmy z Harrisonem do samochodu i nie odzywaliśmy się przez chwilę, choć myśleliśmy o tym samym. Mojego brata, detektywa Williamsa i Dane Courson zabił gliniarz. Ten sam, który

wrabiał mojego ojca w serię morderstw, przez niego niepopelnionych. A jedynym dowodem, który mieliśmy, był nieistniejący już dokument i obraz niezapalonego papierosa zarejestrowany przez hotelową kamerę.

- Co zamierzasz teraz zrobić? - spytał w końcu Harrison.

- Jeśli Hazzard nie przyzna się dobrowolnie do winy?

We wstecznym lusterku zobaczyłam, jak ten sam ciemny sedan, który nas wcześniej śledził, zjechał z krawężnika i ruszył w naszą stronę.

- Zdaje się, że uderzyliśmy w czuły punkt - powiedziałam.

Opuściłam rękę i położyłam dłoń na kolbie pistoletu, gdy sedan podjechał i zatrzymał się równoległe do nas. Przyciemniona boczna szyba opuściła się powoli i zobaczyłam za kierownicą Crossa.

- Nie lubię, jak się mnie śledzi - rzuciłam.

- Jesteśmy po tej samej stronie, pani porucznik. Po prostu osłaniam pani tyły. Musimy porozmawiać.

- Coś nie tak z telefonem?

Cross pokiwał głową.

- Żeby pani wiedziała. Przed nami po lewej jest parking garażowy. Proszę za mną.

Zerknęłam na Harrisona, a potem zastosowałam się do polecenia i podążyłam za Crossem do ciemnego garażu.

Wjechaliśmy na trzeci poziom i zaparkowaliśmy przy Crossie. Prawie wszystkie miejsca były puste. Cross przesiadł się na fotel pasażera i otworzył okno.

- Był pan przed sądem - stwierdziłam.

- Nie ja jeden.

- LAPD.

Pokiwał głową.

- Przesiadanie na parkingach nie jest moim hobby.

Jego twarz była zmięta ze zmęczenia, włosy pod czapką bejsbolową posklejane od potu.

- Powie mi pani, o co w tym wszystkim chodzi, a ja potwierdzę, czy jest pani na właściwym tropie - zaproponował.

- Wydział spraw wewnętrznych prowadził przeciw Hazzardowi dochodzenie w sprawie zabójstwa podejrzanego, gdy obaj służyliście w patrolu. Był pan jego partnerem.

Cross pokiwał głową.

- Oczyszczono go z zarzutów.

- Czy widział pan kiedyś ostateczny raport? - spytałam.

- Nie, byłem żółtodziobem. W tamtych czasach robiło się swoją robotę i trzymało gębę na kłódkę.

- Został pan przesłuchany w charakterze świadka.

- Dano mi do podpisania oświadczenie. Nawet go nie przeczytałem.

- Co się stało?

- Nie wiem, nie było mnie przy tym.

- Myślę, że Victoria Fisher znalazła dokument, który miał coś wspólnego z tamtym śledztwem.

Pokiwał głową.

- Musimy go zobaczyć.

Cross ledwo stłumił nerwowy śmiech.

- Zniknął, abrakadabra, rozpląnął się w powietrzu. Nigdy nie istniał. Nic z tego, może pani o nim zapomnieć.

Przyglądałam mu się przez chwilę.

- Czego nam pan jeszcze nie powiedział?

Cross westchnął.

- Myślę, że byłoby lepiej, gdyby pani zostawiła tę sprawę. Nic nie może pani zrobić.

- Dlaczego?

- Hazzard zabił Victorię Fisher, a potem zrzucił winę na pani ojca i dopilnował, żeby Manning zniknął i nigdy go nie aresztowano. Nie ma aresztowania, nie ma pytań, sprawa się kończy.

- Twierdził, że zwłoki bezdomnego znalezione na torach należały do mojego ojca?

Cross przytaknął.

- Śledztwo się skończyło, niczego nie dało się udowodnić. Zbrodnia doskonała.

- Tylko że nie do końca - powiedziałam.

- Dlaczego?

- Thomas Manning nie zabił Victorii Fisher.

- Bez dowodu to nie ma znaczenia. - Patrzył na mnie przez dłuższą chwilę. - Co pani wie?

- Thomas Manning nie mógł zabić Victorii Fisher, ponieważ w czasie jej śmierci był w swoim mieszkaniu i gwałcił młodą aktorkę.

Cross spojrział na mnie zszokowany, a potem opadł na oparcie fotela.

- Nie mógł być w dwóch miejscach naraz.

- Właśnie.

- Jest pani pewna?
- Rozmawiałam z nią.
Cross wyprężył się i pochylił do przodu.
- Więc tylko jedna osoba mogła zabić pani brata.
Pokiwałam głową.
- Hazzard.
- Może pani to udowodnić? - spytał Cross.
Zaprzeczyłam.
- Bez faksu, który brat wysłał mi w noc swojej śmierci, nie.
Cross opadł na oparcie fotela.
- Co robicie w Caltech?
- Mamy nagranie samochodu, który prowadził zabójca mojego brata tamtej nocy.
- Tablice rejestracyjne?
- Tylko model samochodu i dłoń zabójcy trzymającą niezapalonego papierosa.
Cross patrzył na mnie przez chwilę, a potem spojrzał w głąb parkingu.
- To za mało - powiedział.
- Prawie by wystarczyło.
- Z takimi dowodami naraża się pani tylko na śmierć - wyszeptał.
- Myśli pani, że policjanci z LAPD pozwolą pani ot tak wparadować i narobić im bigosu? - Odetchnął głęboko. - Nigdy pani ze mną nie rozmawiała, nigdy się nie spotkaliśmy i nigdy nie słyszałem niczego z tego, co pani właśnie powiedziała. Jeśli zapytają mnie o to w sądzie, położę rękę na Biblii i przysięgnę, że nic nie wiem.
Wcisnął się na fotel kierowcy, na wysokich obrotach przejechał przez garaż i zniknął nam z oczu.
Sekundę później zza rogu dobiegł nas pisk opon. Odwróciłam się, sięgając po broń, gdy obok przejechał SUV pełen studentów. Rozluźniłam uchwyt na kolbie i wzięłam głęboki oddech.
- Spróbujemy przycisnąć Hazzarda? - zapytał Harrison.
Pokręciłam głową.
- Najpierw musimy znaleźć jakieś mocne argumenty. Wyjechałam z parkingu, zatrzymując samochód przed włączeniem się do ruchu. Po Crossie nie było już śladu. Grupki studentów chodziły po parku, zmierzając na zajęcia albo do akademika.
- O czym myślisz? - spytał Harrison.

- O nauce - odparłam, gdy dwie grupy studentów idących w tym samym kierunku złąły się w jedną, która następnie podzieliła się na trzy.

- Jak znaleźć porządek w zdarzeniach, które sprawiają wrażenie zupełnie niepowiązanych?

Spojrzałam na Harrisona, a on zerknął na grupę studentów, którą przed chwilą obserwowałam.

- Przy rozbrajaniu bomby zaczyna się od przypuszczalnego punktu detonacji, a potem szuka się połączeń, które są niezbędne, żeby mechanizm zadziałał, nawet jeśli ich nie widać.

- Jeśli faks miał zawierać stronę z raportu, to uznajmy go za punkt detonacji. Czego teraz powinniśmy szukać?

- Ostatniego punktu kontaktu albo osób, które widziały dokument.

- Harrison zastanawiał się nad tym przez chwilę. - Mamy więc Hazzarda, twój brata, twój ojca, jeśli z nim rozmawiali, Gavina, prawdopodobnie detektywa Williamsa, no i Danny'ego.

- Nie liczyłabym raczej na pomoc Hazzarda.

- Czyli że zostają Danny i twój ojciec.

Przez moment próbowałam oswoić się z tą myślą. Nadaremnie.

- Którego ojciec? - mruknęłam. - Nieszczęsny sprzedawca rowerów, zakochany Indianin czy ofiara cyklopa?

Harrison popatrzył na mnie, starając się okazać zrozumienie.

- Nie opowiedziałam ci wszystkiego o swoich stosunkach z ojcem.

- Przypuszczam, że wolałabyś to zachować dla siebie - odparł.

- Gdyby ojciec chciał się z tym do mnie zwrócić albo w ogóle był do tego zdolny, już by to zrobił.

- W końcu jesteś gliną- zauważył Harrison. - A on spędził ostatnie osiemnaście lat na ukrywaniu się przed policją.

- A wcześniej ukrywał się przede mną - powiedziałam.

Harrison odwrócił się i popatrzył na przechodzącego obok studenta, który prowadził ożywioną dyskusję sam ze sobą.

- Czyli że zostaje nam Danny - stwierdził.

- Coś się dzieje, może nawet w tej chwili, a my nie potrafimy tego zauważyć.

- Moglibyśmy aresztować Hazzarda i potrzymać go za kratkami, jak długo się da.

Pokręciłam głową.

- To nie był Danny - oświadczyłam.

- Nie rozumiem - przyznał Harrison.
 - Danny widział pewnie akta, ale to nie on zwrócił się o nie do prokuratury.
 - Dlaczego?
 - Żeby udostępnić ci takie dokumenty, musisz być pełnoletni. Danny nie kłamał, to naprawdę nie był on.
 - Bo był za młody.
- Pokiwałam głową.
- Więc o akta wystąpiła jego babka - rzekł Harrison.

38

Babka Danny'ego czekała już na nas, gdy wjechaliśmy na podjazd. Zadzwoiłam, żeby ją uprzedzić o naszej wizycie, ale nie wdawałam się w żadne szczegóły. Powiedziałam tylko, że rozmawialiśmy z Dannym w szpitalu.

Pani Fisher zaprowadziła nas do domu i usiedliśmy przy kuchennym stole, tak jak poprzednio.

- Nie chce się ze mną widzieć - poskarżyła się. - Próbowałam już kilkakrotnie, ale...

- Kiedy jego stan się poprawi, na pewno zechce się z panią zobaczyć - pocieszyłam ją.

Oddechnęła głęboko i pokręciła głową.

- Przykro mi z powodu tego, co zrobił w pani domu, jeśli dlatego pani przyjechała. Jestem oczywiście gotowa zapłacić za wszelkie wyrządzone szkody...

- Nie dlatego tu jestem.

- Nie rozumiem, dlaczego to pani zrobił.

- Jedyńy podejrzany o zabójstwo pani córki, którego kiedykolwiek aresztowano, był moim ojcem, pani Fisher. Dlatego Danny zrobił to, co zrobił.

Przez chwilę wpatrywała się we mnie w milczeniu.

- Pani ojciec?

- Tak.

Wstała, podeszła do okna i wyjrzała na dwór.

- Dlaczego się tu pani zjawiała?
- Jestem tu, ponieważ prywatny detektyw, który został zamordowany, był moim bratem. - Odwróciła się i popatrzyła na mnie. - Przypuszczamy, że znalazł dowód, który wskazywał prawdziwego zabójcę pani córki.
- I zaraz mi pani powie, że to nie był pani ojciec.
- Uważamy, że poszlaki właśnie na to wskazują.
- Pokręciła głową.
- Dlaczego nie powiedziała mi pani o tym wcześniej?
- Wcześniej myślałam, że ojciec jest winny, ale nie byłam pewna.
- Nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Jak pani śmie przychodzić do mojego domu i wykorzystywać chorego chłopca, by dowieść, że nie jest pani córką mordercy! Proszę natychmiast stąd wyjść.
- Ruszyła do drzwi.
- Możliwe, że już ma pani z tym coś wspólnego - odparłam.
- Zatrzymała się w progu jadalni i odwróciła głowę.
- Kto zabił moją córkę?
- Zerknęłam na Harrisona.
- Sądźmy, że pani córka została zamordowana, ponieważ odkryła w prokuraturze coś, co obciążało policjanta, przeciwko któremu toczyło się dochodzenie o nieuzasadnione użycie siły.
- Pani Fisher zastanowiła się nad znaczeniem tych słów.
- Chce pan powiedzieć, że Victorię zabił policjant?
- Harrison pokiwał głową.
- Wygląda na to, że to najbardziej prawdopodobna wersja zdarzeń.
- Możecie to udowodnić?
- Półtora roku temu zwróciła się pani do prokuratury o akta personalne córki - powiedziałam.
- Kiwnęła ostrożnie głową.
- Danny mnie o to prosił. Nie chciałam podsycać jego paranoi, ale pomyślałam, że może znajdzie w nich coś, co pomoże mu lepiej poznać matkę, zrozumieć, jaka była wspaniała.
- Przeglądała je pani? -zapytałam.
- Próbowałam... spojrzęłam na zdjęcie do legitymacji... i dalej nie byłam w stanie.
- Zamówiła pani kopię wszystkiego, co znajdowało się w aktach?
- Weszła z powrotem do kuchni i usiadła przy stole.
- Tak. Danny wyraźnie mnie o to prosił. Chciał mieć wszystko.

- Wie pani, gdzie te akta są teraz?
- Danny wziął je na parę dni do siebie, a potem zwrócił. Nie przeglądałam ich już później. Są w gabinecie.

- Chcielibyśmy rzucić na nie okiem.

Kiwnęła głową i zaczęła wstawać, gdy coś ją tknęło.

- Nie rozumiem. Co akta personalne mogą mieć wspólnego ze śmiercią mojej córki?

- Możliwe, że schowała w nich to, co odkryła, żeby zastanowić się, co dalej zrobić.

Pani Fisher odchyliła się do tyłu.

- I ten dowód leżał tam przez wszystkie lata.

- Tak. W każdym razie do niedawna. Teraz akta zniknęły z archiwum. Przypuszczam, że zostały zniszczone. Pani kopia jest wszystkim, co pozostało.

- Razem z dowodem?

- Tak.

Pani Fisher siedziała przez chwilę w milczeniu, jakby starała się przetrwać w myślach nowy rozdział książki. Potem odwróciła się i spojrzała na mnie z żarem w oczach jak matka, która wciąż próbuje chronić swoją córkę.

- Co pani ojciec miał z tym wspólnego? Dlaczego go aresztowano?

- Znęcał się fizycznie nad moją matką i napastował ładne młode kobiety, takie jak pani córka. Nie widziałam swojego ojca od bardzo dawna.

Nie wdawałam się w szczegóły dotyczące tych napaści, ale z wyrazu twarzy pani Fisher domyślałam się, że żaden z nich nie byłby dla niej zaskoczeniem.

- Słyszałam od detektywa, że pani ojciec nie żyje.

Pokręciłam głową.

- Żyje.

- Pójdę po te akta - powiedziała.

Wyszła z kuchni i wróciła parę chwil później z cienką teczką, którą położyła na stole. Otworzyłam ją i zaczęłam przeglądać zawartość - ocenę pracy, kopię legitymacji służbowej, podanie o zatrudnienie, zeznanie podatkowe.

- Nie ma tu nic takiego.

Harrison przejrzał jeszcze raz dokumenty, czy niczego nie przegapiłam.

- Możliwe, że Danny zatrzymał tę kartkę u siebie - powiedział.
- Czy jest w domu jakieś miejsce, gdzie Danny mógłby schować coś takiego, jakiś szczególny schowek, o którym wspominał? - spytałam.

Pani Fisher wyjrzała przez okno na garaż.

- Danny nie zwierzał się ze swoich sekretów, w każdym razie nie mnie. Nawet nie wiedziałabym, gdzie szukać, ale pani może spróbować, jeśli chce. - Odwróciła się i popatrzyła na mnie. - Przypuszczam, że ma pani większe doświadczenie w tych sprawach niż ja, pani porucznik.

Poszliśmy do garażu i otworzyliśmy drzwi. Ze ścian zerwano wszystkie kartki z notatkami i wycinki gazet, które Danny tam poprzyklejał. Każdy mebel, każdy możliwy schowek został przetrząśnięty przez ekipę techników kryminalnych. Pokój zdawał się teraz przypominać drzewo ogołocone z gałęzi i liści. Jedynym świadectwem, że ktoś tu kiedykolwiek mieszkał, była skomplikowana mapa narysowana na tylnej ścianie.

- Żałuję, że to tu zostało - powiedziała pani Fisher.

Patrzyła na mapę jeszcze przez chwilę, a potem odwróciła się i wyszła na zewnątrz. Harrison i ja zaczęliśmy przeszukiwać pokój, lecz szybko stało się jasne, że niczego nie znajdziemy.

- Równie dobrze moglibyśmy szukać igły w stogu siana - zauważył Harrison.

- W szpitalu próbował nam powiedzieć, czego nam jeszcze brakuje - powiedziałam.

Stałam przy drzwiach i spojrzałam na mapę Danny'ego.

- Wszyscy padli na ziemię oprócz jednego - mruknął Harrison, po wtarzając słowa chłopaka. - Jeśli kryje się w tym jakaś wskazówka, to ja jej nie widzę.

Wyciągnęłam rękę i już miałam włączyć światło, gdy coś mnie tknęło.

- Może po prostu nieuważnie go słuchaliśmy - powiedziałam.
- Wszyscy padli na ziemię - powtórzył Harrison, kręcąc głową.
- Nic w tym nie widzę, po prostu nie widzę.
- Może ta wskazówka do nas nie dociera, bo nie mamy danych, które mogłyby nam coś rozjaśnić. Co jeszcze powiedział?

Harrison wrócił myślą do rozmowy w szpitalu.

- Kiedy zapytałaś o akta, wyszeptał: „Tutaj, są tutaj”, i wskazał na swoją głowę - przypomniał mi Harrison. - A tam akurat nie możemy zajrzeć.

Zerknęłam na spirale orbit i poplątane linie na mapie i nagle słowa Danny'ego nabrały sensu.

- Może nie musimy - odparłam. - Danny dwukrotnie wyjaśnił mi, gdzie są akta, tylko go nie rozumiałam. - Spojrzałam na Harrisona. - Myślałam, że to po prostu obraz szaleństwa. Ale nie. To była wiadomość. Słowa, których użył, są aż nazbyt precyzyjne.

- Jakie słowa?

- Te, które wymalował na suficie mojej sypialni. „Tak jest w mojej głowie”. Zostawił akta u mnie w domu. Właśnie po to tam poszedł.

39

Prawie w całym sąsiedztwie przywrócono już dopływ prądu, choć akurata na mojej ulicy miało to niewielkie znaczenie, bo ze wszystkich domów ocalał tylko jeden, mój. W oddali z kilku stron widać było łuny pożarów. Wiatr wciąż niósł zapach cytrusów i spalenizny ze zwęglonego drzewka cytrynowego w ogrodzie sąsiadów. Wsunęłam klucz do zamka i otworzyłam frontowe drzwi.

Weszliśmy do środka i zapaliliśmy latarki. Widok tego, co stało się z wnętrzem domu, wciąż był dla mnie szokiem. Nie przypuszczałam, że tak się tym przejmę. Harrison patrzył w milczeniu na okryte popiołem meble i splątane wzory wymalowane na ścianach.

- Powinniśmy przyjrzeć się wiadomości od Danny'ego - powiedział.

Kiedy ruszyliśmy przez korytarz, gdzie jeszcze niedawno wisały moje rodzinne zdjęcia, poczułam się, jakbym znalazła się na terenie wykopalisk archeologicznych. To już nie był mój dom. Wspomnienia, które nagromadziły się w tych wnętrzach, nie należały już do mnie, lecz raczej do świata, który pograżył się w przeszłości.

Otworzyłam drzwi do sypialni, a Harrison wszedł do środka i spojrział na sufit. Przyglądał mu się tak długo, aż odczytał napis, a potem potoczył wzrokiem dookoła.

- Gdzie zwykle ludzie chowają w domach cenne rzeczy? - zapytał.

- W szufladach na skarpetki - odparłam.

Podeszłam do komody i wysunęłam górną szufladę. Ubrania w środku nie były przysypane szarym popiołem, który pokrywał wszystko wo-

kół. Kolory i biel robiły tak piorunujące wrażenie jak widok otwartej rany. Przetrzaśnięłam zawartość, ale niczego nie znalazłam. Otworzyłam następną szufladę, potem kolejną, aż wreszcie przeszukałam je wszystkie, lecz nic w nich nie było.

Spojrzałam na szafę i zaniemówiłam na moment. Obok niej widać było ślady butów.

- Sprawdź w środku - wysapałam.

Jeśli Harrison domyślił się albo pojął cokolwiek z mojej przeszłości, to nie dał tego po sobie poznać. Podeszedł do drzwi, ale ich nie otworzył. Gałka była pokryta cienką warstwą popiołu, której nikt nie naruszył.

- To nie tutaj. Drzwi nie były otwierane.

- Zaglądamy nie tam, gdzie powinniśmy - orzekłam. - W szufladach i szafach chowa się takie rzeczy jak biżuteria albo pierścionki. A my szukamy kartki papieru, którą Danny zostawił tak, żeby ją było łatwo znaleźć.

- Jak liścik, który zostawia się komuś przed wejściem do domu - podsunął Harrison.

Odwróciłam się i przebiegłam przez korytarz i salon do kuchni.

- Tutaj zostawia się liściki - rzuciłam.

Obejrzałam nieduży stół, który stał pod oknem, ale była tam tylko para sztućców, solniczka, pieprzniczka i serwetka, wszystko pokryte popiołem. Na kuchennym blacie leżała obsypana szarym pyłem książka telefoniczna; telefon i notes obok także wyglądały na nietknięte. Oprócz tego na blacie stał jeszcze niedopity kieliszek wina, kubek po kawie i kilka talerzy, ale nic poza tym. Harrison położył dłoń na moim ramieniu i poświecił latarką na drugą stronę kuchni.

- Lodówka.

W krążku światła na drzwiach lodówki wisiała pojedyncza kartka papieru, przyczepiona żółtym magnesem w kształcie ołówka.

- Czy ty albo Lacy wchodziłyście do kuchni, kiedy tu ostatnio byłyście?

Pokręciłam głową.

- Nie wydaje mi się.

Harrison poświecił latarką na wyłożoną kafelkami podłogę. Na warstwie popiołu widać było ślady stóp.

- Był tu ktoś jeszcze. Ślady butów różnią się rozmiarem - zauważył Harrison.

- Może strażak, który sprawdzał przewody gazowe - powiedziałam bez przekonania.

Podeszłam do lodówki i poświeciłam latarką na kartkę wiszącą obok ledwo widocznego pod popiołem liściku, który napisałam sama do siebie: „Zadzwoń do Lacy”.

Wysunęłam kartkę spod magnesu i poświeciłam na nią. Było to ksero dokumentu prawnego. W lewym górnym rogu widniał nagłówek Prokuratury Okręgowej w Los Angeles i oficjalna pieczęć państwowa. Poniżej znajdowało się zeznanie, które liczyło kilka akapitów. Na samym dole były dwa podpisy.

- To zeznanie świadka - powiedziałam. W lewym górnym rogu widniała data.

- Sprzed osiemnastu lat - zauważył Harrison.

Wyciągnęłam z kieszeni okulary i zaczęłam czytać. Tekst był napisany odręcznie, a nie na maszynie, i wyglądał, jakby został sporządzony w pośpiechu.

„Ja i moi dwaj kumple, Darren i Walter, szliśmy z imprezy do domu, kiedy zatrzymał nas policyjny patrol.

O której to było godzinie?

Tuż przed północą.

Zrobiliście coś, że was zatrzymano?

W Los Angeles nie trzeba nic zrobić, żeby policja człowieka zatrzymała, psze pani. Wystarczy, jak się jest czarnym. Nie byliśmy w żadnym gangu. Nie złamaliśmy prawa. Darren był wzorowym uczniem. Na jesieni miał zacząć studia.

Co się stało po tym, jak zostaliście zatrzymani?

Jeden z gliniarzy kazał nam paść na ziemię i ja z Walterem tak zrobiliśmy, ale Darren nie chciał, bo nic nie przeskrobaliśmy. Chyba miał po prostu dość, że bez przerwy traktuje się go, jakby od dziecka kradł radia samochodowe i sprzedawał dragi. Nie widziałem wszystkiego, co się potem stało, bo leżałem twarzą do ziemi. Tamten gliniarz znowu kazał mu paść, a kiedy Darren odmówił, złapał go za gardło, podniósł i zaczął dusić. Widziałem tylko stopy Darrena wierzgające w powietrzu jak u wisielca. I wydawał takie odgłosy jak dziecko, gulgoty i piski, aż wreszcie jego nogi po prostu zawisły bez ruchu. Gliniarz rzucił go na ziemię obok mnie, a ja spojrzałem mu w oczy i już wiedziałem, że nie żyje. Nie było żadnej bójki, Darren po prostu nie chciał paść na ziemię, bo nie zrobiliśmy nic złego, a gliniarz zabił go gołymi rękami.

A ten drugi policjant?

Ten drugi po prostu stał z boku, jakby go w ogóle nie było. Powiedzieli, że Darren stawiał opór przy aresztowaniu, że się szarpał. Ale to ściema.

Czy ktokolwiek z wydziału spraw wewnętrznych przesłuchiwał pana w tej sprawie?

Zaden gliniarz, żaden prawnik, nikt. Zupełnie jakby Darren nigdy nie istniał".

Wpatrywałam się w kartkę przez moment, próbując zliczyć ilość cierpień, jakich przysporzyła, ale nie byłam w stanie.

- Wszyscy, którzy mieli ten dokument w ręku, nie żyją... W chorej głowie Danny'ego pomieszał się z dziecięcą rymówką - powiedziałam.

Zeznanie złożył niejaki Germaine Washington.

- Spójrz, kto przesłuchiwał świadka - rzuciłam.

- Victoria Fisher.

- Pamiętasz datę jej śmierci? - spytałam.

- Dwudziesty wrzesień, o ile się nie mylę - odparł Harrison.

- To zeznanie zostało spisane dwa dni wcześniej.

- Podejrzewam, że jeśli poszperamy w archiwum wydziału kryminalnego, dowiemy się, że wkrótce potem Germaine Washington stracił życie w przypadkowej strzelaninie albo od kuli z przejeżdżającego samochodu, a sprawcy nigdy nie znaleziono. Albo któregoś dnia wsadzono go do radiowozu i nikt go już później nie widział.

- Szczegóły zeznania można łatwo porównać z raportem z wewnętrznego docho... - Harrison urwał, przypominając sobie, co powiedział nam Larson w uliczce na tyłach restauracji. - No tak, jakiego dochodzenia?

Przez chwilę patrzyliśmy w milczeniu na zeznanie, starając się w pełni pojąć, co mamy przed oczyma, a przede wszystkim, co zatajono.

- Dlaczego Victoria nie wymieniła w dokumencie Hazzarda? - zapytałam.

- Ze strachu. Oskarżała policjanta o zamordowanie nieuzbrojonego cywila. Może zresztą Germaine Washington nie znał jego nazwiska.

- Ale Victoria Fisher je znała, bo inaczej nie spisała by zeznania.

Zastanawiałam się nad tym jeszcze przez chwilę.

- Nie wymieniła nazwiska, bo bała się drugiego gliniarza, który po prostu stał z boku i nie reagował.

- Crossa - powiedział Harrison. - Cross twierdził, że nie był obecny przy zajściu i podpisał zeznanie, które mu podsunęto.

- Ten dokument ujawnia, że kłamał.

- Co czyni go równie winnym - skonkludował Harrison.

- Nawet więcej - dodałam. - Czyni go także niebezpiecznym.

Patrzyliśmy na siebie przez chwilę, układając wszystko w głowach.

- Gdyby Victoria nie wiedziała, że Cross był drugim gliniarzem, to co twoim zdaniem zrobiłaby z tym zeznaniem?

- Pokazałaby je Crossowi.

- Który złapał za telefon i zadzwonił do Hazzarda.

- Po czym Hazzard upozorował jej zabójstwo na robotę mordercy znad rzeki.

- Cross mówił prawdę, że chodzi o spisek... ale spisek tylko dwóch ludzi. Jego samego i Hazzarda.

Kłamstwo, które skrywało prawdę o śmierci Victorii Fisher, zaczęło mi się kojarzyć z warstwą popiołu, pokrywającą wszystko w moim domu. Zarysy były widoczne, lecz szczegóły stały się tak niewyraźne, że odmieniły całość nie do poznania.

- Mój brat szukał prawdy o naszym ojcu i natknął się na to przypadkiem.

Spojrzałam na odciski stóp na podłodze. Ślady sportowego obuwia Danny'ego były łatwo rozpoznawalne po bieżniku podeszwy. Druga para butów miała gładką podeszwę, ich ślady wyróżniał tylko kształt i rozmiar.

- Kto jeszcze był w moim domu? - zapytałam.

- Hazzard albo Cross?

Pokręciłam głową.

- Gdyby to byli oni, zabraliby zeznanie.

Przeszłam do salonu i zdałam sobie sprawę, że odciski drugiej pary butów są w całym domu. Spojrzałam w głąb korytarza, prowadziły do pokoju Lacy. Kiedy wpatrywałam się w pozostawione w popiele ślady płaskich podeszew, ogarnął mnie dawny niepokój.

- Mój ojciec.

- Tego nie wiemy - odparł Harrison.

- Owszem, wiemy. Został tylko on. Co tu robił?

Harrison wskazał na kartkę, którą trzymałam w dłoni.

- Może szukał tego zeznania.

- Gdyby nawet wiedział o jego istnieniu, to i tak nie miałby pojęcia, gdzie może być. - Spojrzałam na ślady stóp znikające za drzwiami do

pokoju córki. - Wiem, dlaczego przyszedł. - Serce zabiło mi mocniej.
- Chciał obejrzeć pokój swojej wnuczki.

- Może po prostu chciał się z tobą zobaczyć - zasugerował Harrison.
- Nie wydaje mi się.

Spuściłam wzrok na ślady i nagle w mojej głowie rozbrzmiały jego krzyki, jakbym znowu siedziała skulona w szafie.

- Byłam mała, miałam może z pięć lat. Matka ukryła mnie przed nim w szafie. Słyszałam, jak ją bił, kiedy próbowała go powstrzymać, a potem zaczął mnie szukać po całym domu. - Spojrzałam Harrisonowi w oczy. - Ojciec nie przyszedł się ze mną zobaczyć.

Zerknęłam jeszcze raz na odciski butów, a potem wyszłam na zewnątrz. Harrison wyłonił się z domu chwilę później i staliśmy w milczeniu w ogrodzie. Wiatr zdążył zmienić kierunek i w powietrzu nie czuło się już zapachu cytryny. Wcześniej tego nie zauważyłam, ale dźwięki, które towarzyszyły zwykle nadejściu nocy, także zniknęły. Nie słyszałam wycia kojotów, brzęczenia owadów, śpiewu ptaków ani grającego gdzieś w oddali telewizora. Pożar pochłonął nawet to.

- Co z tym teraz zrobimy? - zapytał Harrison. - Ile jest wart ten dokument, jeśli nie ma w nim nazwiska sprawcy?

Spojrzałam na zeznanie, próbując powiązać w myślach wszystkie akty przemocy, które wyłaniały się z tej kartki niczym kręgi na mapie Danny'ego.

- Mamy coś jeszcze - odparłam i odwróciłam się do Harrisona, gdy jeden z tych kręgów stał się dla mnie aż nazbyt wyraźny. - Popelnili błąd... my popelniliśmy błąd.

Harrison nie zrozumiał.

- To Andi James była w mieszkaniu mojego brata i widziała mężczynę, który zabrał stamtąd komputer. I może go nadal zidentyfikować.

Harrison skrzywił się, gdy pojął bolesną prawdę.

- Powiedzieliśmy Hazzardowi, że to była Dana Courson - przypomniałam mu. - I we dwóch zabili niewinną osobę, przekonani, że może jednego z nich rozpoznać.

- O Boże - wyszeptał Harrison, gdy uświadomił sobie coś jeszcze.

- Popelniliśmy też inny błąd.

Chciałam prosić o wyjaśnienie, lecz zamilkłam, gdy zdałam sobie sprawę, co zrobiliśmy.

- Candice Fleming - rzuciłam.

Harrison pokiwał głową.
- Powiedzieliśmy o niej Crossowi.

40

Była prawie dziesiąta wieczorem, gdy zatrzymaliśmy się przed bungalowem Candice Fleming.

- W oknach nie palą się światła - spostrzegł Harrison.

Po drodze kilkanaście razy próbowaliśmy się do niej dodzwonić, lecz ciągle było zajęte.

- Byłoby dziwne, gdyby ktoś rozmawiał przez telefon przy zgaszonym świetle.

Wysiedliśmy z wozu i rozejrzeliśmy się po ulicy. Zobaczyliśmy tylko mężczyznę na spacerze z psem pół przecznicy dalej. Słychać było dobiegający z oddali warkot samochodów i szum wiatru w liściach palmowców.

Obserwując uważnie ciemne okna, podeszliśmy do domu. Kiedy zbliżyliśmy się do schodków na ganek, Harrison dotknął mojego ramienia. Drzwi były niedomknięte i chygotały się na wietrze.

Wyciągnęłam glocka, podbiegłam do drzwi i pchnęłam je na oścież. Do domu nawiało liści, które leżały teraz na podłodze salonu, ale wszystko inne zdawało się na swoim miejscu.

- Coś się przypała - zauważył Harrison.

Przebiegłam przez jadalnię do kuchni. Błękitne płomyki gazu jaśniały w ciemności pod garnkiem, z którego zaczynało dymić. Harrison podszedł do kuchenki i zakręcił gaz.

- Makaroni z serem - powiedział.

W mojej głowie odezwał się dzwonek alarmowy.

- Jedzenie dla dzieci. Gotowała dla swojego syna - stwierdziłam.

- Gdzie oni są? - zapytał Harrison.

- Sprawdź, czy w garażu jest samochód - poleciłam.

Harrison wyszedł tylnymi drzwiami i ruszył w stronę garażu, a ja wybiegłam z kuchni na korytarz, który prowadził do sypialni.

- Candice? - zawołałam, ale nie było odpowiedzi.

Pomieszczenie po prawej stronie okazało się niedużym gabinetem, drzwi były otwarte. Uniosłam broń, sięgnęłam za framugę i zapaliłam

światło. Pokój był pusty. Zajrzałam do łazienki - to samo. Stałam właśnie przed drzwiami głównej sypialni, gdy wrócił Harrison.

- Jej samochód stoi w garażu - oznajmił.

Szybko otworzyłam drzwi i wkroczyłam do środka, a Harrison włączył światło. Na tapczanie leżała para dżinsów i koszulka z krótkimi rękawami, a na podłodze para czarnych pantofli na wysokim obcasie.

- Właśnie wróciła z pracy i zamierzała się przebrać - powiedziałam.

Odwróciłam się, wybiegłam na korytarz i otworzyłam drzwi do pokoju jej syna. Łóżko było nieposłane. Tu i tam, wśród samochodzików, ciężarówek i helikopterów wały się dziecięce ubrania. Na ścianie wisiały plakaty koszykarzy i duży, narysowany kredkami świecowymi autoportret z podpisem: „Peter, Wspaniały”. Był to zwyczajny pokój małego chłopca.

- Oboje zniknęli - stwierdziłam. - Serce ścisnęło mi się na myśl, że swoimi słowami naraziłam ich na niebezpieczeństwo. - Będą nam po potrzebne zdjęcia - rzuciłam. - Spróbuj znaleźć jej torebkę albo portfel.

Harrison kiwnął głową i wyszedł, a ja usiadłam na łóżku. Narzuta miała kolorowy nadruk: tropikalne drzewa, z których zwisały się zwierzęta. Na podłodze przy łóżku zobaczyłam parę adidasów, porzucił je dokładnie tak jak matka pantofle w swoim pokoju. W nogach łóżka leżała bawełniana koszulka. Podniosłam ją i przytuliłam do twarzy, wdychając słodki zapach małego chłopca.

Kiedy odkładałam koszulkę z powrotem, spojrzałam na drugi koniec pokoju i mój wzrok zatrzymał się na części ściany, na której był namalowany miś. Przy jego łapie zobaczyłam gałkę drzwi do szafy. Kiedy spróbowałam zaczerpnąć tchu, zdawało mi się, jakby z pokoju zniknęło powietrze. Wstałam i podeszłam do szafy.

- Peter - powiedziałam półgłosem.

Wyciągnęłam rękę, zacisnęłam palce na gałce i przekreśliłam ją, aż zamek puścił, a potem powoli otworzyłam drzwi. Patrzyłam, jak smuga światła z pokoju przecina ciemność na podłodze szafy, zatrzymując się na dwóch stopkach.

- Wszystko w porządku, Peter. Jestem policjantką - powiedziałam tak łagodnie, jak umiałam.

Stopki drgnęły, próbując się skryć w kącie szafy. Powoli przykłękłam przy drzwiach, gdy Harrison wszedł znowu do pokoju. Dałam mu znak ręką, żeby zadzwonił po pomoc, i po cichu wycofał się na korytarz.

Z głębi szafy wyłoniła się dziecięca rączka i wciągnęła stopę w mrok. Słyszałam, jak bardzo stara się bezgłośnie oddychać.

- Jesteś tam bezpieczny - potwierdziłam łagodnie. - Nie ruszę się z miejsca. Zostanę tutaj aż do chwili, gdy powiesz, że mogę podejść.

Czekałam na odpowiedź, ale żadna nie nadchodziła.

- Jeśli wystawisz rękę na światło, przekonasz się, że nadal nic ci nie grozi.

Po chwili z ciemności wyłoniły się drobne palce i przesunęły się po obrzeżu światła, jakby chłopiec sprawdzał, czy się nie poparzy.

- Widzisz: jest tak jak przedtem. Nikt cię nie widzi i nikt nie może cię skrzywdzić... Wiem to, ponieważ jestem policjantką. To będzie nasz sekret, nikomu go nie zdradzimy.

Jego oddech zaczął się uspokajać.

- Obiecuje pani? - odezwał się z ciemności.

- Obiecuje - zapewniłam.

Powoli, centymetr po centymetrze, wystawił na światło całą dłoń.

- Mama robiła ci makaroni z serem. Lubisz makaroni z serem?

Palce powróciły na chwilę w cień, a potem znów się wyłoniły. Za czął nimi wodzić po podłodze szary.

- Tak - odparł.

Harrison stanął w drzwiach i skinął głową na znak, że pomoc jest już w drodze.

- Mama poprosiła cię, żebyś został tutaj, aż wróci? - spytałam.

Druga rączka wychynęła z mroku, ale chłopczyk nie odpowiedział. Zerknęłam na zegarek, próbując oszacować, ile czasu minęło, odkąd Candice Fleming ukryła synka w szafie. Uznałam, że nie więcej niż pół godziny.

- Twoja mama też się schowała? Czy możesz mi powiedzieć, gdzie jest?

W ciemności mignęła mi złocista blond grzywka, gdy chłopiec po kiwał głową.

- Poszła z tym panem.

Z każdą upływającą sekundą szanse, że odnajdziemy Candice Fleming żywą, stawały się mniejsze. Liczyła się każda chwila.

- Z jakim panem, Peter?

Dłonie chłopca zacisnęły się w pięstki i cofnęły w cień.

- Jakim panem?

- Panem, który przyszedł do drzwi - wyszeptał.

Wyciągnęłam rękę, zatrzymując ją parę centymetrów od krawędzi mroku.

- I wtedy się tu schowałeś?
- Tak - pisał. Potem wysunął rączkę i dotknął mnie koniuszkami palców.

41

Jiedy jechaliśmy Mulholland na zachód, spojrzałam na zegarek. Pięć minut po telefonie Harrisona na miejsce przybyła druga jednostka. Siedem minut później Peter wyszedł z ciemnej szafy i tuliłam go tak długo, aż przestał się mnie kurczowo trzymać.

Ile minut zajęło nam dojechanie aż tutaj? Dziesięć? Kiedy wybiegliśmy z domu, nie spojrzałam na zegarek. Każda mijająca sekunda była niczym skurcz serca, który wypycha krew z otwartej rany.

Gdy wzięliśmy zakręt, w oddali zamajaczyła ciemna linia oceanu. Zatrzymaliśmy samochód na wysypanej żwiru drodze, która schodziła po zboczu doliny i znikła za gęstwiną roślinności. Krótki podjazd po prawej prowadził do domu, który zdawał się pozbawiony elektryczności. Dom Crossa był następnym na ulicy, stał sto metrów dalej za zakrętem, skryty w zupełnej ciemności.

Powoli zdjęłam stopę z hamulca i zjechałam na luzie, aż dotarliśmy do zakrętu. Dwadzieścia metrów przed sobą zobaczyliśmy dom otoczony potężnymi dębami i zaroślami. Reflektory samochodu oświetliły wysoki ceglany mur zwieńczony długimi metalowymi kolcami, który zdawał się otaczać całą posesję.

- Prawdziwa forteca - zauważył Harrison.

Zaciągnęłam hamulec, zgasłam silnik i wysiadłam z wozu. Przeszłam po wysypanej żwiru drodze, aż zobaczyłam przed sobą podjazd.

- Forteca, ale zdobyta - powiedziałam.

Żelazna brama przy podjeździe została rozbita. Kute ozdoby i pręty wyglądały, jakby rozwalili je czołg. Wyjrzałam zza wyłomu muru na rozległy dziedziniec. Stał na nim duży biały sedan.

- To buick - zauważył Harrison.
- Samochód, który jechał za moim bratem.

Pokiwał głową.

- Jeśli należy do Crossa, to właśnie on zabił Johna.

Podbiegliśmy do samochodu. Przód nadwozia nie był uszkodzony.
- To nie nim staranowano bramę. Musiał tu być ktoś inny - powie
dział Harrison.

Zajrzałam do kabiny. Na przednim siedzeniu leżało kilka długich
zwojów żółtego sznurka.

- O Boże - wyszeptałam i puściłam się pędem w kierunku domu.
Wejście było prawie zupełnie ukryte w cieniu, ale zauważyłam, że drzwi
są uchylone. Z uniesioną bronią zajrzałam w okna od frontu - za szybami
nic się nie poruszyło. Miałam wrażenie, jakbym patrzyła w oczy trupa.

- Droga wolna - oznajmiłam i Harrison wparował do środka.

- Pachnie oceanem - zauważył zdziwiony.

Na obsypanej kawałkami szkła i piaskiem podłodze rozlewała się
kałuża wody. Długi na metr i gruby jak moja pięść żółty węgorz wił się
na szarej łupkowej posadzce, otwierając i zamykając pyszczek w poszu-
kiwaniu wody, której nie było.

- Cross! - zawołałam.

Nikt nie odpowiedział. Kuchnia znajdowała się po lewej stronie, za
kominkiem. Korytarz po prawej prowadził do sypialni. Weszłam do sa-
lonu i dałam Harrisonowi znak, żeby sprawdził korytarz. Zrobiłam trzy
kroki i serce podskoczyło mi do gardła.

- Jezu - wychrypiął Harrison.

Na podłodze leżało pasmo złocistobrazowych włosów. Podeszłam
bliżej. Włosy były długie na jakieś dwadzieścia, dwadzieścia pięć cen-
tymetrów.

- Tuż za ramiona - powiedziałam. - Candice Fleming.

Przykucnęłam i obejrzałam je dokładnie.

- Wyrwane z cebulkami.

W głębi korytarza, przy zamkniętych drzwiach leżał następny pu-
kiel włosów. Otworzyłam drzwi, a potem z uniesioną bronią rozejrza-
łam się po pokoju. Stolik i kanapa zostały dopchnięte do ściany, tworząc
na podłodze dość miejsca, by mogła się na niej położyć dorosła osoba.
Dywan był przykryty płachtą grubej przezroczystej folii.

Podeszłam bliżej, analizując w myślach to, co widziałam.

- Rozłożył folię, żeby żadne włókno z dywanu nie przyczepiło się
do jej ubrania i żeby nie poplamieć podłogi krwią lub innymi płynami
ustrojowymi.

Harrison przykucnął i przyjrzał się dokładnie folii.

- Jest czysta. Nie została użyta.

Popatrzyłam na wybite okno.

- Albo Cross zabrał ją do innego pokoju, albo...
- Ktoś go powstrzymał - dorzuciłam.
- Więc możliwe, że ona wciąż żyje.
- Ale co w takim razie stało się z Crossem?

Wybiegliśmy na zewnątrz i popatrzyliśmy na staranowaną bramę, a potem na dom.

- Na co ci to wygląda? - zapytałam.

Harrison powiódł wzrokiem tam i z powrotem, zatrzymując co jakiś czas spojrzenie i analizując szczegóły.

- Brama została staranowana, a potem wtargnięto do domu z dwóch stron: drzwiami i przez okno. To nie mogła być robota jednej osoby.

- Taką samą taktykę zastosowałyby policyjna brygada szturmowa w akcji ratunkowej - zauważyłam.

- Albo gdyby celem było zabicie przestępcy.

Popatrzyłam na niego.

- Musimy znaleźć Hazzarda.

42

Odkąd znalazłam kartkę, którą Danny zostawił mi na drzwiach lodówki, dowiedziałam się, że ojciec nie zabił Victorii Fisher. Ale drzwi do koszmaru wcale się nie zamknęły. Morderca znad rzeki i tak pozbawił życia dwie młode kobiety, i czy to przypadkiem, czy nie, mój ojciec był z nimi powiązany.

Harrison trafił w dziesiątkę, kiedy w teatrze nazwał jego napaści na dwie aktorki próbami przed premierowym przedstawieniem. Czy teraz też Manning postanowił włączyć się do gry, czy też ostatnimi ogniwami w tym łańcuchu przemocy byli Cross i Hazzard? W której ze swoich ról mój ojciec właściwie powrócił?

Na podjeździe Hazzarda stał duży srebrny pikap, którego wcześniej nie widziałam. Przejechałam powoli do końca uliczki, mijając dom. Zdawało się, że w środku nie palą się żadne światła. W oknach nie było niczego widać.

Zaparkowałam za pikapem i wysiadłam z wozu. Przez chwilę powietrze zapachniało różami, lecz potem wiatr przyniósł gryzącą woń zgliszczy.

- Zajrzyj pod furgonetkę - powiedział Harrison.

Z przodu pod samochodem była kałuża i cienka strużka ciemnego płynu, która spływała po asfalcie do krawężnika. Obeszłam furgonetkę i spojrzałam na przód karoserii. Krata maski była mocno uszkodzona. Wklęśnięcia w blasze odpowiadały rozstawieniu prętów w bramie przed domem Crossa.

- Zadzwoń po wsparcie - rzuciłam i Harrison natychmiast sięgnął po telefon.

W kabinie na fotelu pasażera leżał nóż myśliwski z kościanym trzonkiem. Na podłodze wałały się krótkie kawałki żółtego sznurka. Wyciągnęłam glocka, podkrađłam się do narożnika garażu i wyjrzałam zza winkła na okna domu. W ciemnym wnętrzu salonu coś było. Ledwo widoczne, ale jednak.

- Coś się tam rusza - powiedziałam.

Czerń zdawała się falować niczym woda, lecz cokolwiek tam zobaczyłam, już zniknęło.

- Na tyły - zakomenderowałam, choć oboje ruszyliśmy już miejsca i byliśmy prawie za domem. Ognisko na środku podwórza oświetlało tylną ścianę domu ciepłym blaskiem.

- Jego rzeczy - stwierdziłam.

Hazzard wyniósł na dwór swoje drogocenne kije bejsbolowe z autografami, koszulki sportowe i piłki i wszystko podpalił.

- Pali za sobą mosty - zauważył Harrison.

W oknie ciemnej sypialni na piętrze zobaczyłam stojącą postać. Twarz Hazzarda przypominała raczej maskę niż oblicze żywego człowieka. Cienie kładły się pod oczami, zaciśnięta szczęka zdawała się tak stężać, jakby została wyrzeźbiona w drewnie. Wargi poruszały się lekko, jakby szeptał coś komuś, kto skrywał się w mroku za jego plecami.

- Dom! - zawołałam, choć już biegłam do tylnych drzwi, gdy Harrison otworzył je kopniakiem. Gdzieś w środku grała muzyka.

- Stonesi - rozpoznał Harrison. - Puszczają sobie Rolling Stonesów.

W jednej z części podwójnego zlewu piętrzył się stos brudnych naczyń. W powietrzu wisiała ciężka woń smażeniny i rozlanego piwa.

- Załamał się nerwowo - powiedziałam.

Przemierzyliśmy kuchnię i wkroczyliśmy do salonu.

- Muzyka dobiega z piętra wyżej - oznajmił Harrison, lecz nie usłyszałam ani słowa. Candice Fleming czołgała się po dywanie, przy nadgarstkach zwisały jej kawałki żółtego sznurka.

Przebiegłam przez pokój i uklęknęłam przy niej, podczas gdy Harrison osłaniał schody.

- Już dobrze - uspokajałam.

Nie zareagowała na mój głos, tylko dalej czołgała się ze wzrokiem utkwionym w drzwi. Nakryłam ręką jej dłonie.

- Pani synkowi nic się nie stało. Znaleźliśmy go.

Znieruchomiała, wczepiając palce w dywan, jakby zagrzebywała je w ziemi.

- Peter siedział schowany, tak jak mu pani przykazała. Zachowała się pani wspaniale - dodawałam jej otuchy.

- Peter - wyszeptała.

Pokiwałam głową.

Wyciągnęła do mnie ręce, lecz spojrzała na sznurki na nadgarstkach i w jej oczach znów pojawiła się panika. Wzięłam ją za rękę i pociągnęłam do siebie.

- Zdejmiemy to z pani. Już po wszystkim.

Potrząsnęła głową.

- Tak, naprawdę jest po wszystkim, ale musimy panią stąd wyprowadzić. Da pani radę iść?

Candice Fleming popatrzyła na mnie. W jej oczach wciąż odbijał się koszmar, z jakim przyszło jej się zmierzyć.

- Delillo - wyszeptała.

- Tak, zgadza się.

Pomogłam jej wstać i zaprowadziłam ją do frontowych drzwi.

- Niech się pani ukryje w moim samochodzie. Inni policjanci już jadą, zajmą się panią.

Panika w jej oczach zniknęła i teraz spojrzała na mnie zupełnie przytomnie.

- On był policjantem - wyszeptała.

Odwróciła się i wybiegła na dwór, podczas gdy ja popędziłam na schody, gdzie czekał Harrison. Od piętra dzieliło nas jeszcze sześć stopni. Podkrađłam się na tyle, żeby widzieć cały korytarz. Wyglądał, jakby przetoczyła się przez niego wichura. Odłamki szkła walały się po podłodze. Tam, gdzie na ścianach wisały wcześniej eksponaty kolekcji, pozostały tylko kawałki drucików i potrzaskane ramki.

Muzyka dobiegała z pokoju na końcu korytarza, jakieś pięć metrów dalej. Przez szparę pod drzwiami przedzierało się słabe światło. Między nami a końcem korytarza było jeszcze dwoje drzwi, po jednych na każdej ścianie.

- Ty sprawdź drzwi po lewej, a ja sprawdzę te po prawej - szepnęłam.

Harrison ruszył w głąb korytarza, rozsypane na dywanie szkło trzeszczało przy każdym kroku.

Dotarł do pierwszych drzwi i z uniesioną bronią wsunął się do pokoju. Po chwili wrócił na korytarz i pokręcił głową.

- Oslaniaj drzwi w głębi - szepnęłam i Harrison uniósł pistolet.

Przywarłam do ściany po prawej i zaczęłam się podkradać do drzwi. Dzieliły mnie od nich dwa metry. Sześć kroków po rozgniatanym butami szkłe i zatrzymałam się. Harrison pokazał gestem, że mnie osłania. Wyciągnęłam rękę i delikatnie poruszyłam gałką. Zamek nie był zablokowany. Ostrożnie przekręciłam gałkę, aż zatrzask ustąpił, a potem pchnęłam drzwi i uniosłam pistolet, gotowa do strzału.

Przestąpiłam próg i poczułam zapach piwa. Po chwili drzwi uderzyły we mnie z impetem. Próbowałam się wycofać, ale było za późno. Rąbnęłam plecami o framugę, a drzwi odskoczyły i znowu zaczęły się zamykać. Usiłowałam cofnąć rękę z pistoletem, lecz drzwi przytrzasnęły mi ramię tuż nad łokciem. Przeszył mnie potworny ból, kolana ugięły się pode mną. Jeśli nadal miałam pistolet w ręce, to i tak nie widziałam go przez szparę w drzwiach ani nie czułam w palcach.

- Powiedz swojemu partnerowi, żeby się zatrzymał, albo od razu cię zastrzelę - warknął Hazzard zza drzwi. Przez szparę poczułam cuchnący piwem oddech. Przed oczami mignęła mi lufa jego pistoletu, gdy przycisnął rękę do krawędzi drzwi. Niewielka część pokoju, którą widziałam przez szparę, wyglądała na pustą, jakby pomieszczenie nie pełniło żadnej funkcji poza sporadycznym składowaniem rzeczy.

- Nie wydaje mi się, żeby człowiek, który właśnie ocalił życie kobiecie, teraz miał mnie zastrzelić - powiedziałam.

Hazzard oparł się o drzwi całym ciałem, przyciskając jeszcze mocniej moje ramię do framugi.

- Powiedz mu, żeby się zatrzymał! - wrzasnął.

Usiłowałam się odezwać, lecz z bólu zabrakło mi tchu. Zerknęłam przez ramię na Harrisona, który zbliżał się do mnie z uniesioną bronią, i wykonałam przeczący ruch głową.

- Nie podchodź bliżej - wykrztusiłam.
Harrison zatrzymał się z pistoletem wycelowanym w drzwi.
- Nie pójdę do więzienia - oświadczył Hazzard. - Rozumiesz?
Zdołałam tylko kiwnąć głową. Muzyka w pokoju na końcu korytarza ucichła.
- Gdzie jest Cross? - zapytałam.
Hazzard wydał z siebie odgłos podobny do śmiechu.
- Jak pani myśli, pani porucznik, co właściwie pani zrobiła?
Zerknęłam na Harrisona, który ostrożnie postąpił krok do przodu, stawiając stopę między odłamekmi szkła.
- Niech mnie pani olśni swymi detektywistycznymi umiejętnościami - drwił Hazzard.
Obrazy w głowie zaczęły mi się układać w nowej konfiguracji, jakbym patrzyła na zdjęcia z albumu, który spadł ze stołu, a zawartość rozsypała się po podłodze. Dwaj czarnoskórzy chłopcy padają na ziemię, podczas gdy trzeci stoi nadal na znak protestu. Wściekły gliniarz chwytą go za gardło i podnosi. Dusi tak długo, aż tamten wydaje ostatnie tchnienie. Victoria Fisher chowa kartkę papieru w teczce z aktami. Brat biegnie ulicą w samych skarpetkach. Jarzący się w ciemności żółty napis: „Tu można wysłać faks” i wreszcie foliowa płachta rozpostarta na podłodze w domu Crossa.
Przez szparę w drzwiach zobaczyłam twarz Hazzarda, który wychylił się do przodu.
- To nie był pan - powiedziałam. - Nikogo pan nie zabił ani dwadzieścia lat temu, ani dzisiaj. Dlatego sprowadził pan tutaj Candice Fleming, dlatego uratował ją pan przed Crossem.
- Proszę mówić dalej, pani porucznik - odparł.
Zerknęłam przez ramię na Harrisona, gdy ten zrobił następny krok i pod jego butem zachrząściło szkło.
- To Cross zadusił tamtego nastolatka - podjęłam. - Nie pan.
Hazzard odwrócił na chwilę wzrok, jakby patrzył w przeszłość.
- Dzieciak po prostu stał, nie chciał się położyć na ziemi jak pozostali - powiedział. - Cross zabił go, zanim zorientowałem się, co się dzieje.
- Był pan starszy stopniem, miał pan właśnie awansować na detektywa. Wziął pan odpowiedzialność na siebie ze świadomością, że nikt nie będzie zadawał niewygodnych pytań wschodzącej gwiazdzie policji. Może nawet dostałby pan pochwałę za unieszkodliwienie groźnego

przestępcy gołymi rękami. Wewnętrzne dochodzenie niczego by nie wykazało.

- I tak się stało - potwierdził Hazzard.
- Aż sprawą zainteresowała się Victoria Fisher.
- Nie wiedziałem o tym - przyznał.
- Cross zamordował ją, gdy zorientował się, że odkryła prawdę o śmierci tamtego chłopaka.

Harrison zrobił następny krok, nosem buta odsunawszy szkło z drogi.

- Pomógł pan upozorować jej zabójstwo na robotę mordercy znad rzeki czy Cross zrobił to sam? - zapytałam.

- Dowiedziałem się, kiedy już było po wszystkim.
- Ale nic pan nie zrobił, bo zrujnowałby pan sobie karierę - zauważyłam.

- Ona nie żyła. Nie mogłem jej wskrzesić.

- Została zamordowana.

- Nie mogłem tego zmienić.

Następny kawałek szkła trzasnął pod butem Harrisona.

- Mógł pan nie dopuścić do dalszego rozlewu krwi - powiedziałam.

- Próbowałem. Przez osiemnaście lat pilnowałem, żeby Cross nie zrobił już nikomu krzywdy.

- Proszę to powiedzieć mojemu bratu.

- Mówiłem Gavinowi, żeby porzucił tę sprawę - odparł Hazzard.

Harrison zbliżył się jeszcze o krok i był teraz prawie na wyciągnięcie ręki ode mnie.

- Przez pana Cross zabił trzy następne osoby - wypomniałam Hazzardowi.

- Nie miałem pojęcia. Usiłowałem temu zapobiec - tłumaczył się.

- Dana Courson nie wiedziała nawet, dlaczego musi umrzeć.

Hazzard pochylił się do przodu i zobaczyłam łzy w jego oczach.

- To nie powinno się było wydarzyć - szepnął.

- Detektyw Williams skończył z poderżniętym gardłem. I pozwolił pan upolować Hectora Lopeza jak zwierzę, bo wiedział pan, że mógłby zidentyfikować Crossa jako policjanta, który zabrał kasetę z nagraniem.

- Próbowałem do tego nie dopuścić. Pojechałem tam, żeby ich powstrzymać - zapewnił Hazzard.

- Z wiadomym skutkiem.

Harrison był teraz metr ode mnie i uniósł pistolet, celując w szparę w drzwiach.

- To nie moja wina - upierał się Hazzard.

- To dlaczego pali pan swoje rzeczy?

Kawałek szkła pękł Harrisonowi pod stopą. Hazzard przycisnął drzwi mocniej i uniósł pistolet tak, że lufa znalazła się kilka centymetrów od mojej twarzy.

- Powiedz partnerowi, żeby się zatrzymał! - wrzasnął.

Harrison znieruchomiał.

- Nie jest pan mordercą - powiedziałam. - Po prostu patrzył pan, jak giną ludzie, i nie kiwnął palcem, byle tylko dalej wieść spokojne życie i powiększać kolekcję kijów i piłeczek do bejsbola.

Nie widziałam już jego twarzy, ale słyszałam zza drzwi jego oddech. Był coraz cięższy i głośniejszy.

- Proszę odejść, pani porucznik - poprosił.

- Nie mogę.

Harrison zaczął się znowu zbliżać do drzwi.

- Wykorzystał pan niewinnego człowieka, żeby nie wydało się, kto naprawdę zabił Victorię Fisher. Wykorzystał pan mojego ojca - rzuciłam. - Był pan ciemnym aniołem Danny'ego i naprowadzał go na fałszywy trop.

- Nie chce pani wiedzieć tego, co ja - odparł Hazzard. - Proszę się odwrócić i odejść.

- Czego nie chcę wiedzieć? - zapytałam.

- Proszę odejść, pani porucznik - powtórzył.

- Nie ruszę się stąd - rzekłam. - To wszystko musi się skończyć tu i teraz.

- To się nie skończy - powiedział Hazzard.

- Co takiego pan wie, do cholery?! - wrzasnęłam.

- Proszę - wyszeptał.

- Co pan wie?

Hazzard westchnął ciężko i wykrzyknął:

- Wszystko!... Wiem, kim był w San Francisco, w Seattle, w Portland. W Minneapolis używał nazwiska Johnson, w Filadelfii nazywał się Fisk. W Cleveland pracował w sklepie z męską odzieżą. Występował w teatrach w Dallas, Chicago, Nowym Jorku i w kilkunastu innych miastach, gdzie nie znał go nikt oprócz mnie, bo nigdy nie przestałem go szukać. Przez lata śledziłem wydatki z kart kredytowych, przelewy pieniężne, podania o wydanie prawa jazdy. I zanim zdążył choćby tknąć jakąś kobietę w każdym z tych miast, wykonywałem telefon, a nazajutrz policjant składał mu wizytę. Potem uciekał, a ja znowu go odnajdywałem.

Głos w mojej głowie zaczął powtarzać: „Nie, nie, nie”. Poczułam, jak coś ciągnie mnie z powrotem w głąb mrocznej szafy pełnej koszmarów.

- Mój ojciec - powiedziałam.

- Pamięta pani chociaż imiona pierwszych dwóch ofiar? - zapytał Hazzard.

- Alice i Jenny.

Odetchnął ciężko.

- Powinna pani była to zostawić.

Pokręciłam głową.

- Nie robi mi pan tego - rzuciłam.

- To nie ja to zrobiłem, to on.

- Może pan udowodnić, że mój ojciec zabił te kobiety?

- Nie muszę niczego udowadniać. Nie dopuściłem, żeby znowu zabił, tylko to ma znaczenie - odparł Hazzard.

- Gdzie jest Cross?

- Może pani zapomnieć o Crossie. Wszystko tu jest. Przekazuję ojca w pani ręce. Teraz pani za niego odpowiada. Niech pani nigdy nie pozwoli mu umknąć, niech nigdy nie zgubi go pani z oczu. Rozumie pani? Nigdy.

- Nie, nie rozumiem. Co pan ma na myśli? - zapytałam.

W oddali usłyszałam wycie policyjnych syren.

- Byłem gliniarzem - oświadczył Hazzard.

- Co pan, do cholery, zrobił?! - zawołałam.

Poczułam, jak drzwi przycisnęły się mocniej, gdy Hazzard wychylił się i spojrzał mi w oczy.

- Byłem świetnym gliniarzem.

- Nie! - zaczęłam krzyczeć, gdy przystawił sobie pistolet do głowy.

43

Harrison zbliżał się właśnie do drzwi, gdy poczułam pęd gorącego powietrza, a krew obryzgała framugę. Hazzard padł bezwładnie na podłogę i jego ciało uderzyło w nią z taką siłą, że miałam wrażenie, jakby cały dom zatrzęsł się w posadach.

Na chwiejnych nogach wycofałam się na korytarz i Harrison złapał mnie, gdy osuwałam się na ziemię. Przez moment świat zdawał się zanurzony w ciszy jak w czasie kolacji, gdy nikt nie wie, co powiedzieć. W prawym uchu dzwoniło mi od huku wystrzału. Harrison patrzył na mnie i mówił coś gorączkowo, ale niczego nie rozumiałam.

- Jesteś ranna? Jesteś ranna?

Uniosłam rękę, dotknęłam wilgotnej plamy na policzku i zobaczyłam na palcach krew.

- Nie, to nie moja.

- Jesteś pewna? - spytał Harrison, przesuwał dłonie wzdłuż mojego ramienia aż do miejsca, gdzie zostało przytraśnięte.

Pokiwałam głową.

- Czy mam wezwać karetkę?

Harrison wstał, pchnął drzwi i zajrzał do środka, a następnie pobiegł w głąb korytarza do łazienki. Po paru sekundach wrócił z ręcznikiem, przykucnął i zaczął wycierać mi krew z twarzy.

- Już po nim - oznajmił.

Dzwonienie w prawym uchu przycichło i spróbowałam uporządkować w myślach to, co usłyszałam od Hazzarda.

- Powiedział, że „wszystko tu jest”. O co mu mogło chodzić?

- Chyba miał na myśli ten pokój.

Podniosłam się i podeszłam do drzwi. Hazzard leżał twarzą do ziemi w kałuży krwi, która wsiąkała powoli w dywan. Nikłowany rewolwer kaliber 38, jeden z tych, jakie lubią nosić detektywi starszej daty, wciąż spoczywał w jego dłoni.

Przestąpiłam próg, rozejrzałam się po pokoju, a potem podniosłam swój pistolet. Pod ścianą w głębi stał stół zavalony dokumentami, a obok niego kilka kartotek. Nad stołem wisiała duża mapa Stanów Zjednoczonych, w którą tu i tam, bez widocznego porządku, były wbite pinezki z czerwonymi łebkami.

- Portland, Seattle, Dallas, Minneapolis, Cleveland.

Popatrzyłam na Harrisona.

- Wszystko tu jest - powiedziałam.

- Wygląda jak pokój sztabowy - zauważył Harrison, po czym wziął do ręki teczkę z wypisanym na okładce nazwiskiem Gavina.

Otworzył ją, a następnie wyciągnął i podał mi kartkę papieru. Był to raport z inwigilacji datowany na dzień, w którym został zamordowany mój brat. Został wydrukowany z poczty internetowej, w nagłówku

widniało imię i nazwisko nadawcy: „Andi James, Agencja Detektywistyczna Sloan”.

- Zlecił James śledzenie Gavina, kiedy dowiedział się, że adwokat coś odkrył. Przy okazji ostrzegł Crossa, który postanowił wziąć sprawę w swoje ręce.

Przebiegłam wzrokiem szczegółowy opis poczynań brata i tak jak nam powiedziała, James straciła go z oczu w szpitalu Uniwersytetu Południowej Kalifornii.

- Kiedy pierwszy raz się z nim spotkaliśmy, był daleko przed nami - zauważył Harrison.

- Był przed nami już znacznie wcześniej - odparłam, podchodząc do stołu. Na blacie w równo ułożonych rzędach leżał ponad tuzin tekturowych teczek, każda oznaczona innym nazwiskiem i inną nazwą miasta. Wzięłam jedną z nich do ręki.

- Fisk, Filadelfia.

Otworzyłam ją. Pierwsza kartka okazała się skserowanym dokumentem prawa jazdy.

- Edward Fisk, ulica Osiemnasta 1682. Sprzed czterech lat. W teczce był jeszcze tylko program teatralny.

- *Przyjdzie na pewno* Eugene'a O'Neilla.

Podalam broszurę Harrisonowi, a on otworzył ją i zaczął czytać.

- W roli Harry'ego Hope'a Edward Fisk.

Przyjrzałam się nazwiskom i zdałam sobie sprawę, że wszystkie należały do mojego ojca. Kilkanaście nazwisk i kilkanaście miast. Zaczęłam zaglądać do kolejnych teczek. Rok i dwa miesiące w Portland. Tyle samo w Dallas. Rok i cztery miesiące w Minneapolis. A w każdym mieście twarz na prawie jazdy stawała się trochę bardziej zmęczona i starsza niż poprzednio.

- Ukrywał się przed Hazzardem przez osiemnaście lat - stwierdziłam.

Harrison podszedł do stołu i wziął jedną z teczek.

- Andrew Keller, Puente Drive 3416, Dallas. Sztuka Sama Sheparda.

Wpatrywał się jeszcze przez chwilę w dokumenty, a potem przeniósł wzrok na leżące na podłodze Hazzarda.

- W każdym z tych miast przebywał trochę ponad rok, zanim Hazzard go wytropił.

Nad stołem pełnym teczek ludzi, w których wcielił się mój ojciec, wisiały zdjęcia dwóch pierwszych ofiar mordercy znad rzeki, Jenny Ro-

berts i Alice Lundholm. Wpatrywałam się w nie przez chwilę, nie chcąc uwierzyć w to, co widziałam, a czego obawiałam się od momentu, gdy wszystko się zaczęło i z mrocznych zakamarków podświadomości wypłynęły wspomnienia.

- Mój ojciec zabił te dwie kobiety. A Hazzard śledził go przez osiemnaście lat, żeby nie dopuścić, by znowu kogoś zaatakował.

Spojrzałam na Harrisona.

- Mój ojciec był mordercą znad rzeki.

Po raz pierwszy, odkąd go poznałam, Harrison nie wiedział, co odpowiedzieć. Podniosłam wzrok na mapę, usiłując skupić się na detektywistycznej pracy, która pozwoliłaby mi umieścić ten cały koszmar w bezpiecznym miejscu, otoczonym żółtą policyjną taśmą i oddzieliła go od reszty życia. „Zastanów się, znajdź coś, czego mogłabyś się uchwycić”.

- Nie ma teczki z Los Angeles. Samo miasto też nie jest oznaczone na mapie - zauważyłam.

- Jeszcze go tutaj nie znalazł. Dlaczego?

- Wciąż posługiwał się nowojorskim prawem jazdy.

- Co powinno tylko ułatwić Hazzardowi zadanie. Dlaczego więc jeszcze mu się nie udało?

Harrison zastanawiał się nad tym przez chwilę, błędząc wzrokiem po pokoju, aż wreszcie zatrzymał spojrzenie na kartotece z podpisem „Teatry”.

- Nie zagrał tu jeszcze w żadnej sztuce - powiedział.

Spojrzałam znowu na teczki skrywające różne twarze mojego ojca. Ile tajemnic pozostawił po sobie pod zmienionymi nazwiskami? Czy w którymś z tych miast miałam innych przyrodnych braci lub siostry, zadających sobie te same pytania, które ja stawiałam sobie przez trzydzieści lat?

- Pozbieraj to wszystko. Nie chcę, żeby przejęli to ludzie z LAPD.

Zaczerpnęłam powietrza, lecz nie mogłam wciągnąć go w płuca. Zdałam sobie sprawę, że czuję w ustach smak spalonego prochu, a zapach krwi zaczyna wypełniać pokój. Przebiegłam obok zwłok Hazzarda na podłodze tak szybko, jak mogłam, i nie zatrzymałam się, póki nie znalazłam się na świeżym powietrzu.

Chwilę później z domu wyszedł Harrison, niosąc stos teczek. Syreny, które słyszeliśmy w pokoju, stawały się coraz głośniejsze: radiowozy wyjechały już z sąsiedniej przecznicy. Candice Fleming siedziała w moim samochodzie i patrzyła na mnie przez okno.

- Kiedy dojdzie do siebie, będzie mogła potwierdzić, że to Cross ją porwał - powiedziałam.

- Ale gdzie on jest? - zauważył Harrison.

Spojrząwszy w okna domu, zobaczyłam, że ognisko Hazzarda wy-
palilo się i pozostał po nim tylko popiół.

- Cross albo już nie żyje, albo umrze wkrótce.

- Jeżeli Hazzard miał rację - dorzucił Harrison.

- Czy widziałeś w tamtym pokoju cokolwiek, co sugerowałoby, że się mylił?

Harrison patrzył na mnie przez chwilę.

- Nie.

Migające światła policyjnych kogutów błysnęły za rogiem.

- Sprawdź wszystkie teatry w południowej Kalifornii, które wysta-
wiły nowe przedstawienia w tym i zeszłym tygodniu albo szykują pre-
mierę na najbliższy weekend. Sprawdź, czy na listach aktorów znajduje
się Powell albo którekolwiek z nazwisk z tych teczek.

- Załatwię to - zapewnił Harrison.

Na podjeździe zatrzymały się dwa radiowozy, policjanci otworzyli
drzwiczki.

- LAPD - zauważył Harrison.

Kiedy funkcjonariusze z uniesionymi pistoletami przyczaili się za
drzwiami, popatrzyliśmy na siebie znacząco.

- Mam nadzieję, że przyjechali nam pomóc - mruknął Harrison.

44

Ciągnął mnie za włosy, kiedy usłyszałam huk, jakby zderzyły się samo-
chody - relacjonowała Candice Fleming. Siedziała na kanapie w moim
gabinecie, a obok spał wtulony w nią synek.

Pozostawiliśmy Hazzarda w rękach policjantów LAPD z Devons-
hire oraz koronera i pojechaliśmy z powrotem do Pasadeny, żeby jak
najszybciej zwrócić matce syna.

- Potem usłyszałam brzęk rozbijanej szyby i wtedy mnie puścił
- powiedziała.

- Cross? - zapytałam.

Fleming pokiwała głową.

- Później usłyszałam krzyki i ktoś podniósł mnie, i zaniósł do furgonetki przed domem.
- To był Hazzard - domyśliłam się.
- Właśnie on prowadził samochód, kiedy zdjęłam opaskę z oczu. Nie wiem, czy także mnie wyniósł, ale bardzo możliwe.
- Nie widziała pani nikogo innego? - spytał komendant Chavez, który siedział na krawędzi biurka.

Zaprzeczyła.

- Nie, ale jestem pewna, że Hazzard miał pomocników.
- Ale nie widziała pani twarzy żadnego z nich i nie słyszała ich głosów? - spytałam.

Westchnęła i spojrzała na synka.

- Nie.

Popatrzyłam na Chaveza. Nigdy wcześniej nie widziałam go w tak kiepskiej formie, wyglądał na śmiertelnie zmęczonego. W jego świetle gliniarze reprezentowali dobro i sprawiedliwość i przez wszystkie lata swojej służby starał się, aby w Pasadenie tak właśnie było. Świadomość, że policjanci, nawet tak znani z ekscesów jak ci z LAPD, mogli narobić tyle złego, po prostu złamała mu serce.

- I później nie widziała już pani Crossa? - zapytał.

Fleming pokręciła głową.

- Nie wiem, co się z nim stało.

Chavez wstał i położył swoją wielką silną rękę na głowce śpiącego Petera, jakby była talizmanem, który pozwoli mu znowu odnaleźć świat, gdzie dobro i zło są rozdzielone grubą, wyraźną linią.

- Przechowamy was tutaj, dopóki się nie upewnimy, że jesteście bezpieczni - powiedział.

Candice Fleming uśmiechnęła się, jakby usłyszała bardzo stary dowcip.

- Jak właściwie zamierzacie to sprawdzić? - zapytała.

Wyszliśmy za drzwi, zostawiając matkę i syna samych.

- Pięć osób nie żyje, ponieważ Cross zadusił dwadzieścia lat temu nastolatka, a potem odkryła to asystentka w prokuraturze - rzekł Chavez.

Pokiwałam głową.

- Hazzard wysyłał Danny' emu listy o moim ojcu, żeby naprowadzić go na fałszywy trop, był jego ciemnym aniołem. Kiedy ojciec wrócił do miasta, Danny znalazł go i zdemolował mu mieszkanie. Ojciec poszedł

do Gavina, a ten do Hazzarda, bo myślał, że gliniarze nękającego klienta. Hazzard wynajął Andi James, żeby śledziła Gavina, a Cross śledził ich oboje. Kiedy Gavin i mój brat znaleźli spisane przez Victorię Fisher zeznanie świadka, wszystko wymknęło się spod kontroli i rozpętało się piekło.

- A Hazzard nie kiwnął palcem, mimo że Cross zabił trzy osoby i odpowiadał za śmierć dwóch następnych - uzupełnił Chavez.

- Gdyby zareagował, wyszłoby na jaw, że był wplątany w zatuszowanie trzech innych morderstw.

- A co z LAPD? - spytał Chavez. - Ile właściwie o tym wiedzieli?

- Na pewno tyle, żeby ukreślić łeb dochodzeniu w sprawie śmierci tamtego chłopaka. Może też dość, żeby pomóc Hazzardowi w uratowaniu Candice Fleming? Na pewno wystarczająco dużo, żeby ochronić własne tyłki.

Chavez popatrzył na mnie w milczeniu.

- A twój ojciec? - zapytał po chwili.

Z bólem spojrzałam mu w oczy.

- Mój ojciec odebrał życie dwóm młodym kobietom.

- Jesteś tego pewna? - spytał i łzy zaczęły mu napływać do oczu.

- Nie mam niezbitych dowodów - odparłam. - Ale Hazzard dzień po dniu przez całe osiemnaście lat, za każdym razem, gdy patrzył w lustro, wierzył, że pozwolił mordercy bezkarnie odejść.

Harrison wstał zza biurka z telefonem w ręku.

- Myślę, że powinnaś odebrać.

Spojrzałam na zegarek, było prawie wpół do czwartej w nocy.

- To Larson - wyjaśnił Harrison. - Kapitan wydziału spraw wewnętrznych, z którym spotkaliśmy się w Chinatown.

Wzięłam od niego słuchawkę.

- Późno pan dzwoni, detektywie, nawet jak na kogoś ze spraw wewnętrznych.

- Obywatel doniósł, że widział, jak z mostu Glendale Avenue wpadło do rzeki ludzkie ciało. Ten sam obywatel powiedział też, że widział chyba nieoznakowany policyjny samochód odjeżdżający z miejsca zdarzenia. Pomyślałam, że mogłoby to panią zainteresować.

- Dlaczego? - zapytałam.

- Ponieważ wszystko, co dobre, ma swój kres.

Zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, Larson się rozłączył.

O czwartej nad ranem zjechaliśmy z autostrady numer 2 i zatrzymaliśmy się na moście Fletcher Street. Wiatr, który towarzyszył mi prawie nieustannie od owego poranka, gdy dowiedziałam się, że miałam brata, wreszcie ucichł. Świsł wichury i warkot samochodów ustąpił szumowi wody płynącej skalistym korytem i szelestowi zarośli. Patrząc na północ, ponad kilometr dalej, widzieliśmy czarną wstęgę rzeki przepływającą obok Griffith Park i pod mostem Los Feliz, gdzie zginął mój brat.

- Tam - powiedział Harrison, wskazując punkt kilkaset metrów w górę rzeki.

Dwa biało-zielone samochody strażników parku stały na betonowym nabrzeżu. Za nimi dostrzegłam kilka czarno-białych radiowozów LAPD i nieoznakowane pojazdy detektywów.

- Dlaczego tutaj? - spytał Harrison.

Z drżeniem niepokoju spjrzałam na brzeg, gdzie zakończył życie mój brat.

- Nie wiem - odparłam.

Przeszliśmy przez furtkę, za którą znaleziono zwłoki mojego brata, i pomaszzerowaliśmy pół kilometra w górę rzeki w kierunku zaparkowanych samochodów. Strażnik parku w woderach wspinał się z powrotem na nabrzeże. W powietrzu unosiła się mocna woń wodorostów i dziwnej mieszaniny ścieków, jakie trafiają z ulic Los Angeles do rzeki. Sto metrów od miejsca zdarzenia zostaliśmy zatrzymani i wylegitymowani przez umundurowanego funkcjonariusza. Zbliżyliśmy się do detektywa z wydziału kryminalnego, który był przy zastrzeleniu Lopeza i później tak subtelnie próbował nas zastraszyć w gmachu sądowym, a teraz stał na nabrzeżu przy samej wodzie i rozmawiał przez telefon.

- Detektywie Pearce - powiedziałam.

Zerknął na mnie przelotnie, mruknął coś do telefonu, a potem się rozłączył.

- Pani porucznik, to nie ma z panią nic wspólnego.

- Jeśli mężczyzną w rzece jest Cross, to myślę, że jednak ma.

Patrzył na mnie przez chwilę, po czym pokręcił głową.

- Skąd pomysł, że w wodzie leży akurat śledczy z prokuratury?

- Zdaje się, że obywatel, który zadzwonił ze zgłoszeniem, widział odjeżdżający policyjny samochód - odparłam.

Pearce przekrzywił szyję, aż chrupnęły mu kręgi.

- Trudno o mniej wiarygodne źródło niż naoczny świadek, zwłaszcza anonimowy.

Spojrzałam na ciemną wodę. Dziesięć metrów dalej nienaturalnie wygięte ciało zatrzymało się na pniach małego skupiska wierzb. Strażnik w woderach zdążył obwiązać je liną, żeby nie zsunęło się i nie spłynęło w dół rzeki. Teraz podał Pearce'owi plastikową torebkę zawierającą przemoczony portfel, który należał do ofiary.

- Hazzard nie żyje - poinformowałam. - Pearce zacisnął zęby, lecz wciąż spoglądał na zwłoki. - Strzelił sobie w głowę.

Pearce wychylił się do tyłu i popatrzył na rząd drzew rosnących przy ogrodzeniu za nabrzeżem.

- Zawsze dzieje się coś takiego, kiedy wieje pustylny wiatr. Ludzie robią krzywdę sobie albo innym - rzekł Pearce. - Czasem nawet nie wiedzą dlaczego.

- Hazzard akurat wiedział. Dwadzieścia lat temu pomógł zatuszować morderstwo, którego dopuścił się jego policyjny partner, a potem zabójstwo studentki prawa, która, pracując w prokuraturze, odkryła prawdę.

Pearce odwrócił się i popatrzył na mnie.

- Jest pani tego pewna?

- Owszem.

Wziął głęboki wdech.

- Doświadczenie uczy, że mało jest ludzi, którzy rzeczywiście wiedzą to, co im się wydaje, że wiedzą. - Zerknął znowu na ciało, po czym sięgnął do torebki i wyjął portfel. Kiedy go otworzył, zobaczył prokuratorскую odznakę i legitymację Crossa. - Wygląda na to, że miała pani rację - stwierdził.

- Chciałabym obejrzeć zwłoki - powiedziałam.

Skinął ręką na rzekę.

- Jeżeli chce pani brodzić w tym szambie, to proszę bardzo. Tylko niech pani niczego nie dotyka. Nie ustaliliśmy jeszcze, czy to morderstwo, czy samobójstwo.

Strażnik wręczył Harrisonowi i mnie wodery. Włożyliśmy je i ruszyliśmy przez ciemną wodę. Przy każdym kroku z dna unosił się gęsty szlam, który oblepiał nam buty, a potem spływał szarymi smugami z nurtem rzeki. Dotarliśmy do ciała, które zwisało powyginane na chudych pniach wierzb.

Skóra wyglądała nienaturalnie blado na tle ciemnej wody. Twarz była na wpół zanurzona, jedno mętne oko wpatrywało się w górę rzeki. Przy przeciwnym brzegu stała w wodzie czapla, która spoglądała na nas nieufnie.

Zbadałam zwłoki, na ile się dało w tych warunkach. Na twarzy i szyi znalazłam sińce i liczne skaleczenia, rana wlotowa po kuli znajdowała się tuż nad lewym uchem.

- Nigdy nie słyszałam o samobójcy, który by się najpierw bił sam ze sobą - powiedziałam.

Odwróciłam się i spojrzałam na nabrzeże.

- Cross nie poddał się w swoim domu bez walki - zauważył Harrison.

Pokiwałam głową.

- Ale przegrał - odparłam.

- Dlatego Hazzard powiedział ci, że możesz zapomnieć o Crossie - dopowiedział Harrison. - Po uratowaniu Candice Fleming jego kumple z LAPD wywlekli szamoczącego się Crossa z domu, wpakowali mu kulkę w łeb i zepchnęli z mostu.

- Tylko że żadnej z tych rzeczy nie możemy udowodnić, bo Candice Fleming widziała jedynie Hazzarda.

- Ale to wciąż nie tłumaczy, dlaczego porzucili zwłoki akurat tutaj - zauważył Harrison.

- Nie - odparłam, spoglądając na stojącego na nabrzeżu detektywa.

- Lecz jest jakiś powód i przypuszczam, że Pearce nam go wyjawia.

Popatrzyłam ostatni raz na zwłoki, a potem odwróciłam się i ruszyłam na brzeg, idąc za liną, której końcem obwiązano Crossowi pas.

- Może pan wyjaśnić, skąd na twarzy i szyi wzięły się sińce i skaleczenia? - zapytałam.

Pearce wpatrywał się w wodę, nie nawiązując ze mną kontaktu wzrokowego.

- Skutki upadku z mostu - odrzekł.

- Znaleźliście broń?

Pokręcił głową.

- Jeszcze nie, ale założę się, że znajdziemy.

- To nie było żadne samobójstwo, Pearce - powiedziałam.

- Cóż, gdyby tak się okazało, to mamy nawet podejrzanego z motywem i długą historią łączącą go z tą rzeką i osobą ofiary.

Skinął ręką na innego detektywa, który sięgnął do kieszeni i podał Pearce'owi kartkę.

- Myślę, że może go pani nawet znać.

Wręczył kartkę Harrisonowi. Była to kopia nowojorskiego prawa jazdy mojego ojca.

- Możecie sobie to zatrzymać, mamy tego od cholery - powiedział Pearce. - Zdaje się, że naprawdę nazywa się Manning, a nie Powell.

- Więc teraz wiemy, dlaczego go tu porzucili - zauważył Harrison.

Odwróciłam się do Pearce'a.

- Jeśli myślicie, że tym zamkniecie mi usta, to jesteście w dużym błędzie.

- Ja tylko wykonuję swoją robotę, pani porucznik.

- Jak za starych dobrych czasów.

Przytaknęłam.

- Otóż to, dokładnie.

- Candice Fleming wie, że w domu Crossa był nie tylko Hazzard. Prokurator okręgowy może zechce o tym usłyszeć.

- Naprawdę? A odniosłem wrażenie, że została uratowana dzięki odwadze samotnego policjanta, który później tragicznie odebrał sobie życie. To, co wydarzyło się przedtem, właściwie nie ma znaczenia.

- To tak nie działa - odparłam.

Pearce spojrzął na małe wiry czarnej wody, tworzące się przy brzegu.

- Przeciwnie, właśnie tak to działa, zawsze tak działało, pani porucznik. Winni zostali ukarani, Cross nie żyje, Hazzard nie żyje. Czego więcej można żądać od sprawnego systemu? Niech pani wraca do Pasadeny.

Popatrzyłam na zwłoki Crossa na wpół zanurzone w wodzie.

- To nie jest ten system - powiedziałam.

Pearce'owi zadzwoniła komórka i podniósł ją do ucha. Po kilku krótkich słowach podał mi telefon.

- Prokurator chciałby z panią pomówić.

Wzięłam telefon.

- Delillo.

- Tu zastępca prokuratora okręgowego Fuentes, pani porucznik. To kurtuazyjny telefon, następny już taki nie będzie. Jeśli nadal zamierza pani mieszać się do dochodzenia prowadzonego przez LAPD, zostanie pani oskarżona o utrudnianie pracy policji i nie zawaham się uczynić wszystkiego, co w mojej mocy, by śledztwo toczyło się w taki sposób i w takim kierunku, aby wreszcie zamknąć tę sprawę raz na zawsze. Rozumiemy się?

- Doskonale.
- To nie my narobiliśmy tego bałaganu, pani porucznik, choć teraz zamierzamy go posprzątać.

Oddałam telefon Pearce'owi.

- Właśnie taki jest system - oświadczył Pearce.
- To jeszcze nie koniec - powiedziałam.

Zerknął na kopię nowojorskiego prawa jazdy mojego ojca, a potem spojrzął na zwłoki w rzece.

- Dla mnie tak - odparł. - Reszta zależy od pani.

Harrison i ja ruszyliśmy z powrotem wzdłuż rzeki, gdy niebo nad górami San Gabriel zaczęło się rozjaśniać. W pobliżu furtki, przy której zginął mój brat, zatrzymaliśmy się i spojrzeliśmy za siebie w górę rzeki. Zarówno mój brat, jak i jego zabójca zostali znalezieni akurat na tej wysokości, gdzie rzeka płynie korytem z kamieni i piasku, a nie z betonu jak na pozostałej długości. Mogłoby się zdawać, że właśnie tutaj zachowała się w stanie dzikim i nienaruszonym, ale to nieprawda. A im bardziej ludzie starali się nadać jej pozory naturalności, tym dotkliwsze stawało się poczucie straty i tęsknoty za tym, co kiedyś było lub mogło być.

Jeżeli Pearce miał rację i dla niego sprawa się skończyła, to nie mylił się również Hazzard i dla mnie była daleka droga do końca.

- Jeśli nie odpuszczę, zwałą winę na mojego ojca - powiedziałam.

Harrison popatrzył na mnie i pokiwał głową.

- Więc odpuść.
- Bo winni zostali ukarani? - spytałam.
- Coś w tym rodzaju.

Zaprotestowałam.

- Pamiętasz, co Hazzard powiedział o moim ojcu?

- Nie.

- „Przekazuję ojca w pani ręce. Niech pani nigdy nie pozwoli mu umknąć”.

Spojrzałam na ostatnie dopalające się w górach pożary, jasne plamki na ciemnym tle widoczne w oddali.

- Osiemnaście lat temu na brzegu tej rzeki mój ojciec zadusił i zgwałcił dwie młode kobiety. A teraz ja za niego odpowiadam... Tego akurat nie mogę odpuścić.

Rozłożyłam teczki z dokumentacją zebraną przez Hazzarda na temat ojca w tym samym pokoju, gdzie całą ścianę wciąż pokrywała mapa Danny'ego. Czternaście różnych nazwisk w ciągu osiemnastu lat. Tyle samo miast. W jednym miał brodę i okulary, w innym był siwy i gładko ogolony. Każda twarz różniła się trochę od poprzedniej. Na wszystkich zdjęciach patrzył prosto w obiektyw, jakby chciał się przekonać, czy tym razem aparat uchwyci to, kim jest naprawdę.

Do tej pory znałam tylko trzy jego twarze, które widywałam na ekranie telewizora, lecz teraz zrozumiałam, że prawdopodobnie nie były bliższe rzeczywistości niż niewyraźne wspomnienia kogoś, kto przypominał z wyglądu Richarda Widmarka.

W każdym z miast żył przez rok w cieniu anonimowości, by potem wyjść na scenę. Wtedy Hazzard odnajdywał go i wszystko zaczynało się od nowa. Kartki rozłożone na stole były dziennikiem ciągłej podróży.

- Dlaczego tu wrócił? - zapytałam. - Nie mogło chodzić tylko o to, żeby zobaczyć pokój wnuczki. Nie po tylu latach. Może chciał dowieść, że nie popełnił trzeciego morderstwa. Na pewno nie zależało mu na spotkaniu z synem albo ze mną. Coś go tu sprowadziło.

Harrison popatrzył na dokumenty ułożone w rzędki na stole, a potem podniósł wzrok na mapę Danny'ego.

- Może musiał wrócić.

Spojrzałam na niego i pokręciłam głową.

- Siła ciężenia - wyjaśnił Harrison. - Ciągnęło go tutaj.

- To, co zrobił?

Pokiwał głową.

- Albo czego nie zrobił.

- Bilans życia.

- Może.

Podeszłam do okna i spojrzałam na góry. Na wschodzie kilka smużek dymu jak ze zdmuchniętych świeczek wznosiło się prosto w czyste błękitne niebo. Cały poranek i większość popołudnia spędziliśmy, przeglądając strony w Internecie i dzwoniąc po teatrach w Los Angeles i okolicach w poszukiwaniu aktorów, których nazwiska pasowałyby do tych, jakimi posługiwał się mój ojciec. Bez powodzenia. Sprawdziliśmy też szkoły aktorskie i rezultat był ten sam. Jeśli po przyjeździe do Los

Angeles ojciec wyszedł na scenę, to przegapiliśmy to albo szukaliśmy nie tam, gdzie powinniśmy.

- Jaki mamy dzień tygodnia? - zapytałam.

Harrison musiał się chwilę zastanowić.

- Niedzielę.

Od pamiętnego telefonu od koronera, od którego wszystko się zaczęło, upłynął prawie tydzień. Jutro mieli mi wydać zwłoki i będę musiała pochować brata, którego nigdy nie poznałam.

- A jeśli mój ojciec wrócił z innego powodu?

Harrison przyglądał mi się przez chwilę, próbując czytać w moich myślach.

- Żeby znowu być Thomasem Manningiem?

Potwierdziłam.

- Ale którym?

- Może jest tylko jeden - zauważyłam.

- Hazzard nigdy nie dowiedział, że twój ojciec ponosił winę za śmierć tych dwóch młodych kobiet.

- Bo nie mógł. Musiałby ujawnić to, co Cross zrobił Victorii Fisher, i fakt, że sam pomógł zatuszować zbrodnię. Ale nadal był gliniarzem, więc skorzystał z rozwiązania, które wydawało się w tych okolicznościach najlepsze: tropił mojego ojca przez następnych osiemnaście lat.

Spojrzałam na zdjęcia kilkunastu różnych ludzi, w których ojciec musiał się wcielić, uciekając przed Hazzardem.

- Mógł wrócić z tysiąca różnych powodów - rzekł Harrison.

- Owszem, ale żaden nie wydaje się tak przekonujący, jak jego własna przeszłość - odparłam.

- Sprawdzę wszystkie zgłoszenia napaści na tle seksualnym od jego powrotu - powiedział Harrison. - Jeżeli do którejś doszło w teatrze albo szkole aktorskiej, będziesz miała odpowiedź.

Pokiwałam głową. Harrison wyglądał, jakby chciał coś dodać, lecz potem rozmyślił się i ruszył do drzwi.

- Co? - spytałam.

Zawahał się.

- Jeżeli nadal niczego nie znajdziemy, żadnego gwałtu ani napaści, to czy na pewno wciąż będziesz chciała go odszukać?

Przez ostatni tydzień dziesiątki razy wyobrażałam sobie nasze spotkanie i zawsze gdy nadchodził moment konfrontacji, po prostu stałam przed nim i milczałam.

- Tak.

- Dlaczego? Nie możesz go aresztować ani o nic oskarżyć... i nie możesz cofnąć się w przeszłość i naprawić tego, co się stało. - Popatrzył mi w oczy. - Mam w tym trochę doświadczenia.

- Chcę, by miał świadomość, że wiem, kim naprawdę jest, że znam imiona Alice i Jenny, i każdej z kobiet, które wyszły z nim na scenę, myśląc, że jest nauczycielem, kimś, komu mogą zaufać.

Przez chwilę patrzyliśmy na siebie w milczeniu.

- To jeszcze nie wszystko - zauważył Harrison.

Pokiwałam głową.

- Chcę, aby wiedział, że pamiętam, jak wygląda świat z wnętrza szafy. I że już się nie boję.

Rozległo się pukanie do drzwi i wszedł Traver z notatnikiem w dłoni.

- Możliwe, że coś mam - oznajmił.

- Mów.

Podszedł do stołu i spojrział na papiery.

- Kiedy nie trafiliśmy na żadne z tych nazwisk, zacząłem dopasowywać biogramy aktorów i miejsca, w których występowali w przeszłości, do tych wszystkich miast.

- Znalazłeś coś?

- Około tuzina aktorów grało w paru z tych miast. W czterech występowały dwie osoby, w pięciu jedna, tyle że wszystkie trzy to kobiety. Ale jeden aktor grał w ośmiu z czternastu miast, w których mieszkał twój ojciec. Uznałem, że to może być on.

- Masz jego nazwisko?

Traver przytaknął.

- Nazywa się Brooks.

- Gdzie jest ten teatr?

- W Venice.

Oboje z Harrisonem ruszyliśmy do drzwi.

- To jeszcze nie wszystko - oznajmił Traver i zatrzymaliśmy się w pół kroku.

- Według dyrektora teatru nieco ponad dwa tygodnie temu Brooks stracił swój dobytek w pożarze.

- Czyli w tym samym czasie, gdy Danny zdemolował mieszkanie - zauważył Harrison.

- Wygląda na to, że asystentka inspicjenta użyczyła Brooksowi kąta w swoim domu.

Nagle zrobiło mi się gorąco, a krew zaszumiała w uszach jak wtedy, gdy weszłam do domu dzieciństwa.

- Kobieta. Opisał ci, jak wygląda? - zapytałam z walącym sercem.
 - Trzydzieści kilka lat, długie blond włosy, ładna. Dyrektor mówi, że opuściła dwa ostatnie przedstawienia.
 - Dlaczego?
 - Zadzwoiła, że źle się czuje, ale od tamtego czasu w ogóle się nie odezwała. To było dwa dni temu.
 - Jak się nazywa?
- Traver wydarł kartkę z notesu i mi ją wręczył.
- To jej adres. Mieszka przy plaży.
- Spojrzałam na kartkę, a potem na Harrisona.
- Ma na imię Jenny.

46

Może to być tylko zwykły zbieg okoliczności - powiedział Harrison, gdy jechaliśmy autostradą numer 10 na zachód w kierunku plaży. Nie wierzył w to ani odrobinę bardziej niż ja, mimo że chciałam.

Osiemnaście lat temu młoda kobieta Jenny Roberts została po lekcji aktorstwa w teatrze, żeby popracować z moim ojcem nad sceną. A on rozdarł jej bluzkę i zaczął wlec za nogę po scenicznych deskach. Miesiąc później była martwa.

W świecie, którego granice wyznacza żółta policyjna taśma, zbieg okoliczności nie istnieje.

Kiedy skręciliśmy na autostradę 405, pierwszy raz, odkąd przez miasto przetoczyła się fala pożarów, zobaczyłam na niebie gęste szare chmury. Temperatura spadła o kilka stopni i z każdym pokonywanym kilometrem robiło się ciemniej, aż wreszcie miało się wrażenie, jakbyśmy wpadli prosto w zimowe popołudnie.

Zjechaliśmy z autostrady w Czwartą ulicę, a potem ruszyliśmy Main na południe. Harrison znał okolicę. Znaleźliśmy się akurat w tej części Venice, gdzie odrestaurowano stare kanały. Domy stoją jednym bokiem przy ulicy, a drugim przy kanale.

Gdy zbliżaliśmy się na miejsce, świeży zapach oceanu obecny we wszystkich plażowych dzielnicach, stał się cięższy, niosąc woń rozkładającego się morskiego życia, które obumiera w wodzie z braku tlenu.

- Nawet przyplływ nie jest w stanie przegnać tego smrodu - zauważył Harrison. - Zawsze kiedy tu jestem, mam wrażenie, jakbym wchodził do wnętrza niewietrzonego domu.

Zatrzymaliśmy się na Howland przed niedużym bungalowem, który był prawie całkowicie skryty wśród bujnej tropikalnej roślinności. Drewniany jaskrawożółty płótek otaczał tyły posesji. Frontowe drzwi były pomalowane na ostry błękit, choć nawet z ulicy widziałam, że farba wyblakła i popękała.

Przeszliśmy przez furtkę i ruszyliśmy w stronę drzwi. Na wybrukowanej ścieżce leżały dwa egzemplarze „Timesa”. Na schodku poniewierało się z pół tuzina ulotek reklamowych.

Okna od frontu ledwie widoczne zza gęstych bananowców miały opuszczone żaluzje. Harrison wcisnął dzwonek, a gdy nie było odpowiedzi, załomotał do drzwi.

- Panno Lowe, policja! - zawołał, lecz wciąż nie było żadnej reakcji.

- Zobaczmy, czy uda nam się znaleźć otwarte okno - zaproponowałam i wyszłam za róg.

Okna od wschodu były pozamykane równie szczelnie jak te od frontu. Ścianę od strony kanału zasłaniał rząd wysokich strelcji. Tylne drzwi były pomalowane tym samym odcieniem żółci co płót, lecz i tu farba wyglądała na wyblakłą. Łukowe okienko w drzwiach zdawało się jedynym, przez które można było zajrzeć do środka.

Zajrzałam. Pokój przecinała cienka smuga rozproszonego światła z jednego z okien w zachodniej ścianie, lecz resztę wnętrza spowijał gęsty mrok.

- Na środku podłogi coś leży - powiedziałam.

Moje oczy zaczęły się przyzwyczajać do ciemności i zobaczyłam cienką linię, która wyglądała jak zwinięty wąż.

- Wyważ drzwi - poleciłam.

Zamek puścił po drugim kopnięciu i drzwi odskoczyły. Snop światła z otwartych drzwi oświetlił kilka długich zwojów linki leżącej na drewnianej podłodze.

- Panno Lowe... Jenny, tu policja! - zawołałam, lecz nikt nie odpowiedział.

Harrison wyciągnął broń i zapalił światło.

- Spójrz na okna - powiedział.

Ktoś usiłował zabezpieczyć każde z nich przed otwarciem, obwiązując klamkę linką, której koniec był umocowany do jednego z ciężkich mebli przy ścianie.

- Stara się powstrzymać coś lub kogoś przed wejściem - stwierdził Harrison. - Ale to nie ma sensu. Wystarczyłoby wybić szybę i przeciąć linkę.

Rozejrzałam się po pokoju, obecność strachu wciąż była w nim wyczuwalna.

- Ma sens dla kogoś w panice - odparłam.

Przemierzyłam pokój i zajrzałam do kuchni. Na stole stał niedokończony posiłek.

- To jedzenie ma co najmniej kilka dni - orzekłam.

Na podłodze leżał stłuczony kieliszek, rozpryskane wino przyschło do kafelków.

- Jeden rozbity kieliszek. Wszystko inne na miejscu.

Podeszłam do okien przy stole, które zostały zabezpieczone tak samo jak pozostałe, tylko że tutaj linkę przywiązano do kratki w podłodze. Zaczęłam błądzić wzrokiem po reszcie pomieszczenia, szukając wskazówki, która pozwoliłaby się domyślić, co się tu wydarzyło. Zasuwka w drzwiach otwierała się i zamykała tylko na klucz. Na kuchennym blacie stał pusty klocek na noże.

- Czegoś mi tu brakuje - powiedziałam.

Wpatrywałam się w klocek przez chwilę, a potem zaczęłam otwierać po kolei szuflady. Sztućce, plastikowe pojemniki, herbata, ściereczki - wszystko, czego można by się spodziewać w kuchni.

- Nie ma noży - zauważyłam. - Niczego, co byłoby ostrzejsze od noża do smarowania masła.

Gdzieś z wnętrza domu dobiegło nas skrzypnięcie podłogowej deski. Wyjęłam glocka z kabury i wyszłam do holu. Dźwięk dochodził zza drzwi na końcu korytarza.

Z plecami przy ścianie przekradliśmy się przez korytarz i zajęliśmy pozycje po obu stronach framugi. Ale to nie deska tak skrzypiała, dźwięk był mechaniczny i zdawał się dziwnie znajomy.

Chwytiłam gałkę, ostrożnie ją przekreśliłam i otworzyłam drzwi. Za nimi znajdował się mały pokój sypialny. Na komodzie przy oknie biegał w karuzeli chomik. Harrison wymierzył do niego z pistoletu i po chwili się uśmiechnął.

- W łóżku ktoś spał.
Harrison wszedł i otworzył szafę.
- Niczego tu nie ma - oznajmił. - Sprawdzę drugą sypialnię.
Ostatni raz omiotłam wzrokiem pokój i zauważyłam coś pod łóżkiem.
- Co to? - spytałam.
Harrison przykucnął i uniósł kapę. Zajrzał pod łóżko, a po chwili wsunął tam rękę i wyciągnął duży kuchenny nóż.
- Jest ich tam z pół tuzina.
Podał mi nóż. Był do krojenia mięsa, miał długie, cienkie ostrze. Podeszłam do okna, które było tak samo zabezpieczone przed otwarciem jak reszta.
- Klamki okien obwiązane linką, noże pod łóżkiem. Na co ci to wygląda? - spytałam.
- Na strach.
- Przed czym?
- Przed wszystkim albo wszystkimi.
Patrzyliśmy na siebie kilka sekund, zastanawiając się nad tym.
- Wygląda mi to na mieszkanie kogoś, kto ciągle ogląda się przez ramię, jak mój ojciec.
Z głębi domu dobiegło nas głośne westchnienie, a potem głos.
- Co, do cholery...
Wyszliśmy z sypialni do salonu. Przy wyważonych tylnych drzwiach stała trzydziestokilkuletnia blondynka z siatką zakupów w ręku.
Skinęłam na Harrisona, żeby usunął się z widoku, i podeszłam tak, by mogła mnie zobaczyć.
- Jestem z policji - wyjaśniłam.
Kobieta drgnęła zaskoczona i upuściła zakupy, wycofując się do drzwi.
- Chcę zobaczyć pani dokumenty - oświadczyła.
Uniosłam odznakę.
- Szukamy człowieka, który się u pani zatrzymał.
- Co się stało z moimi drzwiami?
- Czy pani Jenny Lowe?
Skinęła głową.
- Szukam mężczyzny o nazwisku Brooks.
Poruszyła wargami, jakby zamierzała odpowiedzieć, a potem odwróciła się i wybiegła za drzwi. Zanim zdążyłam zareagować, Harrison wypadł przez frontowe wejście i rzucił się w pogoń. Wyszedł z domu

i znalazłam ich za rogiem, gdzie Harrison powalił ją na ziemię i właśnie miał założyć kajdanki.

- Możesz ją podnieść - powiedziałam.

Harrison pomógł jej wstać. Nagły skok adrenaliny sprawił, że dostała wypieków.

- Nic się pani nie stało? - spytałam.

Pokręciła głową.

- Myślałam, że tak naprawdę nie jesteście z policji - wytłumaczyła się. - Myślałam, że ktoś go śledzi.

- Brooksa?

Potwierdziła.

- Proszę mi o nim opowiedzieć.

- Powiedział, że gdybym zobaczyła kogoś, kto wygląda podejrzanie, powinnam uciekać. Nie bardzo mu wierzyłam, ale kiedy zobaczyłam panią w domu, spanikowałam.

- Mówił, kto go śledzi albo dlaczego?

Zaprzeczyła.

- Po prostu wydawało mi się, że ma hopla na punkcie osobistego bezpieczeństwa. Podejrzewałam, że kiedyś musiało mu się przytrafić coś złego i pozostał taki uraz. Ale o co w ogóle chodzi?

Przechodzący obok sąsiedzi zaczęli zwracać na nas uwagę.

- Możemy porozmawiać w środku?

Kiwnęła głową i zawróciliśmy do domu.

Zaczęliśmy zbierać zakupy, które wysypały się z siatki, kiedy zauważyła linki przywiązane do okien.

- Co tu się, do cholery, działo?

- Nie mieszkała pani tutaj?

- Tylko przez parę dni po tym, jak się wprowadził. Później przenieśli się do koleżanki. Powiedziałam, że może u mnie zostać, aż sztuka zejdzie z afisza. Potem miał nagrany pracę w innym teatrze, chyba w Denver. Stracił wszystko w pożarze.

- Nie było żadnego pożaru - powiedziałam.

- Jasne, że był... - Gdy dotarły do niej moje słowa, w jej oczach pojawił się niepokój. - Czego mi nie mówicie?

- Czy groził pani w jakikolwiek sposób? - spytałam.

- Groził... To szaleństwo.

- Czy dotykał pani albo zachowywał się wobec pani niestosownie? - zapytał Harrison.

Spojrzała na mnie zaskoczona. W jej odpowiedzi nie doszukałam się cienia kłamstwa, lecz dostrzegłam, że coś w pytaniu dało jej do myślenia.

- Nie. Dlaczego pytaacie, czy mnie dotykał?

Pokazałam jej kopię nowojorskiego prawa jazdy ojca.

- Czy tego człowieka zna pani jako Brooksa?

Przyglądała się zdjęciu przez chwilę i zaczęła kiwać głową, gdy zorientowała się, że na dokumencie widnieje inne nazwisko.

- Powell... To nie jego nazwisko.

- Dlaczego nie było pani na dwóch ostatnich przedstawieniach?

- Wkurzyłam się na dyrektora. To nie ma nic wspólnego z... Co on takiego zrobił?

- Po prostu chcemy z nim porozmawiać.

- Zawsze wyważacie drzwi, kiedy po prostu chcecie z kimś porozmawiać? - Spojrzała na zwoje liny na podłodze. - Jedna z aktorek mówiła, że obmacywał ją podczas próby... Przeprosił, powiedział, że to niechcący, i na tym się skończyło.

- Kiedy ostatnio go pani widziała? - zapytał Harrison.

- Dwa dni temu w teatrze. To nie ma sensu. Człowiek, którego widziałam na scenie, nie mógłby zrobić tego, co sugerujecie. Wszyscy w teatrze zachodzą w głowę, dlaczego nie jest wielką gwiazdą.

- Miał nieco za wysoki głos - podsunęłam. - I trochę za bardzo przypominał z wyglądu Richarda Widmarka.

- Pani go zna.

Kiwnęłam głową.

- Spotkaliśmy się raz dawno temu - odparłam.

Westchnęła ciężko i usiadła na kanapie.

- Jakoś nagle źle się poczułam - wyjaśniła.

Usiadłam obok niej.

- Przez dwie noce spałam z nim pod jednym dachem, ja w jednym pokoju, a on w drugim. - Spojrzała w stronę korytarza, jakby sobie coś przypomniała. - Drugiej nocy obudziłam się, a on stał w drzwiach i na mnie patrzył. Udałam, że śpię, i przewróciłam się na drugi bok. - Popatrzyła na mnie. - Zdawało mi się, że słyszę kroki, jakby się zbliżał do łóżka, ale nic się nie wydarzyło, a kiedy wreszcie znowu się odwróciłam i otworzyłam oczy, jego już nie było. Uznałam, że to był po prostu sen.

- Nazajutrz przeprowadziła się pani do koleżanki.

Przytaknęła.

- Ale i tak zamierzałam to zrobić. Nie chciałam, żeby w teatrze zaczęli plotkować.
- Może już być na to za późno.
- Właśnie tak do mnie trafiliście?

Potwierdziłam.

- Ten telefon powinien był mi dać do myślenia.
- Jaki telefon?
- Od agenta, który szukał aktora o nazwisku Powell. Opis pasował jak ulał. Uznałam, że to zwykła pomyłka.

Harrison posłał mi spojrzenie.

- To mógł być Hazzard.

Znów na nią popatrzyłam.

- Wie pani, gdzie możemy go znaleźć?

Zerknęła na zegarek.

- W teatrze. Dziś po południu dajemy ostatnie przedstawienie.
- Spektakl schodzi dzisiaj z afisza? - spytałam.
- Tak. Zawsze kończymy popołudniówką.
- Wspomniała pani, że później wybiera się do Denver.

Pokiwała głową.

Serce zabiło mi mocniej, kołacząc o pęknięte żebra, o których prawie zdążyłam zapomnieć.

- Czy mówił pani, kiedy wyjeżdża z miasta?
- Zaraz po opadnięciu kurtyny. Dlatego przyjechałam do domu.
- Już tu nie wraca? - zapytał Harrison.

Pokręciła głową. Spojrzałam na zegarek. Było parę minut przed szóstą.

- Ile mamy jeszcze czasu do końca przedstawienia?
- Prawie wcale.

47

Ud teatru dzieliło nas tylko kilka kilometrów w linii prostej. Jazda, która powinna była trwać najwyżej pięć minut, przeciągnęła się do sześciu, a potem siedmiu. Z każdą upływającą sekundą czułam, jak ojciec się

ode mnie oddala, jakby zmieniał się znowu w ziarnisty czarno-biały obraz na ekranie telewizora.

Skręciliśmy w Venice. Dwa samochody zderzyły się na środkowym pasie, tamując ruch w obu kierunkach. Na rogu najbliższej przecznicy zobaczyłam teatr, który mieścił się w starym przebudowanym magazynie. Chodnik przed wejściem był pusty. Albo przedstawienie już się skończyło, a ja się spóźniłam, albo ojciec wciąż był w środku.

- Tak nigdy tam nie dotrzemy - powiedział Harrison

Zaparkował przy krawężniku, a ja popędziłam przed siebie, mijając witryny sklepów i stragany z taco, powtarzając sobie w duchu, że jeszcze mi nie uciekł. W połowie drogi poczułam rozprzestrzeniający się ból w klatce piersiowej. Kiedy dobiegaliśmy już do teatru, wzięłam wdech i zgięłam się wpół.

- Wyłamałaś sobie żebro - stwierdził Harrison.

Ostrożnie wciągnęłam powietrze do płuc, po czym wyprostowałam się i podeszłam do szklanych drzwi teatru. Ze środka zaczęły dobiegać oklaski.

- Wciąż tu jest - rzuciłam, spoglądając w głąb holu.

Mój ojciec był na pewno winny gwałtu na Candice Fleming, a może także dwóch morderstw nad rzeką, lecz Hazzard zadbał o to, by nigdy nie stanął za to przed sądem. Cokolwiek mnie tu czekało, nie należało już do obowiązków policyjnych. To, co powiem albo czego nie powiem, miało pozostać między córką ojcem, jakby ta więź cokolwiek znaczyła dla mężczyzny w tym teatrze i dla mnie.

Popatrzyłam na Harrisona.

- Mógłbyś sprawdzić, czy jest tu tylne wyjście i go popilnować? - poprosiłam.

Spojrzał mi w oczy, jakby upewniał się, czy tego właśnie chcę, a potem pokiwał głową i ruszył na tyły budynku. Patrzyłam, jak odchodzi, chciałam mu powiedzieć, żeby jednak został, lecz zamiast tego odwróciłam się i weszłam do teatru.

„Idź, po prostu idź... on czeka”.

Przekroczyłam próg, gdy aplauz z sali podniósł się i przybrał na sile. Hol zakrzywił się od prawej do lewej w kształt litery „U”. Wahadłowe drzwi prowadziły na widownię. Pchnęłam je i weszłam po schodkach do ciemnej sali ze słabo oświetloną sceną. Zatrzymałam się na chwilę i zamrugałam, żeby oczy przyzwyczyły się do mroku. Scena była otwarta, otoczona z trzech stron fotelami. Stałam w sektorze pośrodku,

kilkanaście rzędów od sceny, za moimi plecami wznosiły się następne rzędy foteli. Wszystkie miejsca zdawały się zajęte.

Para młodych aktorów, mężczyzna i kobieta, stali na scenie, trzymając się za ręce, i dziękowali za oklaski. Scenografia przedstawiała salon z lat sześćdziesiątych, urządzonego w farmerskim stylu tak jak dom, w którym sama się wychowałam.

Aktorzy posłali widowni całusy i wyszli, pozostawiając scenę przez moment pustą. Wpatrywałam się w mrok przy kulisach, gdy wyszła następna postać i stanęła pośrodku sceny, dziesięć metrów ode mnie. Nie rozpoznałam w niej żadnego z mężczyzn ze zdjęć na dokumentach prawa jazdy z różnych stanów, jakie zebrał Hazzard. Mógł być każdym z nich, kimś zupełnie zwyczajnym. Wiedziałam jednak, że jest inaczej. Mężczyzna, stojący przede mną, miał oczy czarne jak węgiel i charyzmę, która sprawiała, że spojrzenia wszystkich zwrócone były tylko na niego.

Uklonił się nisko, a potem wyprostował i jupiter oświetlił mu twarz. Widzowie poderwali się z miejsc i zaczęli bić brawo. Ojciec potoczył wzrokiem po publiczności, a na jego wargach zadrgał lekki uśmiech. Popatrzył w lewo i złożył ukłon, a gdy odwracał się w prawo, zawahał się i spojrzał w moją stronę. Mogłam być najwyżej niewyraźną postacią w mroku, lecz patrzył na mnie dłużej niż na kogokolwiek innego, a uśmiech zniknął mu z ust.

Kolana ugięły się przede mną i usłyszałam w głowie głos matki: „Bądź cicho jak myszka”.

Aplauz wzmógł się, następne osoby wstawały z miejsc. Poczułam, jak wracają mi siły, i ruszyłam środkowym przejściem w kierunku sceny.

„To nasza tajemnica”, wyszeptwała znowu.

Minęłam jeden rząd, a potem następny, zbliżając się do sceny.

„Bądź grzeczną dziewczynką”.

Głos w mojej głowie zamilkł. Ojciec przestał się kłaniać i zniechęcony, wpatrzony w ciemność, gdzie stałam. Potem odwrócił się i szybkim krokiem zszedł ze sceny, znikając za kulisami.

Brawa ucichły i na widowni zapaliły się światła. Poczułam się jak zaraz po burzy. Zanim zdążyłam ruszyć dalej, widzowie zaczęli opuszczać rzędy, kierując się do foyer. Ktoś za mną powiedział „Brooks”, potem to samo nazwisko padało raz za razem, z różnych stron. Ludzie kiwali głowami i oddychali głęboko, jakby przez półtorej godziny wstrzymywali oddech. Kilku miało łzy w oczach. Ktoś szepnął: „Naprawdę zrobił na mnie wrażenie”.

Obok przechodził bileter, pociągnęłam go za ramię.

- Gdzie są garderoby? - zapytałam.
- Musi pani wrócić do foyer, a potem pójść na lewo.

Spojrzałam na stłoczony tłum ludzi pchający się do wyjścia.

- Mogę się do nich dostać przez scenę?

Kiedy zaczął kręcić głową, pokazałam mu odznakę.

- Przez lewą kulisę - powiedział, pokazując mi ręką drogę.

Poczekalam, aż tłum przejdzie, a potem pobiegłam na scenę. Kiedy znalazłam się wśród imitujących salon dekoracji, usłyszałam głos ojca z przeszłości.

„Gdzie ona jest? Gdzie ją schowałaś?”

Próbowałam odepchnąć od siebie wspomnienia, lecz wciąż napływały.

„Ty suko! - wrzasnął. - Gdzie jest moja mała dziewczynka?”

Usłyszałam brzęk rozbijanej lampy, trzask łamanego krzesła, a potem stłumiony odgłos ciała uderzającego o ścianę.

- Mogę w czymś pomóc?

Parę metrów ode mnie stał inspicjent ze słuchawkami przewieszonymi przez szyję.

- Garderoby? - zapytałam.

Skinął ręką za siebie i wyszłam za kulisę na jasno oświetlony, szeroki korytarz, który zakrzywił się za sceną. Doleciał mnie odgłos otwieranych drzwi, a potem śmiech. Usłyszałam szybkie kroki, jakby ktoś biegł.

Dwoje aktorów, których widziałam wcześniej, gdy kłaniali się publiczności, wyłoniło się zza zakrętu i wyminęłam ich w pełnym biegu. Za rogiem po lewej stronie były magazyny z kostiumami i dekoracjami, pięć metrów dalej po prawej dwoje drzwi oznaczonych tabliczką: „Garderoby”.

Podeszłam i uchyliłam pierwsze z nich. Pośrodku pokoju stała aktorka, która zapinała sobie bluzkę. Odwróciła się i spojrzała na mnie, zakrywając dłonią pierś.

Wycofałam się i podeszłam do drugich drzwi. Wyciągnęłam rękę, żeby je otworzyć, gdy maszynista teatralny postawił drabinę przy wyjściu na końcu korytarza, a potem oddalił się, znikając mi z oczu. Spojrzałam z powrotem na drzwi i sięgnęłam po pistolet. Przez chwilę trzymałam dłoń na kolbie, a potem puściłam ją, otworzyłam drzwi i weszłam do środka.

W powietrzu unosiła się woń pudru, potu i papierosów. Wzdłuż prawej ściany ciągnął się rząd toaletek. Na oparciu jednego z krzeseł wisiał kostium, w którym widziałam ojca na scenie. W głębi pokoju słychać było szum wody. Przemierzyłam garderobę i zbliżyłam się do zamkniętych drzwi, za którymi ktoś brał kąpiel.

Otworzyłam je, lecz nie weszłam do środka. Łazienka miała kształt litery „L”. Szum wody dobiegał zza narożnika.

- Wyjdź - rzuciłam.

Woda szumiała dalej.

- Thomasie Manning.

Żadnej zmiany. Wsłuchiwałam się w odgłosy lecącej wody, czekając, aż dłoń albo ramię przetnie strumień, zakłócając jednostajny szum, ale nic takiego nie nastąpiło. Weszłam na wykafelkowaną podłogę i mijając umywalki i kabiny, zbliżyłam się do włączonego natrysku. W środku nikogo nie było, tylko woda lejąca się strugami na białe kafelki i znikająca z bulgotem w kratce odpływu.

- Nie - wyszeptałam, wybiegając z łazienki. Nie mogłam się spóźnić, przecież upłynęło tylko kilka minut.

Kiedy mijałam toaletkę, przed którą na krześle wisiał kostium ojca, zatrzymałam się. Na stoliku obok zestawu do charakteryzacji leżało jego nowojorskie prawo jazdy i mała koperta z moim imieniem wypisanym wdzięcznym, staromodnym charakterem pisma. Wzięłam ją i otworzyłam. Na dłoń wypadła mi gruba złota obrączka. Pamiętałam ją. Była chłodna w dotyku, gdy ojciec brał mnie za chudy dziecięcy nadgarstek albo gładził dłonią po policzku. Pamiętałam małe sińce w kształcie półksiężycy, jakie zostawiała na ciele matki. Ręka zadrżała mi i odłożyłam obrączkę na blat.

W kopercie był też złożony na pół bilecik, jakich używa się do pisania liścików dołączanych do kwiatów. Wyciągnęłam go i rozłożyłam.

„Przepraszam”, napisał ojciec.

Włożyłam prawo jazdy, obrączkę i liścik do kieszeni i wybiegłam z garderoby. W głębi korytarza pogaszono już światła. W mroku jarzyła się tylko czerwona tabliczka z napisem: „Wyjście”.

Postawiłam ostrożnie krok, nasłuchując. Cisza. Przebiegłam przez mroczny korytarz do tylnego wyjścia. Zasuwa uderzyła mnie boleśnie w biodro, ale drzwi ustąpiły i wypadłam na szare światło mglistego popołudnia. Zanim zdążyłam się obrócić, kątem lewego oka dostrzegłam jakiś ruch. Chciałam się rzucić w tamtą stronę, lecz czyjaś ręka chwyciła

mnie za ramię, a druga mignęła mi przy twarzy, gdy usiłowałam się wywinąć od ciosu.

- Nie - zaczęłam mówić.

Ręka łagodnie spoczęła na mojej szyi.

- Alex.

Przez chwilę wpatrywałam się w jego twarz, zanim w pełni dotarło do mnie, że to Harrison.

- Nie wychodził tędy? - spytałam.

Harrison pokręcił głową.

- Zamierza wyjść od frontu razem z tłumem - rzuciłam i ruszyłam z powrotem do drzwi.

Harrison popędził w głąb uliczki do wejścia od frontu, a ja przebiegłam przez korytarz, mijając garderoby i scenę, aż na drugi koniec. Pchnęłam drzwi i weszłam do foyer.

Całą przestrzeń od ściany do ściany wypełniał kilkusetosobowy tłum. Ludzie stali zbici w grupki i rozmawiali, popijając wino. Usiłowałam się przepchnąć, ale było zbyt tłoczno. Gdzieś rozległ się wybuch śmiechu, potem krótkie oklaski. Zaczęłam się rozglądać po twarzach najbliższej mnie, potem tych na drugim końcu holu, aż wreszcie zobaczyłam męską postać przemieszczającą się w kierunku wyjścia i przystającą co parę kroków, żeby wymienić uścisk dłoni.

Ktoś w tłumie krzyknął „Brooks”, mężczyzna odwrócił się i spojrzał w moją stronę. Przez moment widziałam tylko część twarzy, czuprynę ciemnych włosów, błysk uśmiechu, gdy ścisnął komuś rękę. A potem wszedł mi w pole widzenia, jakby od początku wiedział dokładnie, gdzie stoję.

Unióś rękę i zdjął okulary, popatrzył na mnie i przez krótką chwilę zdawało mi się, że setki głosów rozbrzmiewających wokół ucichło. Przetarł oczy, po czym włożył okulary z powrotem. Głosy w foyer powróciły, a on zniknął w tłumie.

Wyciągnęłam odznakę i uniosłam ją, krzycząc: „Policja”, ale tylko połowa ludzi, stojących mi na drodze, w ogóle mnie usłyszała. Ktoś trącił mnie łokciem w żebra i upadłam na jedno kolano, usiłując zaczerpnąć tchu, gdy pierś przeszył mi ból.

Ktoś podał mi rękę i pomógł wstać. Harrison.

- Widziałeś go? - spytałam, gdy nabrałam w płuca dość powietrza, żeby mówić.

- Nie.

- Kierował się do drzwi! - zawołałam, przekrzykując setki innych głosów.

Harrison spojrział na mnie i pokręcił głową.

- Właśnie tamtędy wszedłem.

Popatrzyliśmy na siebie, a potem Harrison objął mnie ramieniem, chroniąc moje połamane żebra. Zaczął przedzierać się przez tłum, odpychając ludzi drugą ręką, aż wyszliśmy z teatru i stanęliśmy na świeżym powietrzu.

Czterdzieści albo pięćdziesiąt osób rozmawiało na chodniku z kieliszkami w dłoniach. Na skraju tłumy, przy ulicy dostrzegłam znajomą postać i pobiegłam w jej stronę. Mężczyzna szedł do zaparkowanego samochodu, miał teraz czapkę naciśniętą na głowę. Kiedy sięgał do kieszeni po kluczyki, złapałam go za ramię i obróciłam. Spojrział na mnie z zaskoczeniem i cofnął się o krok.

- Przepraszam - rzuciłam i wybiegłam na ulicę, rozglądając się po bulwarze. Plaźowicze zdążyli już wrócić do domów, tylko co jakiś czas obok przejeżdżał samochód. Przyglądałam się twarzom kierowców i śledziłam wzrokiem każdego pieszego na chodniku, ale widziałam tylko obcych ludzi.

- Zniknął - powiedział Harrison.

48

Szukaliśmy mojego ojca w słabnącym świetle Venice, aż zapadł zmrok. Ponownie sprawdziliśmy teatr, a potem wszystkie sąsiednie ulice, lecz nigdzie go nie znaleźliśmy. Jeszcze raz na krótko wkroczył w moje życie, pozostawiwszy po sobie liścik z jednym słowem, złotą obrączkę i wspomnienia, przed którymi nie mogłam się dłużej ukrywać.

Nie istniał żaden dowód rzeczowy, który bezpośrednio wiązałby osobę mojego ojca z mordercą znad rzeki i jego zbrodniami. Fakt, że Hazzard tropił go bezustannie przez osiemnaście lat, na nic by się zdał w żadnym systemie sprawiedliwości, nawet tak zszarganym, jak nasz. Lecz zawiodła intuicja, tak samo jak dziewczynka w niebieskiej sukience, podpowiadały mi, że nie potrzebuję żadnych dodatkowych dowodów, by wiedzieć, czego ojciec dopuścił się nad brzegami rzeki Los Angeles.

Teraz był mój. Za każdym razem, gdy przybierze nowe nazwisko, zamieszka w nowym mieście i wyjdzie na scenę, będę musiała przypomnieć mu, że jest pod obserwacją. Gdyby mi się nie udało, będę odpowiadać za cierpienie każdej kobiety, którą tknie albo skrzywdzi. I tak będę się nim opiekować aż do jego śmierci. Jestem mu to winna jako córka, bo na tym polega umowa, jaką zawieramy za każdym razem, gdy na świat przychodzi nowe życie: rodzice opiekują się dziećmi, a z czasem role się odwracają.

Żaden aktor o nazwisku Brooks, Powell, Fisk ani nawet Manning nie pojawił się w Denver. W nadchodzących tygodniach zacznę go szukać w innym mieście, potem w następnym i jeszcze jednym aż do skutku, bo to właśnie robi się dla rodziny: nigdy nie przestaje się o nią dbać.

Nazajutrz rano podpisałam wymagane dokumenty, przyjmując prawną odpowiedzialność za szczątki swojego przyrodniego brata Johna Manninga. Przed pogrzebem przejrzę rzeczy w jego mieszkaniu i poznam człowieka, którego nigdy nie spotkałam. Samotnicze życie, jakie wiódł, było dziwnym odbiciem odosobnienia, w jakie popadł nasz ojciec. Jego związek z Daną Courson trwał tylko trochę ponad miesiąc. Jeżeli miał oprócz niej innych przyjaciół, to nie pozostawił żadnego fizycznego świadectwa ich istnienia. Miał kartę biblioteczną, ale nie potrafię powiedzieć, jakie książki lubił czytać. Jeśli miał jakieś hobby, to albo trzymał je w tajemnicy, albo nie miał okazji z nikim się nim podzielić.

Z nielicznych strzępów informacji, jakie udało mi się zebrać o jego przeszłości, wynikało, że miał siedem lat, kiedy nasz ojciec rozstał się z jego matką. Jeśli ojciec dał mu to, czego ja pragnęłam jako dziecko, lecz nigdy nie otrzymałam, to nie zachowały się żadne świadectwa na ten temat. Nie wiem, czy stanowili szczęśliwą rodzinę. Nie wiem, czy ojciec był wobec niego agresywny. Nie wiem, jakie wspomnienia chował w sercu.

Wiem natomiast to, że trzy miesiące po jego siódmym urodzinach, ojciec wyszedł z domu i nigdy nie wrócił. Pół roku później doszło do pierwszego morderstwa nad rzeką.

Od jak dawna John był świadomy, że ma przyrodnią siostrę, także pozostanie tajemnicą. Numer mojego telefonu był zapisany w jego notesie, ale billingi wskazywały, że nigdy do mnie nie zadzwonił. Wiem jednak, że pomyślał o mnie w chwili strachu i że byłam ostatnią osobą, z którą próbował się skontaktować.

W słoneczny poranek, gdy niebo było tak błękitne, jakby zostało narysowane kredką, pochowałam go na zboczu wzgórza w Forrest Lawn, niedaleko mogiły człowieka, który napisał *Czarnoksiężnika z krainy Oz*.

Lacy, Harrison, Chavez i Traver stali przy mnie, gdy składano go do grobu. Kapłan mówił o tym, co mógł lubić, jak mógł się śmiać, a ja postanowiłam, że od tej pory, gdy ktoś zapyta, czy miałam brata, będę opowiadać o tych wymyślonych szczegółach, jakbym go rzeczywiście znała.

Kiedy odchodziliśmy od świeżo zasypanej mogiły, przystanąłam i rozejrzałam się dookoła w poszukiwaniu samotnej postaci. Ojca tam nie było. Odjeżdżając, jeszcze raz potoczyłam wzrokiem po okolicy, myśląc, że może przegapiłam jakąś kryjówkę, ale nie. Taki był teraz mój los. Zawsze będę go szukać.

Zarówno śmierć Crossa, jak i Hazzarda koroner uznał za samobójstwa. Funkcjonariusze brygady antyterrorystycznej, którzy zastrzelili urzędnika Western Union, Hectora Lopeza, zostali oczyszczeni z zarzutu nieuzasadnionego użycia broni. Żadne oficjalne dokumenty nie wskażą nigdy Crossa jako podejrzanego o zabójstwo Victorii Fisher, Dany Courson, detektywa Williama i Johna Manninga.

Według akt śmierć mojego brata była skutkiem samobójczego strzału z pistoletu. Sprawy morderstw detektywa Williams, Victorii Fisher, Dany Courson, Jenny Roberts i Alice Lundholm pozostały oficjalnie nierozwiązane, a ich dokumentacja wsiąka coraz głębiej i głębiej w przepastne archiwum ratusza.

Jazda z cmentarza do domu trwała niewiele ponad dwadzieścia minut. Aż do chwili, gdy wjechałam na Mariposę, prawie zapomniałam, że znaczna część sąsiedztwa zmieniła się w zgliszcza. Ludzie, znani mi od dwudziestu lat, przegrzebywali gruzy w poszukiwaniu rodzinnych skarbów albo przypadkowo ocalałych przedmiotów, które teraz nabierały wagi utraconych wspomnień.

Na końcu przecznicy przed moim domem stał zaparkowany biały sedan z wypożyczalni. Wjeżdżając na podjazd, zobaczyłam matkę siedzącą na schodkach przed drzwiami. Minęły prawie dwa lata, odkąd ostatni raz ją widziałam - dystans, jaki nas dzielił, równał się teraz dwóm latom milczenia. Była ubrana w eleganckie spodnie i bluzkę do kompletu, jakbyśmy wciąż żyli w czasach, gdy do podróży samolotem trzeba się było szczególnie wystroić.

- Mój Boże - wyszeptała, gdy podeszłam i ją przytuliłam. - Co się stało? Dobrze się czujesz?

Usiadłam na schodku i spojrzałam na to, co pozostało z sąsiednich domów.

- Jeśli nie chcesz mi mówić, zrozumieć - zapewniła matka.

- Znalazłam... - Nie dokończyłam. - Przypomniałam sobie naszą tajemnicę - powiedziałam.

Matka popatrzyła na mnie i pokręciła głową.

- Nie mam najmniejszego pojęcia, o czym możesz... - zaczęła, a potem urwała.

Przymknęła na chwilę powieki, a później spojrzała na szerniałe wzgórza i.łzy zakreśliły jej się w oczach.

- Znalazłaś ojca? - wyszeptała.

Na błękitnym niebie nad naszymi głowami krążyła para kruków, rywalizowały o to, który spikuje najniżej, a jednocześnie nie dotknie ziemi. Wzięłam matkę za rękę i spróbowałam sobie wyobrazić odpowiedź na to pytanie.

Podziękowania

Ta książka nie powstałaby bez pomocy i wsparcia Davida Highfilla, Sary Landis i Elaine Koster.